

**DR ANNA
MATERSKA-SOSNOWSKA**
MIĘDZY RÓŻĄNCEM A PORTFELEM

JUSTIN LOGAN
IRAK A HIPOKRYZJA USA

**KATARZYNA
BŁĄŻEJSKA-STUHR**
ZŁA SŁAWA GLUTENU

**CIASNE I CUDZE,
CZYLI DZIKI RYNEK NAJMU**

PPK

FAŁSZYWE OBIĘTNICE



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300



DARIA
Dawczyni szpiku

Zrób to na 1,5%

Pomóż w stu procentach walczyć z nowotworami krwi!

1,5% podatku. Tyle wystarczy, aby wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000 318 602**

lub pobierz darmowy program do rozliczeń na dkms.pl/1.5procent

Otrzymane fundusze przeznaczymy na wsparcie Pacjentów hematologicznych na każdym etapie leczenia oraz sfinansowanie specjalistycznego sprzętu dla wielu szpitali i klinik hematologicznych w Polsce.

Wspierając nas, przyczyniasz się do ratowania życia!

Rozlicz PIT na
dkms.pl/1.5procent



Fundacja **DKMS**

ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa

T +48 22 882 94 36 • F +48 22 882 94 02

darowizny@dkms.pl • dkms.pl





Jedna lista będzie albo nie będzie

W sprawie jednej listy opozycji wystrzelono już największe pociski. Użyto nawet medialnych ładunków atomowych. I co? I NIC. Świat polityki okazał się głuchy na to, co mu nie pasuje, i twardo trzyma się własnych interesów.

Jeden z celebrytów medialnych ogłosił: jedna lista albo śmierć. A drugi, że przeciwnicy jednej listy opozycji to kolaboranci PiS. Nazwiska powszechnie znane, ale nie o nich przecież tu chodzi. Z wielu atutów demokracji szczególnie podoba mi się prawo do opowiadania nawet największych głupot. A z nowych technologii to, że wystarczy wpisać parę słów i te brednie nawet po latach wyskoczą na ekranie. Powinno to mitygować gorące głowy, skłaniać do częstszego posługiwania się rozumem, ale jak widać, nie zawsze ten bezpiecznik działa.

Większość ludzi trzyma się za portfel i ma coraz mniej czasu na obserwowanie tego, co ich bezpośrednio nie dotyczy. Z mediów rządowych wiadomo, że jest dobrze, a nawet jeszcze lepiej. W czasie trzeciej kadencji rządów PiS znajdziemy się zaś w przedsionku raju. Nawet niewierzący, jeśli oczywiście nie będą się z taką postawą obnosić.

Nie radzę jednak zbyt mocno się do tego przywiązywać. Bo Polska to taki kraj, gdzie w ciągu siedmiu miesięcy wiele może jeszcze się wydarzyć. Tak wiele, że dzisiejsze prognozy staną się tylko nietrafionymi spekulacjami.

Jedna lista opozycji ma dziś zbiorową twarz grupy polityków PO. Tych, którzy tak mądrze zarządzili przez dwie kadencje, że teraz nie możemy się wyrwać z pazernych macek pisowskiego układu. Wyborcy tamte rządy pamiętają. W krajach o większym dorobku parlamentarnym po takich porażkach ekipa rządząca dobrowolnie, choć jak zawsze z małymi wyjątkami, daje sobie spokój z bieżącą polityką. Niestety, u nas przegrani ciągle próbują wrócić do gry. Nawet jak już są zaawansowanymi emerytami.

Spróbujmy sobie wyobrazić, jaki byłby dzisiaj stosunek wyborców do PO, gdyby zabrakło ówczesnej grupy rządzącej, czyli otoczenia przewodniczącego Tuska i ministrów z jego rządów. Wiem oczywiście, że Tusk przerasta ich o głowę. I wiem, że są w tym ścisłym kręgu decyzyjnym właśnie dlatego, że ich przerasta. Bo tych, co wyrastali ponad przeciętność, wyeliminował albo – jak Schetynę – zmarginalizował.

A co do jednej listy opozycji, mogę powiedzieć jak starszy góral pytany o pogodę. Będzie świeciło słońce albo będzie lało. Jeśli wyniki sondaży przed wyborami będą dla opozycji marne, to się połączą. Bo politycy tych partii koniecznie chcą się dla nas męczyć w parlamencie. Oczywiście na wyniki wyborów to nie wpłynie dobrze. A czasu, który teraz marnujemy, upychając wszystkich na jednej liście, zabraknie na sensowniejsze pomysły, które mogłyby dać głosy wyborców.



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (1/2023)

„Troje na jednego”

z MARKIEM BOROWSKIM

„Platformę Obywatelską
uważam za partię centrolewicę”



9 zł

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Na drodze do emerytalnej katastrofy**
– rozmowa z prof. Leokadią Oręziak
- 12 Niewłasne i ciasne**
Nieuregulowany rynek najmu
- 16 To nie będą wybory, to będzie plebiscyt**
– rozmowa
z dr Anną Materską-Sosnowską
- 20 Innowacyjne efemerydy**
Miliony wydane na innowacje
- 24 Skazany za pogromobus**
Tolerado kontra Dzierzawski
- 26 Ambasador Rościszewski**
idzie na wojnę z Rosją
Balon próbny czy szczere słowa?

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 28 Inwazja na Irak zniweczyła**
potęgę Ameryki
– rozmowa z Justinem Loganem

ZAGRANICA

- 31 Wstyd w mundurze**
Afery londyńskiej policji
- 34 Brazylijska próba sił**
– rozmowa z Ladislauem Dowborem

KOŚCIÓŁ

- 38 Wojna gejów z gejami**
Watykański Babilon

KSIAŻKI

- 44 Agnieszka nikomu nie mówiła o śmierci**
O życiu i żałobie

HISTORIA

- 47 Łuny nad Czerniakowem**
Wszyscy walczyli o jedną sprawę

KULTURA

- 48 Kariera na własnych warunkach**
Georgia O'Keeffe i Alfred Stieglitz
- 50 Culturalia**
- 66 Barbara Soborak. Intrygujące spojrzenie**

ZDROWIE

- 52 Zła sława glutenu**
– rozmowa z Katarzyną Błajejewską-Stuhr

OBSERWACJE

- 55 Małeńki, omączony i wyniosły**
Pierwiosnki w akcji
- 58 Nie taki zombie straszny**
Czyli przygody z grzybnią
- 60 Zachód czy Turcja? Kto wymyślił**
snowboard

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jedna lista będzie albo nie będzie
- 15 Jan Widacki**
Populizm a niezawistość sędziowska
- 19 Andrzej Romanowski**
Polowanie na Wojtyłę
- 23 Roman Kurkiewicz**
Przemysłu pieniądze od nowa
- 43 Tomasz Jastrun**
Śmierć Boga
- 51 Wojciech Kuczok**
Ciąg modlitewny

16

KRAJ

TO NIE BĘDĄ WYBORY, TO BĘDZIE PLEBISCYT

– rozmowa z dr Anną
Materską-Sosnowską



52

ZDROWIE

ZŁA SŁAWA GLUTENU

– rozmowa
z Katarzyną
Błajejewską-Stuhr

55

OBSERWACJE

MALEŃKI, OMĄCZONY I WYNIOSŁY Pierwiosnki w akcji



Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK (2)



f Papież — wyborczy nabój PiS



Film „Franciszkańska 3” dał PiS paliwo do mobilizacji twardego elektoratu. Kto by z takiego prezentu nie skorzystał w roku wyborczym? Strategia wygrywania za pomocą straszenia innymi lub odgrywania

roli obrońcy narodowych wartości, metoda na Tuska, Niemca, LGBT i Smoleńsk, już powoli się przejawia. A zamach na pomówiany przez lata wizerunek Jana Pawła II to idealny kąsek dla partii rządzącej. Temat, niezależnie od tego, czy wybuchłby przed wyborami, czy po nich, bulwersuje. Niepodważalny jest fakt traumy skrzywdzonych dzieci. A ukrywanie tego z pełną świadomością, że takie rzeczy się działy, uważam za haniebne. Nie da się tego usprawiedliwić kontekstem czasowym, bo tak moglibyśmy każdego obronić. Może kiedyś o tym tak głośno nie mówiono, ale cierpienie tych dzieciaków jest tak samo mocne teraz, jak i wtedy. Dla wielu ten film to zburzenie ich postrzegania Jana Pawła II. Jednak wydaje mi się, że ujawnienie prawdy, uświadomienie sobie cierpienia skrzywdzonych ludzi jest o wiele ważniejsze niż kolejna wyborcza polaryzacja. Przekazywanie tego tematu w sposób na wygraną wyborów świadczy o kulturze politycznej w naszym kraju.

Kamil Wójcik

f Korepetycje spółka z o.o.



Na podstawie doświadczenia własnego i żony mogę stwierdzić, że rynek korepetycji ma się coraz lepiej. Zauważyliśmy wzrost liczby uczniów, którzy zgłaszają się do nas na lekcje niemieckiego. Niestety, dość duża grupa uważa, że obecność

na zajęciach wystarczy, efekty przyjdą same. Nie daje nic od siebie. Poziom nauczania w szkole spadł, bo coraz mniej osób decyduje się na zawód nauczyciela. Sprawia to automatycznie, że uczniowie szukają pomocy u korepetytorów. Rynek korepetycji zmieniła trochę pandemia, bo wiele osób zgłasza się na zajęcia w formie online. Dzięki temu tego typu usługi mogą być wszędzie dostępne.

Karol Wcisło

f Leczymy przyczyny, a nie skutki

Bardzo dobra rozmowa z dr. Radosławem Stupakiem, który zwraca uwagę na to, że zbyt szybko przepisuje się antydepresanty. Mówi on, że zamiast poprawiać warunki, w których żyją ludzie, modyfikuje się ich mózgi, żeby mogli w tych warunkach wytrzymać. Szkoda, że ten problem nie jest poruszany w innych mediach. A ja sam widzę po ludziach dookoła mnie, jak bardzo zmedykalizowane staje się ich samopoczucie.

Marcin Brożek

f Inflacyjny wzrost cen

W rubryce Przegląd Tygodniowy (PRZEGLĄD nr 12) pojawiła się informacja: „O 18,4% wzrosły ceny towarów i usług konsumpcyjnych w lutym 2023 r.”. Otóż nie – ceny nie wzrosły o tyle w lutym 2023 r., lecz pomiędzy lutym 2022 r. a lutym 2023 r. Skoro tygodnik opiniotwórczy nie rozumie, jak jest liczony inflacyjny wzrost cen, to jak „szary obywatel” ma to rozumieć?

Jerzy Bucki

Od redakcji: Przepraszamy Czytelników za błąd.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Spotkanie Xi Jinpinga z Putinem w Moskwie. W chińskiej prasie na pierwszy rzut oka widać, kto tu jest większy i ważniejszy.



Z danych ZUS wynika, że w 2022 r. wystawiono **1,29 mln zwolnień lekarskich** na 23,8 mln dni z powodu zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania. W ubiegłym roku zarejestrowano łącznie 27 mln zaświadczeń lekarskich o czasowej niezdolności do pracy na łączną liczbę 288,8 mln dni.

Stowarzyszenie Nigdy Więcej, które powstało w 1996 r., jest niezależną organizacją antyrasistowską. W opublikowanej ostatnio kolejnej „**Brunatnej księdze**” przedstawia dokumentację zdarzeń na tle rasistowskim i ksenofobicznym oraz aktów dyskryminacji z lat 2020-2023. Ponura i przygnębiająca lektura zmusza do głębszej refleksji.

Zmarł Ryszard Niemiec, wybitny dziennikarz i działacz piłkarski. Był m.in. redaktorem naczelnym „Dziennika Krakowskiego”, „Tempa” i „Gazety Krakowskiej”. Laureat Złotego Pióra, prezes Klubu Dziennikarzy Sportowych i Małopolskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Błyszczą autor i mówca, utrzymywał wysokie standardy fair play.

Coraz droższa jest opozycja z czasów PRL. **1,3 mln zł** dostanie **Andrzej Gwiżdżda**. Pewnie nie jest zadowolony z wyroku Sądu Najwyższego, bo domagał się ponad 3,5 mln zł.

W czasie wizyty w Polsce prezydent Biden mocno i podobno skutecznie lobbował za budową elektrowni atomowej przez firmy Westinghouse i Bechtel.

Stadnina w Janowie Podlaskim od 2016 r. miała

szęściu prezesów. Załoga buntowała się, ale bramę zamknęła, dopiero gdy próbowano wprowadzić Hannę Sztukę. Wcześniej zwolnioną dyscyplinarnie ze stadniny w Michałowie. Dzięki desperacji 82 pracowników nie będzie demolowała kolejnej stadniny. Najbardziej odczuwają to konie.

Sędzia Joanna Knobel z Sądu Rejonowego w Poznaniu uniewinniła 32 osoby, które jesienią 2020 r. protestowały w miejscowej katedrze przeciwko antyaborcyjne-mu wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej.

Grzegorz Piepke i Bartłomiej Czetowicz, dziennikarze prowadzący poranek w Radiu Szczecin, jako pierwsi złożyli wypowiedzenia po działaniach Tomasza Dukanowskiego.

Robert Duchniewicz, wileński Polak z Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej, został nowym merem rejonu wileńskiego.

W amerykańskim Nashville w czasie konwencji Safari Club International (SCI) oferowano polowania na gatunki krytycznie zagrożone wyginięciem, takie jak słoń leśny, nosorożec czarny, oryks szablrogi, grizzly, a także walizki ze skóry słonia czy biżuterię z pazurów lamparta.

Na koniec 2022 r. było w Polsce 4896 km dróg szybkiego ruchu. Jeździ po nich m.in. ok. 400 tys. kierowców samochodów ciężarowych, które przewożą rocznie 1,4 mld ton ładunku. Branża spedycyjna ma wartość ponad 50 mld rocznie.

PRZEBŁYSKI

Kowalczyk – „oszust” czy „judasz”?

Pożar jest coraz większy. Delikatne siedzenie ministra Kowalczyka może tego nie wytrzymać. Wieś, która ma być bastionem wyborczym PiS, zaczęła polityków dojrzałej zmiany witać przekleństwami i okrzykami: „Oszuści!”, „Judasz!”, „Śpieprzaj, dziadu!”. Sam Kowalczyk sprawia wrażenie kosmity, który nie rozumie, gdzie jest i co do niego mówią. Do ministerialnej główki ciągle nie dociera, że Polska jest zawałona ukraińskim zbożem. Mało tego. Jakąś tajemniczą drogą płynie do nas rzeka ukraińskiego mięsa, drobiu, miodu itp. Unia Europejska wymusiła na polskich rolnikach ostre warunki dotyczące sypania najbardziej szkodliwej chemii. Ale to, co wjeżdża z Ukrainy, jest nią napompowane ponad wszelkie normy. Nie zanosi się jednak na to, by PiS potrafiło wyciągnąć wieś z katastrofy, w którą ją wpakowało. Może na razie Kowalczyka przechować na Ukrainie?

Glapiński z „Ogniem” pod rękę

Ten komunikat NBP wyglądał jak kiepski dowcip. Przyspieszony primaaprilisowy koszmarek w stylu opowieści prezesa Glapińskiego. Potwierdziło się jednak, że w Narodowym Banku Polskim mamy rząd, który honoruje bandytę. Do obiegu wprowadzono nową monetę kolekcjonerską. A na niej Józef Kuraś „Ogień”. Morderca cywilów, Żydów i Słowaków. Na rewersie srebrnej monety o nominale 10 zł, którą można kupić za 200 zł, jest napis: „Zachowali się jak trzeba”. Słowacki IPN ma „Ognia” na liście zbrodniarzy. Udokumentowano morderstwa dokonane przez bandę Kurasia na Spiszu i Orawie. Przeciwno honorowaniu „Ognia” już w 1990 r. protestował nowotarski oddział Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej: „Nie mamy nic wspólnego z »Ogniem« i jego pogrobowcami (...) i zamiast tego należałoby odprawić żałobne nabożeństwo w intencji jego ofiar, a jest ich 430”. Kto pluje na groby ofiar, ten wyklucza się z cywilizowanego świata. „Ogień” na monecie NBP to hańba dla PiS, które obsadziło ten bank.



Tylko koni żal

O jedną stadninę za daleko. Tak można opisać historię Hanny Sztuki, niedosłej prezes stadniny koni w Janowie Podlaskim. O jej wypadkach wiedzieli tylko pracownicy stadnin i sądy, ciągle ją ewakuowano na nowe posady. Gdy była głównym hodowcą w Michałowie, została oskarżona o przywłaszczenie kilku rzeczy należących do stadniny, m.in. laptopa. Sąd Rejonowy w Pińczowie nakazał jej zapłacić 2 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Ale „postępowanie karne umorzył na okres próby na 1 rok”. Nie zmienia to tak paskudnych praktyk jak trzymanie przez Sztukę czterech prywatnych koni bez płacenia za to. Za jej czasów konie z Michałowa wydzierzawiono za granicę bez umów. Sztuka z prezesem Grzechnikiem traktowali stadninę jak swoje poletko, na którym mogą robić, co im się żywnie podoba (cytat z bloga Marka Szewczyka, byłego szefa pisma „Koń Polski”). Sprawy ugrzęzły w prokuraturze. I dopóki będzie Ziobro, nic się nie wyjaśni.





PYTANIE TYGODNIA

Co się stało z elektoratem SLD?

DR HAB. MICHAŁ WENZEL,
profesor Uniwersytetu SWPS, socjolog

Dziś można mówić o elektoracie utożsamiającym się z lewicowymi poglądami, a nie z konkretną partią. Z prowadzonych przeze mnie w latach 2015-2019 badań panelowych, które polegają na kilkukrotnym pytaniu rozmówców o ich poglądy, wynika, że wyborcy zorientowani lewicowo byli znacznie mniej stabilni w poglądach niż prawicowi. Część wyborców przechodziła do centrum, a niektórzy znaleźli się nawet po prawej stronie. W przypadku osób o poglądach prawicowych znacznie wyższy odsetek był stały w poglądach. To oznacza, że orientacje lewicowe były w tym czasie słabo ugruntowane. Również siłą biologii SLD ma już niewielu wiernych wyborców. Warto zauważyć, że w ostatnich wyborach parlamentarnych duża część wyborców o poglądach lewicowych w ogóle nie głosowała na partie lewicowe, tylko na Koalicję Obywatelską. To sytuacja, która też osłabiła obecne SLD.

KRZYSZTOF JANIK, *były polityk, przewodniczący SLD w 2004 r.*

Część elektoratu SLD zmarła. Inna jego część to był elektorat socjalny, który w dużym stopniu przeniósł się do Prawa i Sprawiedliwości. Natomiast część, którą określiłbym jako socjalliberalną, przeszła do Platformy Obywatelskiej. Ci, których można nazwać elektoratem lewicowym, a on w Polsce nigdy nie był większy niż 15%, zostali przy Nowej Lewicy. W młodym pokoleniu jest więcej osób o poglądach lewicowych, bo ok. 30%. Ale to pokolenie jest

apartyjne. I jeśli miałbym dzisiaj za coś winić SLD, w tym siebie, to za zaniedbanie edukacji obywatelskiej. Nie wyjaśniliśmy ludziom, że to partie polityczne są narzędziem zmiany społecznej. W efekcie dziś młodzi są poza partiami. To, co im się podoba, to trochę Lewica, trochę Platforma i trochę Konfederacja. Już dawno temu liczyłem się z tym, że te 40%, które dostawał SLD, to był zbieg okoliczności i efekt tego, że partia miała wówczas słabych przeciwników. Teraz przeciwnicy urosli w siłę. A dla sporej części elektoratu PiS jest powtórką PZPR, w której dobrze się czują.

PROF. JACEK WÓDZ, *socjolog, Uniwersytet Śląski*

Przed wszystkim elektorat SLD się zestarzał. Ma mniej zapału i energii do podejmowania aktywności politycznej. Generalnie patrząc na zachowania elektoratów w całej Europie, lewica wszędzie traci na znaczeniu, bo zmienia się system społeczny. Pewną nadzieję dla SLD widziałbym w podjęciu walki o elektorat kobiety i zaproponowanie zmiany modelu państwa – dziś PiS ewidentnie dąży do klerykalizacji Polski, a pewna część elektoratu oczekuje kontry dla tych działań. Nikt też nie ma odwagi, żeby podjąć decyzję o decentralizacji Polski. Przekonanie PiS, że zarządzanie centralne wszystko załatwia, tak naprawdę zabija wiele energii społecznej na poziomie gmin, miast i większych regionów. Owszem, jest mnóstwo ludzi, którzy mają lewicowe poglądy, jednak SLD nie znajduje sposobu, aby ich zaktywizować.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Na drodze do emerytalnej katastrofy

Ani OFE, ani PPK nie dają jakichkolwiek gwarancji emerytury. To systemy służące niewielkiej grupie powiązanej z sektorem finansowym

Rozmawia Paweł Dybicz

Po co po klęsce otwartych funduszy emerytalnych zmuszać ludzi, by pozostawali w pracowniczych planach kapitałowych?

– Zwolennicy zarówno OFE, jak i PPK argumentują, że potrzebne są dodatkowe oszczędności, bo emerytury z ZUS będą bardzo niskie. Faktycznie, efektem zmian wprowadzonych w 1999 r. w polskim systemie emerytalnym będzie bardzo niski poziom emerytur za kilkadziesiąt lat. Na przykład w 2070 r. tzw. stopa zastąpienia, czyli relacja

system emerytalny i dostosowywać go do zmieniających się warunków na rynku pracy i w gospodarce, wyrwano z niego wielki strumień pieniędzy, by przekazać prywatnym instytucjom do zarządzania i czerpania zysków w ramach OFE.

Z PPK jest podobnie?

– PPK, funkcjonujące od 2019 r., to także wielki projekt neoliberalny, a więc antyspołeczny, pochtaniający zarówno pieniądze pracowników i pracodawców, jak i środki publiczne. Ani jeden, ani drugi nie daje jakichkolwiek gwarancji emerytury.

PROF. LEOKADIA ORĘZIAK

– kierownik Katedry Finansów Międzynarodowych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. W latach 2014-2015 członkini Komisji Doradczej ds. Systemu Emerytalnego przy prezydent Chile Michelle Bachelet.



pierwszego świadczenia emerytalnego do ostatniego wynagrodzenia przed przejściem na emeryturę, wyniesie zgodnie z szacunkami Komisji Europejskiej zaledwie 25%, będzie prawie o połowę niższa niż jeszcze niedawno (w 2016 r.) i aż o dwie trzecie niższa niż przed 1999 r., gdy wynosiła ponad 70%. Oceniając zmiany z 1999 r., trzeba podkreślić, że zostały wprowadzone przez polskich neoliberalistów właśnie po to, by stworzyć miejsce dla prywatnych emerytur, w nadziei, że drastyczna redukcja emerytur publicznych skłoni ludzi do inwestowania na giełdzie składki emerytalnych. Zamiast więc finansowo wspierać publiczny

Oba stwarzają złudzenie, że coś się robi, by zapewnić bezpieczne emerytury w przyszłości, a faktycznie są to systemy służące niewielkiej grupie powiązanej z sektorem finansowym. **Rozumiem, że szefowie OFE i PPK zarabiają tyle, że nie muszą się martwić o emeryturę.**

– Nie mam bliższych danych na ten temat, ale wiadomo, że w wielu krajach, także w Polsce, kadra zarządzająca instytucjami finansowymi, takimi jak firmy ubezpieczeniowe, banki czy fundusze emerytalne, generalnie zarabia kilkadziesiąt, a czasem nawet kilkaset razy więcej miesięcznie niż zwykli pracownicy tych instytucji, nie mówiąc już

o nauczycielach czy pielęgniarkach. Pozwala jej to faktycznie nie martwić się o emeryturę publiczną, bo w trakcie aktywności zawodowej ludzie ci zgromadzą majątek pozwalający na luksusowe życie im i ich rodzinom.

Dlaczego kręgom rządowym i bankowcom tak bardzo zależy na PPK?

– PPK to źródło zysków dla instytucji zarządzających oraz osób i podmiotów z nimi powiązanych, również w kręgach politycznych. Te zyski płyną nie tylko z prowizji za zarządzanie aktywami, ale i z możliwości praktycznie dowolnego dysponowania przez te podmioty – przez dziesiątki lat – przekazanymi im pieniędzmi. Oznacza to m.in. możliwość

inwestowania według swojego uznania w akcje i inne papiery emitowane przez spółki powiązane z nimi różnymi więziami, często trudnymi do zidentyfikowania. Efektem tego mogą być różne inwestycje szkodliwe dla uczestnika funduszu, w tym w spółki zagrożone bankructwem. Jeśli wartość takich inwestycji drastycznie spadnie, nawet do zera, firmy zarządzające zawsze mogą powiedzieć, że przecież taki jest rynek.

Systemy w rodzaju OFE czy PPK tak właśnie mają, to ich alibi na wypadek krachu.

– Ich cechą jest to, że inwestowanie przez nie aktywów uczestników funduszy nie podlega żadnej kontroli celowościowej ze strony państwowych organów nadzoru. Organa te nie mają prawa spytać, jaki jest sens danej inwestycji. Firmy zarządzające muszą jedynie przestrzegać ogólnych limitów inwestycji w poszczególne grupy aktywów, samodzielnie zaś podejmują decyzję, w co konkretnie zainwestują. W przypadku PPK obowiązuje zasada, że im bliżej emerytury, tym mniejszy odsetek aktywów może być inwestowany w akcje i inne ryzykowne instrumenty, a większy w tzw. aktywa bezpieczne, głównie obligacje skarbowe, choć i one nie chronią przed inflacją. Ostatecznie tuż przed emeryturą danej osoby zgromadzone przez nią aktywa w PPK to głównie obligacje skarbu państwa.

Dość bezpieczne, choć są długim państwa.

– Papiery te (obligacje) stanowią zobowiązanie państwa, podobnie jak państwo zobowiązane jest wypłacić emerytury z ZUS. Jednak w przypadku tych ostatnich nie ma po drodze tego kosztownego pośrednika w postaci firm zarządzających PPK. Pokazuje to absurd takich systemów jak PPK czy OFE. Ponadto dokonywane przez nie inwestycje w obligacje skarbowe przynoszą odsetki korzystnie rzutujące na osiągane stopy zwrotu z całej działalności takich funduszy, maskując często skutki spadku cen

akcji. Dla ogółu obywateli odsetki od tych obligacji są jednak wielkim ciężarem jako jeden z głównych wydatków z budżetu państwa. W przypadku OFE ten bezsens został zatrzymany w 2014 r., gdy wprowadzono zakaz inwestowania w obligacje skarbowe.

Konieczność ponownego wypisania się z PPK to forma nacisku na pozostanie w nim?

– Wszyscy pracownicy sektora prywatnego i publicznego w wieku 18-55 lat są automatycznie zapisani do PPK. By wypisać się z tego systemu, trzeba złożyć odpowiednią deklarację, w przeciwnym razie pracodawca będzie przekazywał składki do tych funduszy. Automatyczny zapis pracowników do tego rodzaju funduszy to „wynałazek” tzw. ekonomii behawioralnej, skonstruowany faktycznie w interesie instytucji rynku finansowego. Chodzi o to, że zasadniczo pracownik z własnej woli i inicjatywy do takiego funduszu by się nie zapisał, zważywszy na związane z nim koszty i ryzyko. Automatyczny zapis stawia go przed faktem dokonanym.

Z funduszu można się wypisać.

– Ale wiele osób tego nie robi z braku czasu, z braku informacji, gdzie i kiedy można to zrobić, albo z obawy, że spotkają je jakieś negatywne konsekwencje ze strony kierownictwa firmy. Dotychczas do PPK przekazywane były składki od ok. 2,5 mln osób. Gdy w 2018 r. uchwalano ustawę o PPK, rząd oczekiwał, że w systemie tym pozostanie 70% z ponad 11 mln pracowników sektora publicznego i prywatnego. W marcu br. pracownicy mogą złożyć deklarację, że nie chcą uczestniczyć

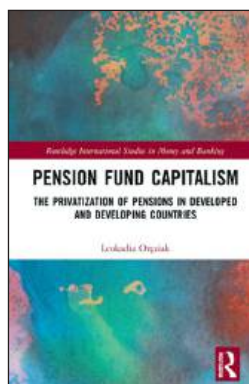
w PPK. Generalnie obrońcom PPK chodzi o to, by jak najmniej pracowników dowiedziało się o możliwości złożenia takiej deklaracji.

Jest cicho o OFE, ale te fundusze nadal istnieją. Jakie mają aktywa i dlaczego nie zostały ostatecznie zlikwidowane?

– Według danych Komisji Nadzoru Finansowego na koniec lutego 2023 r. aktywa netto OFE wynosiły 163 mld zł i było to znacznie mniej niż na koniec grudnia 2021 r. (gdy wynosiły one 188 mld zł), mimo że w 2022 r. ZUS wpłacił do OFE kolejne ponad 4 mld zł z tytułu składek od 2,5 mln pracowników. Osoby te dalej odprowadzają składki do OFE, ale stanowią jedynie 16% ogólnej liczby 15 mln członków tych funduszy. Pozostałe 84% członków zrezygnowało z udziału w OFE i nie wpłaca do nich żadnych składek, ale w tych funduszach dalej są ich pieniądze wpłacone do 2014 r., kiedy to 51% aktywów OFE przeniesiono do ZUS. Ta operacja przeniesienia aktywów na subkonto w ZUS pozwoliła nie tylko uchronić wartość tych środków od strat giełdowych, ale też zapewniła im dobrą waloryzację. Z kolei pozostawiona w 2014 r. w OFE druga połowa aktywów ponad 12 mln pracowników jest dalej narażona na spadki giełdowe i obciążona opłatami za zarządzanie pobieranymi przez towarzystwa emerytalne. Z powodu presji sektora finansowego nie udało się zlikwidować OFE w całości. Na dokonany w 2014 r. przeniesieniu do ZUS połowy aktywów OFE żaden pracownik nie stracił ani złotówki. Był to dobry krok, by chronić przyszłe emerytury i finanse publiczne. Szkoda, że nie wytłumaczono tego obywatelom, a teraz rządzący szerzą nieuczciwe informacje o tej zmianie w OFE, licząc, że zaszkodzi to opozycji.

OFE nie przyniosły emerytom większych zysków, za to fundusze i ich właściciele zarobili grube miliardy.

– OFE ostatecznie okazały się katastrofą z punktu widzenia zarówno przyszłych emerytów, jak i finansów publicznych. Pisałam o tym obszernie w książce „OFE. Katastrofa prywatyzacji emerytur w Polsce” (2014). Okazało się, że fundusze ▶



► nie są w stanie zapewnić nie tylko obiecanych emerytur „pod palmami”, ale nawet jakichkolwiek bezpiecznych emerytur. Inwestowanie składek emerytalnych na rynku finansowym wiąże się z dużym ryzykiem, a występujące co pewien czas kryzysy finansowe i załamania giełdowe mogą drastycznie zredukować wartość rynkową zgromadzonych aktywów.

Co już miało miejsce.

– I to wielokrotnie od 1999 r., podważając sens opierania emerytur na czymś tak zmiennym i nieprzewidywalnym jak rynek finansowy. Komisja Nadzoru Finansowego podała niedawno, że stopa zwrotu z OFE od 30 września 2019 r. do 30 września 2022 r. wyniosła minus 8,29%, co nie dziwi, zważywszy, że niemal 90% aktywów OFE jest obecnie ulokowanych w akcjach. Faktycznym beneficjentem OFE są towarzystwa emerytalne zarządzające funduszami i inne podmioty rynku finansowego. Tylko do 2014 r. realna wartość pobranych przez towarzystwa opłat i prowizji sięgnęła 30 mld zł i choć potem ich wysokość została obniżona, i tak ma to wpływ na finalną kwotę świadczenia emerytalnego. Wiadomo, że pobierana przez 40 lat opłata roczna wynosząca np. 0,75% aktywów wpłynęła na to, że kwota świadczenia będzie niższa o 17%, a przy opłacie 1,5% aż o 30% w porównaniu ze stanem, gdyby taka opłata nie była pobierana.

OFE pogłębiły deficyt finansowy państwa. Na jaką kwotę? Jak

mocno to zadłużenie się państwa odcisnęło się na jego finansach?

– Praktyka pokazała, że OFE są nie do utrzymania z powodu rujnącego wpływu na finanse publiczne. Mechanizm tego wpływu dla wielu osób nie był dotąd zrozumiały, a jest on w istocie prosty. Gdy w 1999 r. ustanowiono przymusowy drugi filar emerytalny w postaci OFE, ZUS został zobowiązany do przekazywania do funduszy prawie 40% składki pobieranej od wynagrodzeń kilkunastu milionów pracowników. Te pieniądze poszły więc do gry na rynku finansowym zamiast na wypłatę bieżących emerytur. By pokryć ZUS ten ubytek i zapewnić środki do życia osobom już będącym na emeryturze, kolejne rządy musiały zaciągać coraz większe pożyczki, co spowodowało lawinowy przyrost zadłużenia publicznego. Do 2014 r. osiągnął on (wraz z odsetkami) ponad 300 mld zł. Proces ten trzeba było bezwzględnie zatrzymać, by uniknąć niewypłacalności kraju.

Zwolennicy OFE nie chcą tego zrozumieć?

– Niestety. W ostatnich latach ZUS przekazuje rocznie do OFE składki na kwotę ok. 4 mld zł, dalej zatem działa mechanizm zadłużania państwa, tylko na mniejszą skalę. Podjęta przez rząd próba przeniesienia środków z OFE na indywidualne konta emerytalne (IKE) bądź do ZUS nie powiodła się z uwagi na odrzucenie przez Senat ustawy z marca 2020 r. Udało się zastopować plan nieodwracalnego

przekazania na rynek finansowy ogromnych pieniędzy publicznych, a takimi są przecież środki znajdujące się w OFE. Uniknięto więc czegoś w rodzaju patologicznej darowizny na szkodę budżetu. Szkoda jednak, że nie stworzono zainteresowanym osobom możliwości przekazania tych środków do ZUS. W 2024 r., gdy będzie kolejne, otwierane od 2016 r. co cztery lata, okno transferowe, powstanie możliwość zaprzestania wpłacania składek do OFE.

Dlaczego rządzący tak łatwo ulegają naciskom bankowców, tworząc przymus przynależności do instytucji często uzależnionych od notowań giełdowych?

– Ludzie na ogół boją się podejmować ryzyko, zwłaszcza w odniesieniu do najważniejszych spraw w życiu, a takimi są przecież emerytury, mające zapewnić możliwość przeżycia starości. Emerytury prywatne są nieprzewidywalne. Skalę możliwych zagrożeń pokazują np. dane zamieszczone na oficjalnej stronie PPK (www.mojeppk.pl/stopy-zwrotu-fzd.html), z których wynika, że w okresie od 1 stycznia do 30 listopada 2022 r. wszystkie fundusze PPK miały ujemne stopy zwrotu, w przypadku niektórych przekraczające 16%. Nawet jeśli w kolejnych miesiącach czy latach sytuacja na rynku finansowym się poprawi, nikt przecież nie zagwarantuje, że znowu za jakiś czas gwałtownie się nie pogorszy. I może się okazać, że już nie da się odrobić strat przed przejściem na emeryturę. Dlatego niewiele osób dobrowolnie decyduje się na udział w czymś takim.

Czy fundusze PPK lokowane są w rajach podatkowych? Czy są elementem piramid finansowych?

– Inwestycje w ramach PPK mogą być dokonywane w aktywa denominowane w walucie polskiej i walutach obcych, w kraju i za granicą. Ustawa o PPK określa tu pewne limity. Przestrzegając tych limitów, firmy zarządzające funduszami mają dużą swobodę wyboru konkretnych aktywów. Praktyka pokazuje, że wszelkie defraudacje na szkodę uczestników funduszy są trudne do wykrycia i ścigania, pozostają zatem bezkarne. Jest to szczególnie trudne,

W wieku 93 lat zmarł

Ryszard Strzelecki-Gomułka,

syn byłego I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. W dzieciństwie i wczesnej młodości wychowywany był przez dziadków, bo rodzice przed II wojną światową większość życia spędzili w więzieniu. Jako sześciolatek był nawet świadkiem procesu ojca oskarżonego o „przygotowywanie zamachu stanu”. W czasie okupacji hitlerowskiej jego rodzice byli zaangażowani w podziemną działalność polityczną.

Zawsze żył w cieniu ojca. Starał się bronić jego dobrego imienia, m.in. w wywiadzie rzece „Między realizmem a utopią”. Dopiero w późnym okresie życia dodał do swojego nazwiska drugi człon – Gomułka. Przez krótki czas był wiceministrem handlu zagranicznego i gospodarki morskiej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się w środę, 29 marca 2023 r., o godz. 11.00 w Domu Pogrzebowym na Powązkach Wojskowych.

gdy pieniądze z funduszy, poprzez pośredników, trafiają do rajów podatkowych, których istotą jest przecież brak przejrzystości transakcji. Kryzys finansowy z 2008 r., a także niedawne bankructwa wielkich banków pokazały, że rynek finansowy charakteryzuje się dużym ryzykiem.

Polska nie jest jedynym krajem, w którym istnieją fundusze emerytalne.

– Zwolennicy prywatnych emerytur argumentują, że takie emerytury są dość rozpowszechnione w różnych krajach, w tym w USA i Wielkiej Brytanii. Okazuje się jednak, że tam, gdzie prywatyzacja emerytur osiągnęła największą skalę, a publiczny system emerytalny jest ograniczony, bardzo zmniejszyło się bezpieczeństwo dochodów na emeryturze, zwłaszcza w przypadku kobiet, mających na ogół niższe płace i krótszą

wypłaty prosto do kieszeni poszczególnych osób, np. w ramach programu 500+, ograniczając w ten sposób możliwości finansowania z budżetu państwa usług publicznych, takich jak ochrona zdrowia, edukacja czy transport. Taka polityka ma w istocie charakter antyspołeczny, bo ogranicza dostęp wielu rodzin do tych usług i skazuje je na to, by pieniądze z otrzymanych transferów przeznaczać na zakup usług w instytucjach prywatnych, co i tak nie jest w stanie zaspokoić nawet niezbędnych potrzeb. Stąd często konieczność organizowania publicznych zbiórek pieniędzy, także na ratowanie dzieci.

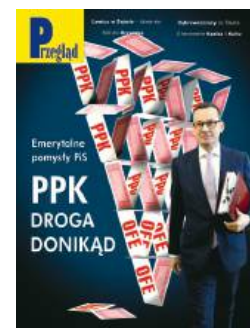
Jest jeszcze wysoka inflacja.

– Obecna inflacja w Polsce, najwyższa od dziesięcioleci i jedna z najwyższych w UE, drastycznie zredukowała realną wartość nie tylko wszelkich transferów społecznych,

w sprawie przywrócenia praworządności, można by np. poprawić sytuację ponad 500 szpitali albo chociaż szpitalnych oddziałów ratunkowych. Każdego dnia nasz kraj dalej traci milion euro i nie widać końca tej gigantycznej straty. Do tego dochodzi brak perspektyw na uzyskanie ogromnych unijnych pieniędzy z KPO i groźba zatrzymania wypłat na rzecz Polski z funduszy strukturalnych wobec nieprzestrzegania przez nasz kraj unijnego prawa. Silna antyunijna retoryka rządzącej prawicy powoduje, że coraz wyraźniej na horyzoncie rysuje się wizja wyjścia Polski z Unii Europejskiej. W brexit też prawie nikt nie wierzył, ale stał się faktem.

Teraz sondaże pokazują, że większość Brytyjczyków chce powrotu do UE.

– Brexit spowodował tak ogromne straty gospodarcze, że nie dziwi



aktywność zawodową. Efektem tego jest dramatyczny wzrost ubóstwa wśród ludzi starych, a często również konieczność pozostawiania więcej lat na rynku pracy, co dotyczy w szczególności tych osób, których fundusze emerytalne stały się niewypłacalne. O tym wszystkim obszernie napisałam w mojej nowej książce „Pension Fund Capitalism” (Kapitalizm funduszy emerytalnych, 2022).

Czy i jak z punktu widzenia zwykłej rodziny transfery socjalne poprawiły położenie materialne Polaków, per saldo oszukanych przez właścicieli OFE, a teraz PPK?

– Podstawowym celem transferów socjalnych, realizowanych na dużą skalę po 2015 r., było pozyskanie poparcia wyborczego dla rządzącej prawicy, a nie poprawa sytuacji ekonomicznej rodzin. W efekcie ogromne pieniądze kierowano dotychczas na

w tym emerytur, ale też oszczędności obywateli oraz płac pracowników w sektorze publicznym i prywatnym. Wysoka inflacja to rosnące ubóstwo w wielu grupach społecznych, to coraz trudniejsze warunki funkcjonowania samorządów. Nie uda się wyrwać kraju z tego stanu bez niezależnej polityki pieniężnej banku centralnego i zdyscyplinowanej polityki budżetowej rządu. Napływające codziennie informacje o masowej defraudacji publicznych pieniędzy przez rządzącą prawicę przypominają o bólu serca każdego, kto chciałby, aby jego dzieci pozostały w Polsce.

Jak w tej sytuacji mogłyby pomóc pieniądze z funduszy Unii Europejskiej?

– Najpierw podkreślę, że za pieniądze (już ponad 500 mln euro), które Polska bezpowrotnie straciła za niewykonywanie wyroku TSUE z 2021 r.

wyniki sondaży. Polexit byłby prawdziwą tragedią dla naszego kraju. Oznaczałby nie tylko utratę ogromnych pieniędzy z unijnego budżetu i zamknięcie wolnego dostępu dla polskich obywateli i firm do unijnego jednolitego rynku towarów, usług, pracowników i kapitału. skutkiem polexitu byłoby dramatyczne osamotnienie Polski w Europie, silnie ograniczające szanse rozwojowe naszego kraju. Efektem tego byłoby trwałe ubóstwo większości społeczeństwa. Wszystko to stworzyłoby warunki do ostatecznego załamania demokracji i zajęcia przez Polskę miejsca w grupie krajów o władzy autorytarnej. O tych zagrożeniach wszyscy Polacy powinni pamiętać w perspektywie nadchodzących wyborów.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Niewłasne i ciasne

Politycy i aktywiści toczą dyskusję o kosztach kredytów hipotecznych, a w jej cieniu rośnie kolejny problem – nieuregulowany rynek najmu

Kornel Wawrzyniak

Podczas gdy postowie Platformy Obywatelskiej z opóźnionym zapłonem nakręcają kampanię wokół znanej już wszystkim porażki pisowskiego programu Mieszkanie+, nikt nie zadaje sobie pytania, co z uregulowaniem rynku najmu mieszkań. Polak nauczony jest, że mieszkanie trzeba mieć swoje, choćby miał je spłacać do ostatnich dni. I nie ma co się dziwić, bo rynek najmu, opierający się na prywatnych właścicielach, jest jak Dzikie Zachód. Jednak przez inflację na własne mieszkanie może sobie pozwolić coraz węższa grupa osób. Jak więc odnaleźć się na rodzimym rynku najmu?

Nowa codzienność najemców

– W zeszłym tygodniu zadzwoniła właścicielka mieszkania, które wynajmuję. Odetchnęłam z ulgą, kiedy się dowiedziałam, że ze względu na inflację muszę dopłacić do obecnej stawki 200 zł. Spodziewałam się, że przy obecnych rynkowych cenach mieszkań w mojej okolicy będę musiała płacić dwa razy więcej niż do tej pory. A to wiązałoby się z wyładowaniem na bruku – stwierdza 28-lletnia Agata, która niedawno dostała pierwszą poważną pracę jako programistka. Nie jest to anegdota, lecz nowa codzienność najemców w całej Polsce. Na tym nieuregulowanym rynku każdy chwyt jest dozwolony.

Rynek najmu mieszkań po wybuchu pandemii COVID-19 był bardzo sprzyjający dla najemców. Większość osób, nie wiedząc, jaka będzie przyszłość, wróciła w rodzinne strony, opuszczając wynajęte lokale. Z tego powodu na prawie

dwa lata popyt na mieszkania gwałtownie spadł, spadły zatem i ceny. Z sytuacji korzystali lokatorzy, mniej szczęśliwi byli właściciele. Wszystko odwróciło się wraz z inwazją Rosji na Ukrainę. Według danych Straży Granicznej od 24 lutego 2022 r. do 12 marca 2023 r. granicę polsko-ukraińską przekroczyło 10,4 mln uchodźców z Ukrainy. Według ustaleń RMF FM obecnie w Polsce mieszka 1,3 mln ukraińskich uchodźców. Ma to znaczący wpływ na ceny mieszkań w całej Polsce, bo po czasie pandemicznej posuchy zainteresowanie najmem znowu jest wysokie.

– Wzrost cen najmu mieszkań jest podyktowany przede wszystkim sytuacją za naszą wschodnią granicą i tym, że mamy bardzo duży popyt ze strony Ukraińców i Białorusinów. Dużo osób z Ukrainy przyjechało w pierwszych miesiącach wojny. Białorusini przyjechali do Polski wcześniej ze względu na sytuację w ich kraju. Drugi powód drożenia najmu to wysokie stopy procentowe,

Duże zainteresowanie lokalami na wynajem spowodowało szybkie zniknięcie z rynku mieszkań w wyższym standardzie. Korzystają na tym właściciele lokali dotąd mało atrakcyjnych. W strachu żyją za to najemcy, którym niedługo kończy się umowa podpisana jeszcze przed wojną. Nie wiedzą, czy nowa stawka nie okaże się dużo wyższa. Części lokatorów nie będzie stać na taki wydatek. Tymczasem na rynku zostało sporo dość nietypowych lokali, które są ciasne czy w dziwnych miejscach. Ceny najmu od czasu wybuchu wojny skoczyły średnio o 20% dla całej Polski. W niektórych miastach, takich jak Wrocław, Warszawa czy Kraków, odnotowano skoki nawet o 40-50%. Szybki przegląd ofert zamieszczonych w internecie uświadamia, jak trudno teraz znaleźć mieszkanie za rozsądne pieniądze. Dla porównania: przed 24 lutego 2022 r. można było wynająć w Warszawie 50 m kw. za 2,5 tys. zł z opłatami. Dziś za podobny metraż trzeba zapłacić nawet

Ceny najmu od wybuchu wojny w Ukrainie skoczyły średnio o 20% dla całej Polski. W niektórych miastach, takich jak Wrocław, Warszawa czy Kraków, nawet o 40-50%.

podnoszone z uwagi na inflację. Wielu Polaków nie stać na wzięcie kredytu i kupienie własnego mieszkania. Tym sposobem zwiększa się grupa potencjalnych najemców. Właściciele mieszkań to widzą i windują ceny. Sami zresztą odczuwają, że pieniądź jest mniej wart, i próbują jakoś łątać własny budżet – tłumaczy Przemysław Chimczak-Bratkowski, prezes Fundacji Rynku Najmu zajmującej się tworzeniem standardów dla rynku najmu mieszkań.

4-5 tys. zł. Dodatkowo należy mieć świadomość, że większość mieszkań jest wystawiana przez biura pośrednictwa nieruchomości. Planując więc przeprowadzkę, powinno się mieć w kieszeni trzykrotność czynszu, na którą składa się opłata dla biura, kaucja i pierwszy czynsz. Jeżeli chce się wynająć najpopularniejsze wśród najemców dwupokojowe mieszkanie o powierzchni ok. 50 m kw., w pierwszym miesiącu można wyłożyć i 12 tys. zł.



Drogo i niedobrze

Ze względu na to, że sam wynajmuję od lat mieszkanie po niezmiennionej stawce, postanowiłem tarzyszyć komuś, kto właśnie szuka nowego lokum. Na tę przygodę wybrałem się z poznanym przez internet Miłozsem, który pracuje jako menedżer niższego szczebla w jednej z warszawskich korporacji. Na pierwszy ogień poszło lokum na Mokotowie. 25 m kw. z osobną kuchnią. Mieszkanie odmalowane i czyste, ale standard można określić najwyżej jako średni+. W łazience kafle z końca lat 90., tak samo jak meble w salonie, przy czym otwarcie ich drzwiczek to loteria, wygrywasz, kiedy nie spadną z zawiasu i nie zostaną ci w ręku. Sprzęt AGD ma mniej więcej 10 lat. Właściciele wynajmują lokal bezpośrednio. Odpada zatem „harcz” dla pośredników. Małżeństwo w średnim wieku uważa, że jednym z największych atutów ich oferty jest piwnica, która ma powierzchnię odpowiadającą połowie całego mieszkania. Szybko stwierdzają, że albo bierzemy lokum od razu, albo okazja przepadnie, bo chętnych jest kilku. Cena? 2,7 tys. zł z opłatami. O negocjacjach nie ma mowy. Po wyjściu Miłosz stwierdza, że to ok. 60% jego

Chcąc wynająć dwupokojowe mieszkanie o powierzchni ok. 50 m kw., w pierwszym miesiącu trzeba wyłożyć nawet 12 tys. zł.

miesięcznej pensji. Ale musi coś znaleźć, bo ma 33 lata i dość mieszkania w ciasnym pokoju niczym student.

Również Michał, który pracuje jako montażysta wideo, poświęca ponad połowę dochodów na opłacenie najmu. Jak sam podkreśla, tylko dzięki temu, że załatwił sobie coś po znajomości, płaci „zaledwie” 2,5 tys. zł za 34-metrową kawalerkę na Ursynowie. Widok z balkonu jest imponujący, lecz uwagę bardziej przykuwa stojąca tam mikrofalówka, która nie zmieściła się w kuchni. Na dodatek tuż po wprowadzeniu się Michał musiał dokończyć malowanie ścian, które zainicjowali poprzedni najemcy, ale gdzieś w poście się rozmyślił.

Złośliwi mogą stwierdzić, że skoro obaj panowie chcieli mieszkać w Warszawie, to mają za swoje, bo stolica jest po prostu droga. Spójrzmy jednak na średnią cenę wynajmu w Polsce. Według portalu Money.pl przeciętnie w styczniu 2023 r. za mieszkanie o powierzchni 40 m kw. płacono się 2,6 tys. zł. Według GUS w pierwszym miesiącu

tego roku przeciętne wynagrodzenie wynosiło zaś 6858 zł brutto, czyli na rękę wychodzi 5023 zł. Tyle że mnóstwo osób zarabia zdecydowanie poniżej średniej krajowej. Paradoksalnie w ostatnich miesiącach najbliższej tej stawki byli pracownicy zatrudnieni w obsłudze nieruchomości.

Marlena pracuje w mediach, jest singielką i dwa miesiące temu wynajęła 20-metrową kawalerkę. – Obecne ceny najmu uderzają w osoby bez partnerów. Wszystkie wzrosty opłat są zmartwieniem jednej osoby. Gdyby nie zaoszczędzone pieniądze, z których dokładałam do mieszkania, już dawno musiałabym wrócić do rodziców. Najgorsze jest to, że przeprowadziłam się do kawalerki, za którą płać więcej niż za 60 m kw., w których mieszkalam do tej pory.

Oglądamy z Miłozsem kolejną ofertę. Mieszkanie niby w bloku, a jednak nietypowe. Numer lokalu ma dodaną literę. Z początku nie możemy znaleźć klatki z takim oznaczeniem. Błądząc po podwórku nowoczesnego osiedla, wreszcie trafiamy. Okazuje się, ▶

► że mieszkanie znajduje się na parterze i ma osobne wejście. Jest to przestrzeń zaadaptowana po lokalu usługowym. W środku wygląda jednak jak typowa kawalerka urządzana na początku lat dwutysięcznych. Wskazuje na to nie tylko dizajn, ale także stan sprzętów kuchennych (m.in. pęknięta na pół płyta indukcyjna i zdarte do żywego drewniane blaty). Łazienka wygląda, jakby wcześniej była tu masarnia. Mimo wszystko mieszkanie jest czyste i odmalowane. Na podłodze drewno, jest miniaturowa zmywarka. Miłosz stwierdza, że mu się podoba.

Lekarstwa brak

– Teoretycznie ceny mieszkań mogą spaść, jeśli będziemy mieć bardzo pozytywny wynik konfliktu na Ukrainie, który w jakiś nagły sposób by się zakończył i sprawił, że Ukraińcy, którzy przenieśli się do Polski, zdecydowaliby się wrócić do ojczyzny. W takim wypadku wiele mieszkań zostałoby zwolnionych, a to wpłynęłoby na stawki. Inny, bardziej realny scenariusz to spadek cen spowodowany polepszeniem się sytuacji kredytowej Polaków,

Skoro właściciele mieszkań raz podnieśli ceny, nie będą chcieli tak prędko ich obniżyć.

Problem? Obecni wynajmujący, którzy pokazują nam tę przestrzeń, nie są w stanie powiedzieć, ile teraz będzie kosztował najem, ponieważ przez ostatnie 10 lat płacili 1,6 tys. zł z opłatami. Dziś taka cena to abstrakcja. 37 m kw. może kosztować nawet 3 tys. zł, do których trzeba doliczyć 300-400 zł na prąd, wodę i internet. Miłosz znowu zostaje z niczym, przynajmniej do czasu, aż się dowie, ile miesięcznie życzą sobie obecnie właściciele mieszkania. Wtedy się przekona, czy stać go na taki luksus jak własny kąpiel.

którzy zaczęliby kupować więcej mieszkań. Nie ma jednak co liczyć na wielkie zmiany. Skoro właściciele raz podnieśli ceny, nie będą chcieli tak prędko ich obniżyć. Można nawet w najbliższym czasie spodziewać się kolejnych podwyżek, jeśli inflacja się utrzyma – rozważa Przemysław Chmiczak-Bratkowski.

Warto też odnieść się do samego określenia rynek mieszkaniowy. Jak tłumaczył portalowi Onet badacz owego rynku dr Marcin Galent z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie w każdym kraju jest coś takiego.

W większości europejskich państw to raczej sektor. Na tym tle wyróżniają się m.in. Wielka Brytania i Polska. Różnica między rynkiem a sektorem jest zasadnicza. Na tym pierwszym decydują siły popytu i podaży. W sektorze mieszkaniowym zaś mechanizmy rynkowe ogranicza się stosownymi przepisami. Dr Galent podkreśla również, że polski rynek wynajmu mieszkań idzie drogą rozwiązań Wielkiej Brytanii, co w niedalekiej perspektywie doprowadzi nas do katastrofy, która tam już się dzieje. Dane dotyczące Wielkiej Brytanii są zatrważające – jeszcze w latach 60. przeciętne gospodarstwo domowe w Anglii wydawało na utrzymanie mieszkania ok. 20% swoich dochodów. Dzisiaj ten wydatek stanowi już 40%. Niestety, w Polsce sytuacja zaczyna wyglądać podobnie.

Obecne pokolenie 30- i 40-latków żyje w ogromnej niepewności. Nie wiadomo, czy bardziej bać się wynajmu i kaprysów właścicieli, czy może niespodzianek związanych z ratami kredytów. Nie jest to klimat sprzyjający m.in. zakładaniu rodziny. I choć rozwiązań, które moglibyśmy wprowadzić na rynku najmu, jest wiele, żadna z dotychczasowych ekip u władzy nie kwapiła się, by zająć się tą sprawą. Być może wynika to z faktu, że rząd musiałby na poważnie wziąć się do budowy mieszkań, a nie tylko pozorować, że tym się zajmuje. Trudno powiedzieć, żeby wyszło to np. Platformie Obywatelskiej, która dziś szermuje hasłem „mieszkanie prawem, nie towarem”. Jej obecna oferta to tak naprawdę kredyty hipoteczne, a nie mieszkania. Z mieszkalnictwem nie udało się też Prawu i Sprawiedliwości, które poniosło klęskę w realizowaniu własnego programu Mieszkanie+. Sytuacja jednak nigdy się nie poprawi, jeśli politycy i społeczeństwo nie wyjdą poza myślenie rynkowe i nie zwrócą się w stronę budowania mieszkań społecznych czy komunalnych, które budowałyby także poczucie, że najemcy są w takich lokalach u siebie. Jeśli będziemy dalej szli brytyjską ścieżką, niebawem Polacy zamienią powiedzenie „ciasne, ale własne” na „mikro i przepłacone”.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Populizm a niezawisłość sędziowska

„Po ponad czterech latach od zamachu na życie Pawła Adamowicza sąd w Gdańsku wydał nieprawomocny wyrok. Zabójca prezydenta Stefan Wilmont skazany został na dożywocie”, donosiła nie bez satysfakcji „Gazeta Wyborcza”. Trzeba jednak uściślić. Zabójca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza skazany został na karę dożywotniego pozbawienia wolności z obostrzeniem, że o warunkowe przedterminowe zwolnienie będzie mógł się starać nie wcześniej niż po upływie 40 lat (normalnie mógłby się starać już po 25 latach). Uwzględniając wiek skazanego (31 lat) i średnią długość życia mężczyzn w Polsce (71,8 lat), można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że sąd nie tyle obostrzył wobec oskarżonego prawo do ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie, ile tego prawa go pozbawił. A na to kodeks w dotychczasowym swoim kształcie nie pozwala.

Jak rzadko u nas bywa, wyrok ten spotkał się jednak z powszechną aprobatą. W mediach, także społecznościowych, powszechnie chwalono sąd i sprawiedliwy wyrok.

Uwagze chwaleńcy umknęło też to, że sąd w ślad za opinią biegłych psychiatrów (a opiniowały aż trzy zespoły biegłych, jeden z nich uznał całkowitą niepoczytalność oskarżonego) przyjął, że oskarżony działał w stanie poczytalności ograniczonej w stopniu znacznym. Uzasadniając wyrok, sędzia Aleksandra Kaczmarek wywodziła, jak podaje „Gazeta Wyborcza”, że oskarżony nie cierpiał na chorobę psychiczną, ale rozpoznano u niego zaledwie krótkotrwałe „zaburzenia schizotypowe”. (Mam nadzieję, że pani sędzia wraz z ławnikami beztędnie odróżnia te zaburzenia od schizofrenii „o lekkim przebiegu”). Miała również stwierdzić, że motywacja oskarżonego zasługuje na szczególne potępienie. Sąd nie dostrzegł żadnych okoliczności łagodzących. Oskarżony, zdaniem sądu, dobrze przygotował się do zamachu, kupił nóż, wiedział, jak dostać się na scenę, zadał precyzyjne ciosy, wybrał dogodny moment na atak. Wszystko to miało przesądzać o poczytalności i premedytacji oskarżonego.

Nie widziałem akt procesu, cała moja wiedza o zdarzeniu opiera się na relacjach medialnych. Jeśli media relacjonują ustne przedstawienie uzasadnienia wyroku rzetelnie, to – przepraszam za mocne słowa – była to kompromitacja wymiaru sprawiedliwości. Ilustracja niekompetencji i uleganie populizmowi. Pomijam już wspomniane wyżej „surowsze ograniczenia do skorzystania z warunkowego przedterminowego zwolnienia”. Wobec osoby, u której orzeczono poczytalność ograniczoną w stopniu

znacznym, sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary. Czyli wymierzyć karę poniżej dolnego zagrożenia. W tym przypadku poniżej ośmiu lat pozbawienia wolności. Oczywiście może, ale nie musi. Orzecznictwo jednak wymaga, aby uzasadnił, dlaczego tego nie zrobił.

Osobom niebędącym prawnikami wyjaśniam: „poczytalność” jest istotnym składnikiem „winy”. Ograniczenie poczytalności jest więc zarazem ograniczeniem winy. Wedle naszego Kodeksu karnego kara ma być proporcjonalna do winy (jej „dolegliwość nie może przekroczyć stopnia winy”). W tym przypadku, mimo ograniczenia poczytalności w stopniu znacznym, a tym samym ograniczenia winy w stopniu znacznym, sąd wymierzył najwyższy możliwy wymiar kary! Argumenty przemawiające w opinii sądu za działaniem z rozeznaniem (bo kupić nóż, wszedł na scenę, wiedział, kogo zaatakować etc.) świadczą jedynie o tym, że sąd ma swoiste wyobrażenie o chorobie

Wyrok na zabójcę Pawła Adamowicza satysfakcjonuje równocześnie ministra Ziobrę i liberalną opinię publiczną. Tyle że nie jest sprawiedliwy.

psychicznej, jej przebiegu i objawach. Zdaniem sądu, jeśli ktoś nie wyje, nie drapie ścian, rozumie z grubsza, co się wokół niego dzieje, najwyraźniej jest zdrowy psychicznie. No, niekoniecznie. Wybitny polski psychiatra Karol Spett pisał: „Sprawca, który w chwili czynu dotknięty był schizofrenią nawet o lekkim przebiegu, jest niepoczytalny. Odnosi się to również do tych osób, które kierowały się pozornie zrozumiałymi motywami. (...) Zachowanie się tych chorych wynika z łączenia działających pobudek zrozumiałych i patologicznych”.

Ten wyrok gdańskiego sądu jest pod pewnym względem idealny: satysfakcjonuje równocześnie ministra Ziobrę i liberalną opinię publiczną. Tyle że wyrok powinien być sprawiedliwy, niezależny od populistycznych nastrojów. A ten wyrok nie jest sprawiedliwy. Znakomicie wpisuje się w to, co nazywamy populizmem penalnym.

A tak na marginesie: wedle badań z 24 dokonanych w Europie w latach 1990-2004 zamachów na polityków motywacją polityczną miało jedynie dziewięć. Reszta to zamachy z motywacji psychotycznej. Zamachowcy wybierali jako ofiary nie polityków jako takich – tym bardziej nie kierowali się ich przynależnością do danej opcji politycznej – ale osoby znane i znaczące. Ich zabicie miało dać im rozgłos. I z reguły dawało. ■

To nie będą wybory, to będzie plebiscyt

W Polsce głośnie się różańcem i portfelem.
Pytanie, co zwycięży

Rozmawia Robert Walenciak

Mamy w mediach wielkie halo – operację namawiania na wspólną listę opozycji.

– Uczestniczyłam w prezentacji tego sondażu obywatelskiego. Doceniam tę inicjatywę. Ale jeżeli będziemy mówić: albo wspólna lista, albo nic, to właściwie możemy zostać w domu, bo efekt będzie demobilizujący. Taka akcja jest po prostu kontrskuteczna.

Razem czy osobno

Jak więc odbierać tych wszystkich, którzy powtarzają: „jedna lista, jedna lista”? Czy to ludzie naiwni, czy różni naganiacze Platformy, bo takie odnoszę wrażenie.

– Ja takiego wrażenia, że to naganiacze, nie odnoszę. Natomiast obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to idea wspólnej listy zostanie pogrzebana. Z prostego powodu – gdybym była politykiem PSL czy Hołownia, dokładnie tak bym to wszystko odczytywała. Te namowy na wspólną listę. Bo wiadomo, że w tej chwili na jednej liście opozycji korzystałaby przede wszystkim Platforma, ale nie w liczbie postów czy posłanek, tylko w dojściu do celu, jaki sobie stawia. **Wydaje mi się, że Donald Tusk mógłby tę sprawę dosyć łatwo przeciąć, np. proponując mniejszym graczom układy bardziej partnerskie.**

– Tusk to proponował, padały takie propozycje w przestrzeni publicznej. Mówił niedawno, że jeśli Hołownia chce być przed nim, to

bardzo proszę. W teorii wszystko jest proste, zwłaszcza deklaracje. Ale na to nakłada się inna logika. W takiej polaryzacji, jaką dziś mamy, polityka jest obszarem absolutnie spersonalizowanym, więc ostatecznie to i tak Tusk będzie ponosił odpowiedzialność. Druga sprawa: on ma jeszcze swoją partię. I wie, że musi ją podnieść, zmobilizować, a także zmienić. A przy tym ma pełną świadomość, że albo wygra Platforma, albo nie wygra nikt.

Że Platforma jest skazana na rolę lidera opozycji.

– Nikomu nie odmawiam patriotyzmu, dobrej woli, chęci odsunięcia PiS od władzy. Tylko że sytuacja mniejszych partnerów jest bardziej komfortowa niż Tuska. Bo dla niego i dla Platformy, a nawet całej Koalicji Obywatelskiej, te wybory to jest być albo nie być. A mniejsi i tak sobie poradzą.

Jak Hołownia i PSL przegrają, to Polska 2050 i jej lider zakończą przygodę z polityką, a PSL zostanie zepchnięte na pobocze.

– Ale co to znaczy „przegrają”? Nie wejdą do parlamentu? 5% przekroczą! Będą mieli swoją reprezentację. I mogą być potencjalnymi koalicjantami zarówno PO, jak i PiS. Kosiniak-Kamysz i Hołownia grają swoje. To PSL w roku 2019 zerwało Koalicję Europejską. Gdyby Kosiniak-Kamysz wtedy się nie wycofał,

wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Hołownia? Jego Polska 2050 powstała jak Nowoczesna, przeciwko Platformie, a nie żeby jej pomagać. Zandberg wprost mówi, że nie wyobraża sobie wspólnych list z PO.

Ale rząd sobie wyobraża...

– Wspólna lista – nie, wspólny rząd – jak najbardziej. To bardzo ciekawa postawa.

Dotrzeć do niezmobilizowanych

Mniejsze partie walczą zatem o mocniejszą pozycję. A Tusk? Dla niego to chyba ostatnie wybory.

– Jeśli przegra. A rosnąca polaryzacja powoduje, że cały atak idzie na niego. Na zasadzie: mamy spersonalizowanego wroga, znanego z nazwiska, z twarzy, więc atakujemy wszystkimi siłami.

Hamulców żadnych nie ma: zdrajca, lokaj Angeli Merkel, kolega Putina...

– Kolejny etap w osuwaniu się w niedemokrację albo, jak twierdzi Moisés Naím, w autorytaryzm to kryminalizacja przeciwników politycznych. Ten etap nadchodzi, świadczy o tym pomysł komisji weryfikacyjnej, którą PiS przepycha. Bez sądu, bez niczego komisja ma wykluczać przeciwników PiS z życia publicznego. To pokazuje, o co toczy się bój.

O domknięcie systemu.

– Dlatego, im więcej jest sporów po stronie opozycyjnej, tym gorzej.

Dr Anna Materska-Sosnowska – prowadzi zajęcia w Katedrze Systemów Politycznych na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Członkini zarządu Fundacji Batorego.



DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA

I dlatego dla Platformy te wybory to gra o życie, ale nie tylko jako partii, również jako partii w systemie demokracji parlamentarnej.

Dlaczego PO miałyby się rozpaść, gdyby przegrała wybory?

– To nie tak, że musiałyby się rozpaść. Rzecz w tym, że dzisiaj przy tak ostrym sporze politycznym i przy tak postawionych oczekiwaniach i żądaniach, gdyby przegrała, po prostu tego ciężaru by nie utrzymała. Bo jak wytłumaczyć przegraną, kiedy rzucone zostały wszystkie siły, wszystkie ręce na pokład? Zwłaszcza że to partia zróżnicowana, nie jest ona, że tak powiem, jednego wyznania. To nie jest PiS sprzed lat, które przegrywało i się podnosiło, które żywiło się paliwem smoleńskim.

No i przeciwnika Platforma ma innego, niż miało PiS.

– Dlatego, gdy PiS wygra, gdy będzie miało trzecią kadencję, spodziewajmy się ostrego wdrażania wariantu węgierskiego: spacyfikowania opozycji i reszty wolnych mediów czy organizacji pozarządowych.

Zandberg wprost mówi, że nie wyobraża sobie wspólnych list z PO. Wspólna lista – nie, wspólny rząd – jak najbardziej. To bardzo ciekawa postawa.

Systemu, w którym opozycja niby jest, ale możliwości wygranej to ona nie ma? Bo została odcięta od mediów, od pieniędzy, skazana manipulacjami w ordynacji na nierówną walkę?

– Proszę zobaczyć, jak opozycja została spacyfikowana w parlamencie. Czym jest dzisiaj parlament?

Wystąpienia trzypięciominutowe, reasumpcje głosowań, brak prac legislacyjnych itd. Jaka jest jego rola w systemie władzy?

Po pierwsze, mobilizacja

Jeżeli Platforma gra o wszystko, to co jest dla niej najważniejsze?

– Mobilizacja elektoratu. To powinno następować w kilku etapach. Najpierw trzeba podnieść na duchu te grupy, które są zmobilizowane, czyli tzw. twardy elektorat. A potem trzeba zaktywizować grupy niemobilizowane.

Jak je znaleźć?

– Badania pokazują, że wśród młodych wyborców i wśród kobiet, też tych młodszych, jest bardzo duży odsetek, który nie zamierza iść na wybory. To są pola do zagospodarowania.

To dziwne, mieliśmy przecież nie tak dawno wielkie manifestacje w obronie praw kobiet.

– To było trzy lata temu. A trzy lata w przypadku np. 18-latków czy nawet 24-latków to są zupełnie inne trzy lata niż dla nas, prawda? Poza tym te grupy najmniej interesują się polityką i najmniej korzystają z tradycyjnych źródeł informacji. Ale jeżeli robimy pogłębione badania wśród młodych, to ponad 70% pytanym mówi, że sytuacja w kraju jest zła, idzie w złym kierunku. Oni są niezadowoleni.

Alé głosować się nie wybierają.

– Dzisiaj! To, że dzisiaj są zdemobilizowani, nie znaczy, że będą tacy jesienią. Oto zadanie dla opozycji: mobilizować swoje elektoraty, swoich potencjalnych wyborców.

Z danych sondażu obywatelskiego wynika też, że ważną rolę w mobilizacji lub demobilizacji wyborców będzie odgrywać kształt list opozycji.

– Kiedy patrzymy na zapisane tam wyniki, rzuca się w oczy różnica głosów na opozycję w zależności od tego, czy jej partie idą na jednej liście, ►

► czy na kilku. To jest różnica 800 tys. wyborców!

Gdy partie idą na różnych listach, gromadzą więcej wyborców.

– Ale mandatów dostają mniej. Tak jest urok D'Hondta. Jak oceniam, większość z tych 800 tys. to wyborcy lewicy.

Oni wolą nie iść do wyborów, niż głosować na Platformę.

– A opozycja nie powinna ich stracić. Poza tym sondaż ten nie uwzględnia dzisiejszej sytuacji, czyli, po pierwsze, w ogóle nie było w nim podanej koalicji, która już jest i jest najbardziej prawdopodobna, czyli listy PSL-koalicja. Po drugie, nie były w nim uwzględnione efekty „Franciszkańskiej 3”. A w tej sprawie mobilizacja będzie bardzo poważna. Tu faktycznie PiS dostało oręż do ręki. Z drugiej strony, jeżeli mówimy o mobilizacji, efekty inflacji dopiero teraz zaczynają być bolesne. Na szczęście zima nie była ciężka, więc ogrzewanie tak bardzo dużo nie kosztowało, ale wzrost cen naprawdę jest odczuwalny. A w Polsce głosuje się różnicami i portfelem. Pytanie, co zwycięży.

Kto jakimi nabojami gra

Czyli to jest zadanie dla partii opozycyjnych – mobilizować swoich wyborców.

– Tak i to już powinno się dziać. Partie opozycyjne powinny już mówić swoim wyborcom, co chcą

zrealizować. Wiemy, że chcą odsunąć PiS od władzy. Ale co dalej? Jakie są kolejne punkty w ich planach? Wizja Polski po roku 2023 musi być jasno zarysowana. Bo po przeciwnej stronie jest PiS, które nie dosyć, że gra na uprzywilejowanym polu ze względu na to, że jest partią rządzącą, ma wielkie środki na rozdawnictwo oraz media publiczne, to jeszcze sprzyja mu efekt „Franciszkańskiej 3”, który będzie znaczący i na pewno będzie wykorzystywany. W dodatku jest wojna, a jak jest wojna, to mamy kolejny efekt sprzyjający rządzącym – skupienia wokół flagi.

A opozycja? Co jej może sprzyjać?

– Na korzyść opozycji będą grały takie czynniki jak inflacja i drożyzna. To ludzie coraz mocniej czują. Zraża ich również do PiS zawłaszczanie

– Wszystko zmierza w kierunku pogłębiającej się polaryzacji. Rozwija się także populizm. Rządzący rozbudowują swoją narrację, próbują ją narzucić... Więc owszem, czeka nas rodzaj plebiscytu.

Plebiscyt, sytuacja dwóch bloków, zubaża politykę, wręcz ją niszczy. Zmusza przeciw wyraziste grupy do milczenia. Żeby nie zrazić czymś wyborcy. Jak np. opozycja będzie mówić o prawach kobiet? Czyim głosem? Będzie milczeć!

– Nie! Prawa kobiet absolutnie będą jednym z haseł opozycji. Prawa kobiet to jest poczucie wolności i poczucie równości. To są hasła fundamentalne. Owszem, system dwóch bloków wycisza bardziej radykalne postulaty, zwłaszcza takie,

Dla Platformy te wybory to gra o życie, ale nie tylko jako partii, także jako partii w systemie demokracji parlamentarnej.

i rozkradanie państwa, powiedzmy umownie Willa+. Są też coraz mocniejsze oczekiwania społeczne dotyczące poprawy usług publicznych. Służba zdrowia, edukacja, inwestycje, dostępność mieszkań. Poczucie życia w bezpiecznym, przewidywalnym kraju. Określimy to zbiorczo jako jakość życia.

Wszystko więc wskazuje na to, że jesienne wybory będą czymś w rodzaju plebiscytu?

które mogą wewnętrznie dzielić. Tylko że powinniśmy mieć świadomość, że nie żyjemy w normalnych czasach, w których rozważa się niuanse pomiędzy partiami demokratycznymi. Dziś ten spór jest dużo bardziej fundamentalny. Jest sporem o to, czy demokracja liberalna się obroni, czy też wpadniemy w taki system jak na Węgrzech – że opozycja niby jest, ale fasadowa, podobnie zresztą jak wybory. Każdy więc powinien mieć świadomość stawki. Że odsuwamy się od demokracji i osuwamy w miękki autorytaryzm. I nie można mówić, że jakoś to będzie.

Sondaże pokazują, że to osuwanie się w autorytaryzm nie odstrasza. Co widać na razie w dyskusji o wspólnej liście.

– Jesteśmy siedem miesięcy przed wyborami. I chyba nie ma już co rozmawiać o tym, czy do wyborów partie opozycyjne pójdą tak, czy siak. Pójdą tak, jak pójdą. I teraz zastanówmy się, co zrobić, żeby zmaksymalizować ich szanse, skoro wcześniejsze okazje, by być silniejszym, przepuścić.

Robert Walenciak

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka



**GAMBIT
JARUZELSKIEGO**
OSTATNIA TAJEMNICA
STANU WOJENNEGO

PONOWNIE W SPRZEDAŻY!

49 zł

Poproś o dedykację i autograf

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Polowanie na Wojtyłę

Kto zaczyna od papierów ubeckich, ten na nich kończy. Emitowany przed paru tygodniami w TVN 24 reportaż Marcina Gutowskiego mówił nie tyle o Karolu Wojtyśle, ile o podległych mu księżach, nie tylko jednak o pedofilach, lecz i o takich, którzy złamali zasadę celibatu. Niedobrze więc, że w odbiorze społecznym obie te winy zostały wymieszane. Reportaż mówił jednak przede wszystkim o ofiarach, oddawał im głos – i to jest jego największa zasługa. Z drugiej strony nikogo jakoś nie uwiera identyfikacja prześladowców z imienia i nazwiska, zaledwie kilkanaście lat po ich śmierci. Wszak nawet pedofil to człowiek. Ale moralność lustracyjna obniżyła w nas barierę wrażliwości.

Papiery ubecko-esbeckie skonfrontowano tu z zeznaniami świadków – i to oczywiście dobrze. Ale i w tym przypadku pojawia się wątpliwość: czy znając najpierw świadectwa materialne, nie szukamy czegoś pod tezę? Nie zadawałbym tego pytania, gdyby nie wątek kard. Adama Sapiehy, gdzie nie ma mowy o żadnych świadkach (dawno nie żyją), a mówią same tylko źródła z UB. Gdy będziemy pamiętać, że zapewne przygotowywano już wtedy proces księży kurii krakowskiej (odbył się w styczniu 1953 r., po śmierci Sapiehy), to jaką wiarygodność mają takie świadectwa? Również szukanie korzeni zła w krakowskich czasach Wojtyły wydaje się rzutowaniem w przeszłość jego win z okresu pontyfikatu.

Tak, w swych czasach krakowskich kard. Wojtyła wiedział. Lecz przecież reagował! To znaczy: przenosił grzesznych księży na inne parafie, odsuwał ich od pracy z dziećmi, dawał im szansę, ofiarowywał miłosierdzie. Pytanie, czemu miłosierdzie nie okazywał ofiarom, jest zasadne, lecz o tyle jałowe, że w tamtych czasach nikt tego nie oczekiwał od Kościoła. To dopiero dzisiaj wiemy, że choćby tylko rozmowa, lub pomoc psychologa, była krzyczącą koniecznością. Wiemy też, że przenoszenie pedofila było oddaniem mu w łapy innych dziecięcych ofiar. Ale jeżeli nawet dziś słyszy się w kręgach kościelnych, że homoseksualizm jest grzechem, że można go wyleczyć, to tym bardziej sędzono tak wtedy, i to także w przypadku pedofilii. W tamtym czasie seksuologia zaledwie raczkowała.

A jednak nawet taka postawa, i nawet w tamtych czasach, budzi wątpliwości. I nie jest tylko grzechem zaniedbania. W audycji Gutowskiego osoby duchowne odwołują się do paragrafów kodeksu kanonicznego – a gdyby tak sięgnąć do źródeł chrześcijaństwa? O hołubionej

przez Jana Pawła II tematyce aborcyjnej Ewangelie milczą (czyżby wtedy nie spędzano płodu?), ale św. Mateusz (18,6) powiada wyraźnie: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza”. Czy Kościół XX w. pamiętał te słowa sprzed 2 tys. lat? Oraz czy je rozumiał?

A w końcu wszystko to i tak nie jest najważniejsze! Wstrząsają nami bezeceństwa poszczególnych księży, oskarżamy papieża Polaka o hołubienie przestępców seksualnych, tymczasem usuwamy z pamięci to, co ten papież zrobił wszystkim Polakom. Owszem, przez lata był apostołem wolności, lecz przecież to on jest odpowiedzialny za obłęd antyaborcyjny, który od początku III RP rujnuje polski pokój społeczny. To jego nauczanie spowodowało piekło kobiet, zaostrzające się i nikczemniejące z roku na rok. Owoce Wojtyłańskiej postawy widzieliśmy

To nauczanie Jana Pawła II spowodowało piekło kobiet, zaostrzające się i nikczemniejące z roku na rok.

w perłach intelektu naszego Episkopatu, gdy metodę in vitro nazwano „wyrafinowaną aborcją”, a w szczepionkach przeciw covidowi widziano „abortowane płody”. I to przecież papież Wojtyła odpowiada za (najdelikatniej mówiąc) wyciszenie nieortodoksyjnych teologów, co w konsekwencji wypłukało katolicyzm z wszelkiej świeżości, sprowadziło go do intelektualnej papki, tak dziś bijącej w oczy na szkolnych lekcjach religii. A czy trzeba przypominać papieskie wezwanie, by „bronić krzyża” (broniono go potem – na zwirowisku w Auschwitz), bądź słowa, że „katolicy w Polsce są dyskryminowani” (skorzystał z tej dyskryminacji zwłaszcza Tadeusz Rydzyk). I to w końcu Jan Paweł II, słynący wcześniej z podniosłych gestów ekumenicznych, sam je zastopował pod koniec życia – deklaracją *Dominus Iesus*.

Kto zaczyna od papierów ubeckich, ten na nich kończy. Bo zatrzymuje się na sprawach przerażających wprawdzie, lecz – jakkolwiek to zabrzmie – zawsze jakoś incydentalnych. Tymczasem rana zadana Polsce przez papieża Polaka jest większa i głębsza. Dzisiejsze polowanie na Wojtyłę, choć nie zawsze uzasadnione i sprawiedliwe, jest odwetem ludzi, których oszukano.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Innowacyjne efemerydy

W latach 2007-2013 na wsparcie innowacji w Polsce tylko w ramach jednego programu wydano 110 mln euro. Efekt był żaden

Marek Czarkowski

Działanie 3.1 w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka do dziś budzi dreszcz emocji wśród osób zajmujących się unijnymi dotacjami. Ponieważ pod względem innowacyjności nasza gospodarka na początku XXI w. wlokła się w ogonie państw unijnych, wyprzedzając jedynie Bułgarię i Rumunię, ktoś w rządzie Donalda Tuska wpadł na pomysł, by wpompować trochę grosza w program zwiększenia liczby innowacyjnych przedsiębiorstw. Pieniądze miały trafić do spółek związanych z poszukiwaniem i oceną przedsiębiorstw zajmujących się tworzeniem i wykorzystaniem nowoczesnych technologii. 110 mln euro podzielono między ok. 50 takich podmiotów. Ich zadaniem było udzielanie wsparcia wchodzącym na rynek start-upom.

Najwięcej – 19,9 mln zł – otrzymała Fundacja Towarzystwo Ekonomiczno-Społeczne. 19,6 mln zł przyznano Fundacji na rzecz Budowy Społeczeństwa Opartego na Wiedzy „Nowe Media”. Kwotą 19,2 mln zł musiała się zadowolić spółka Akcelerator Innowacji NOT. Godne uwagi były

11,7 mln zł otrzymała spółka Miasteczko Multimedialne z Nowego Sącza, której aktywność i upadek stały się później przedmiotem wniosków prokuratury i sądów. Poznańska spółka SpeedUp Iqbarator (dotacja 12,2 mln zł) w roku ubiegłym zawiesiła działalność i niczego już nie można się dowiedzieć o jej dawnej aktywności. Na taki sam krok zdecydowała się warszawska spółka TechnoBoard (dotacja 14,2 mln zł). Mająca siedzibę w Krakowie spółka JCI Venture (14,9 mln zł dotacji) w 2021 r. została wykreślona z Krajowego Rejestru Sądowego. Długo można ciągnąć listę beneficjentów unijnego wsparcia, którzy dostali pieniądze, po czym dyskretnie zakończyli swój gospodarczy żywot. Lecz nie to było najciekawsze.

Miniaturowe paczki i noclegiada

W mającej niewiele ponad milion obywateli Estonii powstało co najmniej siedem innowacyjnych firm, z których każda jest dziś warta ponad miliard dolarów. Najbardziej znane to: założony w 2005 r. Skype – twórca komunikatora internetowego, Playtech – zajmujący się tworzeniem

spółka Noclegiada.pl, która prowadziła portal internetowy pozwalający znaleźć nocleg. Wystarczyło podać miejsce i termin oraz maksymalną cenę, jaką chcemy zapłacić, a portal miał sam wysłać zapytania do właścicieli obiektów noclegowych. Z nadesłanych odpowiedzi generowany był raport zawierający informacje o spełniających nasze wymagania propozycjach, spośród których mogliśmy dokonać najlepszego wyboru bez dzwonienia i pytania, czy są wolne pokoje. Najwyraźniej coś poszło nie tak, bo dziś domena noclegiada.pl jest do kupienia na stronie aftermarket.pl. W tę konkurencję dla Airbnb i Booking.com zainwestowała wspomniana już spółka InQbe.

Inną ciekawą jej inwestycją była spółka 3MQ, która miała zajmować się dostarczaniem niestandardowej usługi – comiesięcznej subskrypcji KissBoxa (pudełko z miniaturami produktów kosmetycznych) oraz udostępnianiem pełnowymiarowych wersji produktów w sklepie internetowym KissBox.pl. Podkreślano, że taki model handlu internetowego zyskuje coraz większą popularność na Zachodzie i świetnie nadaje się do adaptowania do polskich warunków. Także w tym przypadku biznes nie wypalił, gdyż obecnie na stronie kissbox.pl oferowane są zegarki damskie, męskie i dla dzieci. Zniknęły gdzieś kosmetyki i pudełko z miniaturowymi próbkami. Spółka 3MQ istnieje, lecz w Krajowym Rejestrze Sądowym znalazłem wpis o umorzeniu prowadzonej przeciwko niej egzekucji z uwagi na fakt, że nie uzyska się sumy wyższej od kosztów egzekucyjnych. Czyżby spółka nie nadawała się nawet do upadłości? Cóż, taki los innowacyjnego polskiego start-upa.

W 2016 r. zakończyła działalność gdańska spółka Obiadowo,

Firma InQbe dostała 17,4 mln zł dotacji. Wiele start-upów, w które zainwestowała, już nie istnieje.

też dwa inne podmioty – spółka Ventures Hub (dotacja 18,4 mln zł) oraz spółka InQbe (dotacja 17,4 mln zł) – ze względu na panów Macieja Habzkiego i Wojciecha Przyłęckiego, których nazwiska pojawiły się w obu tych firmach. Obaj uchodzili za ekspertów od finansowania innowacyjnych przedsiębiorstw i chętnie udzielali się w mediach.

oprogramowania gier hazardowych, przedsiębiorstwo usług finansowych Wise i Bolt, który stał się konkurentem Ubera.

W Polsce nie dorobiliśmy się ani jednej takiej spółki. Co nie przeszkodziło ekspertom od inwestycji w start-upy wydawać na potęgę nie swoje pieniądze. Na przykład w podkrakowskiej miejscowości Węgrzce powstała

Laboratoria Wrocławskiego Centrum Badań EIT+ są m.in. wynajmowane zewnętrznym grupom badawczym oraz zespołom realizującym prace zlecone.



której jednym z udziałowców również była spółka InQbe. Miała ona prowadzić internetową platformę umożliwiającą grupowe zamawianie posiłków dla pracowników. Strona internetowa obiadowo.pl działa, lecz w Bielsku-Białej.

Następna spółka, która była związana z InQbe i zakończyła działalność, to Ofertonometr z Kutna. Firma miała prowadzić serwis umożliwiający wyszukiwanie towarów i ofert w sklepach internetowych. Po raz kolejny próba zbudowania konkurencji dla Ceneo nie wypaliła i w 2020 r. Ofertonometr przeszedł do historii. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że większość z 50 spółek, w które InQbe zainwestował środki pochodzące z Brukseli, zakończyła gospodarczy żywot.

Inne podmioty gospodarcze, które otrzymały pieniądze w ramach Działania 3.1 w Programie Operacyjnym Innowacyjna Gospodarka na wspieranie start-upów, osiągnęły podobne efekty jak InQbe. Zwłaszcza mieszcząca się przy ulicy Kolady 3 w Warszawie Fundacja Towarzystwo Ekonomiczno-Społeczne (najwyższa dotacja w programie – niemal 20 mln zł).

Doliczyłem się kilkunastu spółek zarejestrowanych pod tym adresem. Cechą charakterystyczną tych podmiotów była obecność w ich radach nadzorczych osób o nazwiskach zbieżnych z nazwiskami członków zarządu owej fundacji. Blasku dodawały jej zaś wybitne postacie dwóch by-

w ramach Działania 3.1 odniósł sukces, była spółka Wrocławskie Centrum Badań EIT+. Otrzymała ona dotację w wysokości 11 mln zł na projekt „Akcelerator EIT+ spółek innowacyjnych o hybrydowym profilu branżowym”. Start-upom oferowano m.in. dofinansowanie

Wrocławskie Centrum Badań EIT+ dobrze inwestowało unijne pieniądze dzięki zaangażowaniu zespołu prof. Mirosława Millera. Niestety, profesorowi uniemożliwiono dalsze działanie.

tych ministrów finansów, Jarosława Bauca oraz Andrzeja Olechowskiego, którzy nadal figurują w KRS jako członkowie rady nadzorczej Fundacji Towarzystwo Ekonomiczno-Społeczne. Gdyby dziś zdarzyła się taka sytuacja, posłowie w ramach kontroli roznieśliby towarzystwo w proch i pył. Ale to były inne czasy i inny modus operandi.

A jednak czasem coś się udaje

Byłoby niesprawiedliwością nie wspomnieć o kimś, komu się udało. Jedynym podmiotem, który

do kwoty 200 tys. euro, w zamian za udziały, jednak nie więcej niż 49%. Ostatecznie wyłoniono 13 podmiotów godnych wsparcia, z których do dziś działa nie mniej niż dziesiątka. A co najmniej dwa odniosły spektakularny sukces.

Największy stał się udziałem spółki Infermedica. To firma medyczno-technologiczna, która tworzy wykorzystujące sztuczną inteligencję rozwiązania ułatwiające wstępną diagnostykę medyczną oraz kierowanie ruchem pacjentów w formie aplikacji na telefon i platformy internetowej. Spółka działa ▶

► w Stanach Zjednoczonych oraz wielu innych krajach.

Druga spółka, którą trzeba się chwalić, to Lipid System – innowacyjna firma farmaceutyczna, w której opracowano i opatentowano unikatową technologię skutecznego zamykania substancji czynnych w liposomach o nazwie Liposhell®. Umożliwia to wytwarzanie najnowocześnie-

określonych właściwości fizycznych. Hybrid Glass Poland to bardziej placówka naukowo-badawcza niż zakład produkcyjny.

Sukces projektu był możliwy dzięki zaangażowaniu zespołu zbudowanego przez prof. Mirosława Millera, twórcę i prezesa Wrocławskiego Centrum Badań EIT+ mieszczącego się w Kampusie Prace. Jego ludzie

finansowa Wrocławskiego Centrum Badań EIT+ szybko się pogorszyła i gdyby nie włączenie go do stworzonej przez rząd PiS Sieci Łukasiewicz, skończyłoby się upadłością.

Szkoda, że politycy nie wyciągnęli z tej historii właściwych wniosków. Może wtedy, choć w pewnym stopniu, uniknęlibyśmy błędów, a dotacje unijne na podniesienie poziomu innowacyjności polskiej gospodarki nie byłyby marnowane.

Działanie 3.1 otacza dzisiaj czarna legenda. To przykład, jak skutecznie wyciągnąć pieniądze z Brukseli i nie ponieść konsekwencji. Z drugiej strony cynicy zwracają uwagę, że zamiast na innowacje unijna kasa poszła na zakup sprzętu komputerowego, leasing samochodów, pensje dla menedżerów oraz uczestników projektów, wynajem lokali, delegacje zagraniczne itp. Przy okazji płacono ZUS, podatki VAT i CIT. Można stwierdzić, że w skali makro polska gospodarka zyskała. Tylko czy takie były założenia?

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

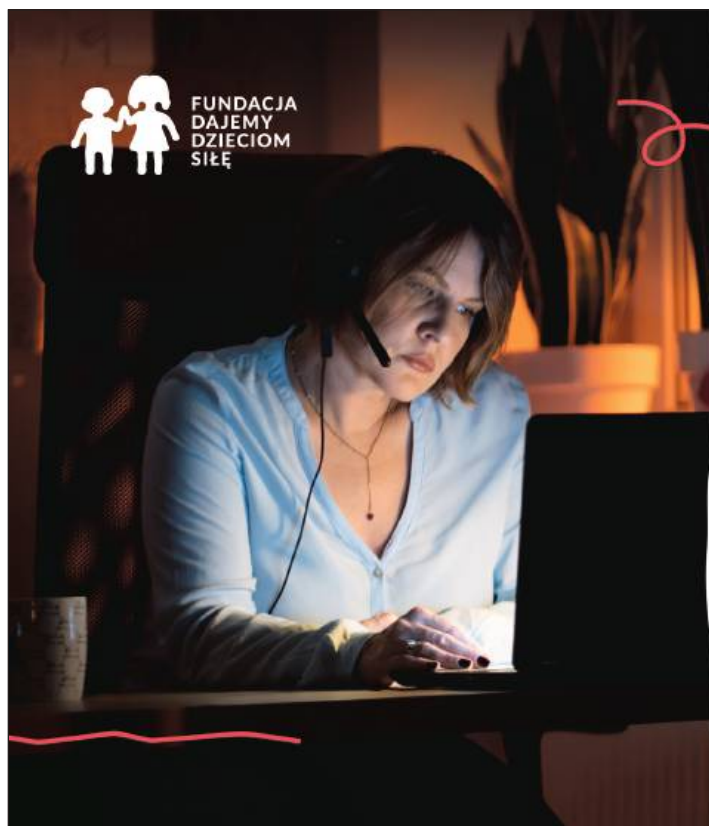
Długo można wyliczać podmioty, które dostały unijne pieniądze, po czym dyskretnie zakończyły swój gospodarczy żywot.

szych form leków, wyrobów medycznych oraz suplementów diety. Lipid System sprzedaje swoje produkty dużym koncernom farmaceutycznym.

Nieźle radzi sobie spółka Hybrid Glass Poland zajmująca się projektowaniem, rozwojem i komercjalizacją szkielek hybrydowych o różnych właściwościach. Szkło hybrydowe można pokrywać różnego rodzaju materiałami w celu zapewnienia większej wytrzymałości, odporności chemicznej i uzyskania innych

byli w stanie ocenić potencjał spółek i wybrać te najlepsze. Poczynione wówczas inwestycje przyniosły duże zyski EIT+.

Z pewnością byłoby więcej takich przykładów, gdyby pozwolono profesorowi działać. Po latach można powiedzieć, co się stało. Dzięki „życzliwości” niektórych przedstawicieli wrocławskiego świata nauki prof. Miller został niesłusznie oskarżony o machinacje finansowe i odwołany z funkcji. Po jego odejściu sytuacja



CODZIENNIE ODBIERAMY TELEFONY Z WOŁANIEM O POMOC

Dzieci często dzwonią do nas w nocy.
Problemy i lęki nie pozwalają im spać.
Słuchamy ich. Wspieramy.
Jesteśmy dla nich zawsze.

Przekaż **15%**
Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę
i wspieraj telefon zaufania **116 111**

KRS 0000 20 44 26

wspierajtelefon.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Najpierw kilka zdań o charakterze ogólnym. Ekonomia jest zbyt poważną rzeczą, by ją powierzać ekonomistom. Ekonomia jest nauką społeczną. Pieniądze w historii świata były traktowane różnie, zależnie od przyjętych założeń i poglądów. Tylko nieliczni ekonomiści, spoza głównego nurtu, przewidywali i zapowiadali kryzys roku 2008 i obecny.

W ostatnich tygodniach Rezerwa Federalna w USA dosypała w ciągu kilku dni na ratowanie upadłych banków Silvergate, Silicon Valley Bank i Signature co najmniej 200 mld dol., a przewidywania mówią o nawet 2 bln dol. Amerykańska panika (cóż za naukowy termin ekonomiczny) zaczęła opadać, ale jak wzorcowy wirus przeskoczyła do Europy i migiem starła z powierzchni drugi co do wielkości bank w Szwajcarii – Credit Suisse. W ostatnim kwartale klienci wycofali stamtąd depozyty warte ok. 100 mld franków. Całkiem zaczęło się sypać, gdy największy udziałowiec, fundusz z Arabii Saudyjskiej, zapowiedział, że nie będzie dokładał do banku w kryzysie (skąd ten kryzys – to samo w sobie materiał na film sensacyjny, afery

ekonomicznych heterodoksów płynęły ostrzeżenia. Pojawił się ruch młodych ekonomistów, często jeszcze studentów, Rethinking Economics – „pomyśleć ekonomię od nowa”. W Polsce ukazał się zresztą pasjonujący tom pod tym tytułem, prezentujący inne niż neoklasyczne podejścia do ekonomii (nie istnieje jedna ekonomia, nawet jeśli od dekad władza niepodzielnie, bezkarnie rozdaje karty i kryzysy). Te nurty to m.in. ekonomia postkeynesowska, marksistowska, austriacka, instytucjonalna, feministyczna, behawioralna, złożoności, spółdzielczości, ekologiczna. To ekonomie żywe, reagujące na zmieniający się świat i ludzkie zachowania, oczekiwania. Są one też społeczną reakcją na stagnację i bezradność, martwość ekonomii neoklasycznej. Ale to ta ostatnia, czyli jej ludzie, rządzi bankami, instytucjami finansowymi, uczelniami – koło się zamyka. We wstępie do „Pomyśleć ekonomię od nowa” (wyd. Heterodox, Poznań 2018) prof. Steve Keen z Uniwersytetu Kingston w Londynie pisał: „Studenci i studentki wiele tracili przez studia, które uczyły tylko i wyłącznie o ekonomii neoklasycznej,

Pomyśleć pieniądze od nowa

goni aferę). Przez chwilę bank centralny próbował uspokoić nastroje (język czystej ekonomii), oświadczył, że Credit Suisse jest zdrowy, by po paru godzinach, w środku nocy przyznać, że na jego ratowanie dorzuca natychmiast 50 mld franków. Bank istniejący od 166 lat zostaje uratowany przez państwo i wchłonięty natychmiast przez odwiecznego konkurenta (czy aby na pewno?), większy bank UBS. „W Zurychu mieliśmy okazję zobaczyć to spektakularne fiasko w zwolnionym tempie. Obserwowaliśmy, jak bank chwieje się od skandalu do skandalu od tak dawna, że w tym momencie trudno jest je wszystkie wyliczyć – powiedział Bloombergowi Matthew Ruesch, założyciel i partner zarządzający Broad Creek Capital” (za portalem TVN 24 Biznes).

Jak wygląda język analiz? Opanowano nerwowość, zażegnano panikę, chociaż rozkład trwał latami, koniec nadszedł szybko. Nie jestem ekonomistą, ale nie muszę kończyć SGH, żeby rozumieć, że to język odnoszący się bardziej do zachowań społecznych niż matematycznie opisanych twardych reguł i zależności. Ale zapewne, mając wykształcenie ekonomiczne, takich samych metafor bym używał, ponieważ tak właśnie, ogólnikowo, po pytyjsku, mówi cały mainstream ekonomiczny. W Polsce, Europie, USA. Ale przewidzieć kryzysu z 2008 r. i obecnego mu się nie udało. Dziesiątki tysięcy ekonomistów milczało, bo nie przewidywało, co się stanie, nie zapowiadało niczego groźnego – i bardzo dobrze na tym wychodziło, finansowo oraz wizerunkowo.

Od dobrych kilku lat krąży nad światem widmo ekonomii heterodoksyjnych, odmiennych od dominującej ortodoksji ekonomii zwanej neoklasyczną. I właśnie ze środowisk

pomimo jej niepowodzeń przed, podczas i po kryzysie”. Z kolei Michael Shank z Uniwersytetu Nowojorskiego zauważa: „To prawdziwa rewolucja na horyzoncie ekonomicznym, demokratyzująca teorie i język dla dobra ogółu. Tworzy nowy zespół obywatelskich ekonomistów i rozwiewa ezoteryczną mgłę, która otacza speców od ekonomii”.

A czytaliście państwo rewelacyjny wywiad Jakuba Dymka w poprzednim numerze PRZEGLĄDU? „Czego nie rozumiem ekonomiści z telewizora?” z internetowym komentatorem skrywającym się za nickiem Fiat Money? To lektura nie tylko obowiązkowa, ale wręcz otwierająca oczy. Fiat Money to człowiek z wnętrza systemu finansowego, pracuje w USA, jest doktorem fizyki, dobrze z tego żyje – ale równocześnie prowadzi swoje kampanie twitterowe, przekuwając balony ignorancji i zadufania nie tylko „domorośliwych ekonomistów”. Jest zwolennikiem nowoczesnej teorii monetarnej (MMT). Mówi tak: „*Modern monetary theory* przekonuje, że pieniądze są narzędziem polityki publicznej. Tak jak armia, system ochrony zdrowia czy poczta są narzędziami w rękach państwa i społeczeństwa. Państwo emituje pieniądze, tak mówi konstytucja, a nie »odbiera je« podatnikom, jak wierzą niektórzy”. Być może zatem (a nawet na pewno) da się z tego narzędzia korzystać mądrzej, efektywniej, dla dobra nas wszystkich, a nie bajarzy i nadętych „speców”.

A co w Polsce? Wojna o niepokalany żywot Karola Wojtyły, jałowe debaty o jednej liście opozycji na wybory i propozycje ustanowienia nowego święta: Narodowego Dnia Wspomnienia Gehenny Polskich Dzieci Wojny, czego chce PiS.

Skazany za pogromobus

Sąd uznał, że działania Mariusza Dzierżawskiego stanowiły mowę nienawiści

Anna Stachowiak

Sąd Rejonowy w Gdańsku skazał Mariusza Dzierżawskiego, prezesa Fundacji Pro – Prawo do Życia, za stosowanie mowy nienawiści. Dzierżawski skarży się na „totalitarne mechanizmy” i zapowiada apelację, a gdańscy aktywiści mówią o przelomowym wyroku.

Wyrok skazujący zapadł w czwartym roku od wniesienia pozwu. Wystąpiło z nim stowarzyszenie Tolerado i kilkoro aktywistów, m.in. Jacek Jesionek i Anna Strzałkowska, gdańska psycholożka. Pozwoli oni zarząd Pro – Prawo do Życia w związku z firmowaną przez fundację kampanią „Stop pedofilii” i pojawieniem się na ulicach Trójmiasta furgonetek oklejonych banerami uderzającymi w osoby LGBT. Można było na nich przeczytać, że „homoseksualizm to zło”, oraz tezy o rzekomych skłonnościach osób LGBT do pedofilii. Na plandekach pogromobusów, jak nazwali je aktywiści, widniały zdjęcia dwóch nagich mężczyzn z tęczową flagą, opatrzone nieprawdziwymi sloganami w rodzaju: „Pederastaści żyją średnio 20 lat krócej”, „Czynny pedofilskie zdarzają się wśród homoseksualistów 20 razy częściej”, „Tacy chcą edukować twoje dzieci! Powstrzymaj ich!”.

Prace społeczne z nawiązką

Treści głoszone przez fundację – jednego z czołowych graczy antyaborcyjnych, stojącego także za projektami zaostrzającymi prawo aborcyjne i penalizującymi aborcję – opierały się na zdyskredytowanych w świecie badaniach, co zresztą podkreśliła w uzasadnieniu sędzia Małgorzata Uszacka. W 2020 r. sąd oddalił wniosek, a ta decyzja została



uchylona w 2021 r., kiedy to sąd skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. Wyrok skazujący zapadł 22 marca. Dzierżawski został skazany na rok ograniczenia wolności – ma w tym czasie wykonywać 20 godzin nieodpłatnych prac społecznych tygodniowo – i zapłacenie nawiązki na rzecz Polskiej Akcji Humanitarnej, ma również przeprosić osoby LGBT na prowadzonej przez fundację stronie internetowej.

„To historyczny wyrok, bo po raz pierwszy udało się skazać organizatora kampanii nienawiści, a nie tylko kierowców”, uważają działacze Tolerado. Na swojej stronie na Facebooku napisali: „W 2019 r. nasze Stowarzyszenie powzięło zobowiązanie zatrzymania pogromobusów – dzisiejszy wyrok, choć nieprawomocny, stanowi kolejny miły krok na drodze do spełnienia tej obietnicy”.

Sędzia Uszacka podkreśliła w uzasadnieniu, że badania, na które powoływał się Dzierżawski – Marka Regnerusa i Paula Camerona – „nie przynależą do kanonu nauki, a hasła

i cel kampanii mają charakter szkalujący, poniżający i wymierzony w dobre imię – zarówno osób prywatnych, jak i queerowych organizacji”. Sąd uznał też, że działania Mariusza Dzierżawskiego w sposób rażący przekraczały wolność słowa i stanowiły mowę nienawiści.

„Treści materiałów Fundacji sprostawały się do tego, że osoby o orientacji homoseksualnej są zagrożeniem dla dzieci – mówiła sędzia Małgorzata Uszacka. – Celem kampanii było utożsamianie osób homoseksualnych z pedofilią i wzbudzenie do nich niechęci. Należy to uznać za mowę nienawiści wobec osób homoseksualnych. Ponadto komunikaty głosowe miały charakter pomawiający i mogły wywołać niepokój wśród opiekunów osób małoletnich. Oskarżony przed sądem nie udowodnił, że prezentowane na furgonetkach treści są prawdziwe”.

Cenzura prewencyjna?

„Należy bardzo wyraźnie zaznaczyć, że w ten sposób wykuwana jest

linia orzecznicza, która powoli i konsekwentnie odmienia świadomość sądów i w szerszym kontekście – społeczeństwa – i prędzej czy później doprowadzi do kluczowych zmian prawnych i pełnoskalowego powstrzymania systemowej mowy nienawiści wymierzonej w nasze społeczeństwo”, piszą aktywiści i aktywistki Tolerado.

Sam Dzierżawski uważa, że zastosowano wobec niego „cenzurę przewencyjną”: „Dzisiejszy wyrok przypomina mechanizmy z czasów totalitarnych. Rzekomo znieślawiające treści, które nasza Fundacja upowszechnia w Polsce, to nic innego jak prawda na temat społecznych i medycznych konsekwencji praktyk homoseksualnych oraz planów lobby LGBT wobec polskich dzieci. Wszystkie informacje, które upowszechniamy w ramach naszej akcji, opierają się na dostępnych publicznie badaniach naukowych, a także publikacjach medialnych”.

Oskarżony szedł w zaparte, kompletnie ignorując naukę i słowa sędzi: „Powszechnie znanym i niepodważalnym faktem, zarówno naukowym, jak i statystycznym, jest m.in. epidemia HIV wśród homoseksualistów. Wedle oficjalnych statystyk z USA większość zdiagnozowanych przypadków HIV jest związanych z praktykami homoseksualnymi. Tymczasem lobby LGBT przeznaczają gigantyczne środki na to, aby przekonać Polaków do homoseksualnego stylu życia, twierdząc jednocześnie, że jest on bezpieczny, radosny i atrakcyjny. Jest to bardzo odległe od rzeczywistości. Zdaniem gdańskiego sądu i aktywistów LGBT ostrzeżenie przed medycznymi konsekwencjami praktyk homoseksualnych jest znieślawiające”. Rzeczą jasną, Dzierżawski zapowiedział apelację.

Zawłaszczanie przestrzeni

To nie pierwszy proces tej znanej postaci ruchu antyaborcyjnego, lubiącego się określać jako „obrońcy życia”, ale pierwszy, w którym zapadł przełomowy wyrok.

W przestrzeni publicznej Dzierżawski obecny jest od początku

lat 90. W 1991 r. zaczął działać w Unii Polityki Realnej, kilka lat później, po rozłamie, szefował Stronnictwu Polityki Realnej. W tym czasie bez powodzenia kandydował do Senatu. Próbował swoich sił i na scenie dużej polityki, i lokalnie: był m.in. przewodniczącym rady miejskiej w Konstancinie-Jeziornie. Chciał też dostać się wyżej – w 2014 r. startował na prezydenta Warszawy z komitetu Warszawa dla Rodziny.

I to właśnie na „rodzinę” i jej ochronę wciąż się powołuje. O tym mówił w wywiadach, kiedy podróżował po Polsce z antyaborcyjną wystawą „Wybierz Życie” – zdjęciami płodów, oraz kiedy zaangażował się w projekt „Stop aborcji”. Zdecydowany przeciwnik praw kobiet i zwolennik „ochrony dzieci nienarodzonych”, w 2018 r. mówił o tym, że „żadna choroba nie upoważnia do zabicia człowieka”. Chodziło oczywiście o przesłankę embriopatologiczną terminacji ciąży, jeszcze wówczas obowiązującą zgodnie z ustawą aborcyjną z 1993 r. Mimo wysiłków

Aktywiści z Gdańska mówią, że wyrok sądu w sprawie pogromobusów jest przełomowy.

środowisk anti-choice i kolejnych inicjatyw mających na celu zaostreżenie prawa aborcyjnego ostatecznie udało się to osiągnąć nie dzięki obywatelskim projektom, ale wyrokiem upolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r.

Nie oznacza to jednak, że Dzierżawski zaprzestał swoich działań – jego fundacja domagała się zmian w Kodeksie karnym, tak by aborcja została zrównana z zabójstwem. Kobiety, które dokonałyby aborcji, groziłaby wtedy kara więzienia – dzisiaj samodzielna aborcja nie jest przestępstwem i kobiecie za aborcję farmakologiczną nic nie grozi. Obecnie działające prawo wywarło za to efekt mrówczej pracy działaczy anti-choice – w tym Dzierżawskiego. Polega ona nie tylko na proponowaniu kolejnych absurdalnych projektów, ale również na konsekwentnym odwracaniu

narracji i zawłaszczaniu języka. I tak mowa już nie o płodach, ale o „życiu nienarodzonemu”, nie o aborcji, lecz o „zabójstwie”. „Prawna ochrona dzieci poczętych w Polsce jest fikcją. Mafie aborcyjne działają jawnie, ogłaszają się w mediach i sprzedają pigułki śmierci”, grzmiał w 2021 r. prezes Fundacji Pro – Prawo do Życia. Mówił wówczas o „aborcyjnych przestępcach”.

To o tyle niebezpieczne, że Dzierżawski głosi swoje tezy nie tylko w niszowych mediach prawniczych czy na stronie swojej fundacji, ale także w mediach mainstreamowych. Tak pisał na łamach „Rzeczpospolitej” w 2017 r. o projekcie „Ratujmy Kobiety” w felietonie „Feministyczny totalitaryzm”: „Główna zmiana, którą zakłada projekt, to aborcja na życzenie do końca 12. tygodnia ciąży. Zmiana ta ma znaczenie fundamentalne. Wprawdzie również obecna ustawa pozwala na zabijanie niewinnych ludzi, ale uzależnia zgodę na to od spełnienia pewnych warunków. W feministycznym projekcie

żadnych ograniczeń w zabijaniu ludzi w fazie prenatalnej nie ma. Wystarczy oświadczenie: zgadzam się, aby cię zabito”. Dwa lata wcześniej w „Rzeczpospolitej” ukazał się inny jego tekst, zatytułowany „Epidemia rozwiązłości”. Tym razem pisał o rodzinie i małżeństwie: „Europejczycy i Amerykanie zaakceptowali antykoncepcję, a w konsekwencji niewierność małżeńską. Dzieci rodzi się coraz mniej, za to coraz więcej jest przypadków bezpłodności. Mnożą się konkubinaty, a liczba zawieranych małżeństw spada. Obrzydliwa pornografia stała się wszechobecnym elementem życia społecznego. Edukacja seksualna, która faktycznie jest promocją rozwiązłości i dewiacji, jest obowiązkowa w Niemczech”.

Dlatego rację mają aktywiści z Gdańska, kiedy mówią, że wyrok sądu w sprawie pogromobusów jest przełomowy. Stawia tamę mowie nienawiści. I obłądowi. ■

Ambasador Rościszewski idzie na wojnę z Rosją

Balon próbny czy szczere słowa?

Robert Walenciak

Czy Polska wejdzie do wojny z Rosją, gdy Ukraina nie będzie dawać sobie rady? Ambasador Polski Jan Emeryk Rościszewski tak powiedział w sobotę, 18 marca, na antenie francuskiej telewizji LCI. Jego słowa wywołały falę komentarzy i pytań, bo nikt wcześniej takich rzeczy nie mówił. Już zatem dzień później ambasada RP w Paryżu rozmyślała tę wypowiedź, tłumacząc, że chodziło mu o coś innego. Czyżby?

Jak oceniać słowa Rościszewskiego? Czy było to zwykłe przejęzyczenie, nieudolność pisowskiego nominata, czy też stał za nimi jakiś inny zamiar?

Zacznijmy od początku. 18 marca ambasador został zaproszony do niewielkiej telewizji LCI, tam komentował informacje z wojny rosyjsko-ukraińskiej oraz decyzję Polski i Słowacji o przekazaniu Ukrainie 33 myśliwców MiG-29.

I oto na tle zdjęcia migów, w odpowiedzi na pytanie dziennikarza, czy ich dostarczenie nie doprowadzi do eskalacji konfliktu, ambasador snuł swój wywód. Że „to nie NATO, nie Polska, nie Francja ani Słowacja zwiększają napięcie, tylko to Rosja zaatakowała Ukrainę, to Rosja prowadzi inwazję, zabija ludzi, porwuje ukraińskie dzieci”. By za chwilę dodać: „Albo Ukraina dzisiaj obroni niepodległość, a jeśli nie, będziemy zmuszeni, by włączyć się w ten konflikt, bo nasze naczelne wartości, które są fundamentem naszej cywilizacji, są zagrożone, więc nie będziemy mieli wyboru”.

Te słowa: „będziemy zmuszeni, by włączyć się w ten konflikt”, wywołały falę komentarzy i pytań: czy Polska

jest zdecydowana na wejście do wojny? I czy tego chce?

Niektórzy zresztą, tak jak poseł Lewicy Maciej Gdula, zażądali odwołania Rościszewskiego: „Ambasador polski we Francji mówiący o tym, że wejdziemy do wojny z Rosją, jeśli tylko Ukraina nie będzie dawać sobie rady, zdecydowanie przekracza swoje uprawnienia i powinien być po prostu odwołany ze stanowiska”, napisał w mediach społecznościowych.

Dymisji ambasadora domagała się również Konfederacja. „Są to słowa sprzeczne z polską racją stanu. Są to słowa świadczące o tym, że pan ambasador żyje w alternatywnej rzeczywistości, w której Polska wręcz powinna przystąpić do wojny rosyjsko-ukraińskiej. Jest to wypowiedź skandaliczna i dlatego Konfederacja żąda, żeby pan ambasador został natychmiastowo odwołany z funkcji – mówił poseł Robert Winnicki podczas konferencji w Sejmie. – W polskim interesie narodowym jest oczywiście organizowanie międzynarodowego wsparcia dla Ukrainy, ale w polskim interesie narodowym nie jest rozbrajanie się na rzecz Ukrainy, a na pewno nie jest w polskim interesie narodowym przystępowanie do toczącego się konfliktu. To słowa złe, szkodliwe, które narażają polskie bezpieczeństwo”.

Inny lider Konfederacji, Krzysztof Bosak, dodał, że „gdyby Polska jednostronnie przystąpiła do wojny, to sojusznicy z NATO nie muszą udzielać Polsce pomocy”.

Już w niedzielę zatem ambasada w Paryżu wydała oświadczenie, w którym tłumaczyła wypowiedź ambasadora. „Zwracamy uwagę, że jest przez niektóre media interpretowana w oderwaniu od kontekstu, w jakim została wygłoszona”. A jaki

był kontekst? Taki, że Rościszewski „przekonywał o konieczności udzielenia Ukrainie wsparcia przez sojuszników”, „mówił także o groźbie, jaką dla Europy i europejskich wartości stanowi Rosja”. I dopiero „dokładne wysłuchanie całości rozmowy pozwala zrozumieć, że nie było w niej zapowiedzi bezpośredniego zaangażowania się przez Polskę w konflikt, a jedynie przestrzeżenie przed konsekwencjami, jakie może mieć porażka Ukrainy – możliwość zaatakowania lub wciągnięcia do wojny przez Rosję kolejnych krajów Europy Środkowej – krajów bałtyckich i Polski”.

Tak ambasada rakiem wycofała się ze słów ambasadora, rozsnuwając zastłonę dymną: że ważny jest kontekst i dobra wola słuchających... Wobec tego nasuwa się pytanie, po co on takie rzeczy mówił.

Odrzućmy tezę, że coś mu się wymknęło albo zostało źle przetłumaczone. Rościszewski studiował we Francji, jest absolwentem lubelskiego KUL, ale i paryskiego Sciences Po – Institut d'Études Politiques de Paris – czyli język Moliera go nie krępuje. Widzimy to zresztą na udostępnionym przez telewizję LCI nagraniu – nie jest przez dziennikarza dociskany, mówi spokojnie, z pełną swobodą.

Jest też nauczony precyzyjnego wyrażania się. Po pierwsze, uczono go tego w paryskiej szkole. Po drugie, przez wiele lat pracował w sektorze ubezpieczeń i bankowym – w tych obszarach, gdzie słowa kosztują, więc się je waży. Owszem, nie jest zawodowym dyplomatą, placówka w Paryżu to jego pierwsza praca w dyplomacji, ale jest wystarczająco kompetentny, by wyrażać się ściśle i panować nad tym, co chce powiedzieć.



18 marca ambasador Jan Emeryk Rościszewski we francuskiej telewizji LCI powiedział, że Polska wejdzie do wojny z Rosją, gdy Ukraina nie będzie dawać sobie rady.

Takie zresztą działania obiecywał posłom podczas przesłuchania przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych 7 marca 2022 r.

Deklarował wówczas, że będzie aktywnie uczestniczył w debacie publicznej we Francji i będzie prezentował punkt widzenia rządu. „Musimy mieć dobrych spikerów, którzy będą w stanie zająć w odpowiedni sposób miejsce w debacie francuskiej – podkreślał. – To nie jest proste. Nasza obecność w tej debacie gdzieś tam funkcjonowała, ale nie była na tyle aktywna, na ile być powinna. My powinniśmy być obecni poprzez naszych znakomych historyków, specjalistów od polityki międzynarodowej i geopolityków, których głos w dyskusji publicznej we Francji, tak w prasie i telewizji, jak i mediach społecznościowych, będzie odczuwalny i widzialny”.

I dodawał: „W moim rozumieniu ambasador Rzeczypospolitej jest przede wszystkim wykonawcą polityki rządu. Oczywiście może to robić zgrabnie lub mniej zgrabnie, ale jednak jest realizatorem polityki rządu. Tak też postrzegam swoją misję. W ramach MSZ i bezpośrednich kontaktów z państwem politykami będę się oczywiście starał zawsze przedstawiać własne zdanie, natomiast

moje zdanie na zewnątrz będzie stanowiskiem państwa polskiego”.

Innymi słowy, świadomie poszedł do francuskiej telewizji, po to by wziąć udział w publicznej francuskiej debacie i prezentować punkt widzenia rządu polskiego. I zdarzyło się to, co zapowiadał – na pewno był to występ, który stał się odczuwalny i widzialny.

Odrzucmy również przypuszczenie, że źle zinterpretował działania rządu, bo on w Paryżu, a rząd w Warszawie... Rościszewski jest od lat związany z PiS i z liderami tej partii. Był członkiem Porozumienia Centrum, toteż można go zaliczyć do „zakonu”, najwierniejszych ludzi Kaczyńskiego. Jednocześnie, co w PiS było rzadkością, miał doświadczenie w pracy w branży ubezpieczeń i finansów. Od 1998 do 2016 r. zajmował stanowisko prezesa zarządu Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie Cardiff Polska i dyrektora generalnego Cardiff Assurances Risques Divers w Polsce, podmiotów wchodzących w skład BNP Paribas. Nieprzypadkowo zatem powołano go w roku 2016 w skład zarządu PKO BP, a potem, po dymisji Zbigniewa Jagiełły, w czerwcu 2021 r. na stanowisko prezesa zarządu. Kierował więc największym polskim bankiem. Bankiem państwowym.

W imperium PiS przez wiele lat pełnił bardzo ważne funkcje, związane z finansami. A nominacja na ambasadora w Paryżu była na otarcie też, bo w wyniku wewnątrzpisowskich rozgrywek musiał już w październiku 2021 r. oddać stanowisko Iwonie Dudzie, którą później zastąpił Paweł Gruza.

Tak czy inaczej, Rościszewski zalicza się do pisowskiego establishmentu, doskonale wie, jaki tam jest układ sił, o czym się rozmawia i jak się myśli.

Gdy więc Polska mówi, że może wejść do wojny z Rosją, trzeba to traktować poważnie. Jako głos ze środka PiS. Jego wypowiedź ma zresztą swoją logikę – od ataku Rosji na Ukrainę przekraczane są przecież kolejne granice podobno nieprzekraczalne. Mechanizm tego przekraczania jest dość prosty – najpierw ktoś mówi, że Ukraina potrzebuje takiej lub innej broni, potem mamy reakcję, że to przesadne żądanie, że będzie to eskalować wojnę. A później Ukraina tę broń dostaje. Tak trafiły na front HIMARSy, których najpierw Ukrainie odmawiano, a potem dostarczono, tak kierowane są czołgi Leopard 2, teraz – o czym rozmawiano we francuskiej telewizji – samoloty MiG-29. Obecnie przychodzi czas – prezydent Zełenski tego się domaga – na przekazanie rakiet dalekiego zasięgu, a potem, w przypadku porażek Ukrainy – na włączenie się do walk polskiego wojska, a w dalszej kolejności innych państw europejskich.

Pozostaje tylko jedno pytanie: czy PiS jest już zdecydowane na postanie polskich oddziałów do walki (warto przy tym zastrzec, że to nie Warszawa będzie miała w tej sprawie decydujący głos), czy raczej jest na etapie sondowania, puszczenia balonów próbnymi i to na razie pierwszy krok do osławiania polskiej opinii publicznej i Zachodu z myślą, że wojna może się rozszerzyć?

Odpowiedź otrzymamy pewnie w najbliższych dniach. Jeśli Rościszewski zostanie odwołany z placówki, to znaczy, że przeholował, że poszedł za daleko. Jeśli nic się nie stanie – możemy uznać, że powiedział to, co miał powiedzieć.

Inwazja na Irak zniweczyła potęgę Ameryki

Wielka siła powinna się wiązać
z wielką odpowiedzialnością

Rozmawia Jakub Dymek

Mamy 20. rocznicę inwazji USA na Irak. Co z niej pańskim zdaniem zrozumiano?

– Po stronie plusów trzeba zapisać to, że wojna w Iraku nauczyła Amerykę jednego: jesteśmy dużo mniej skłonni iść na kolejną wojnę przeciwko średniej rangi autokracji na Bliskim Wschodzie, by obalić jakiś reżim i próbować zainstalować tam demokrację przywiezioną na czołgach okupanta. Jednak wielu innych lekcji tej wojny dalej nie zrozumieliśmy.

Na przykład?

– Ludzie, którzy wymyślili tę wojnę, wszczęli ją i kontynuowali, do dziś pracują w Waszyngtonie. Część autorów tego pomysłu nie dożyła 20. rocznicy, ale niezależnie od tego i tak nikt nie poniósł odpowiedzialności. To był zły pomysł i źle wykonany plan, lecz ani za wymyślenie, ani za takie, a nie inne poprowadzenie tej wojny nikt nie zapłacił żadnej znaczącej ceny.

Mówi pan o politykach, dziennikarzach, służbach wywiadu, klasie eksperckiej?

– O wszystkich. Media były w tamtym czasie usługowym dostawcą rządowej dezinformacji, którą produkowali administracja George’a W. Busha i jej sojusznicy. W tamtej epoce niezwykle kreatywnie wykorzystywano media. Na przykład biuro wiceprezenta Dicka Cheney’a dokonało kontrolowanego przecieku do reporterki „New York Timesa” Judith Miller na temat rzekomego arsenału broni masowego rażenia Saddama Husajna. Następnie ten sam Dick Cheney powoływał się na



JUSTIN LOGAN

– dyrektor ds. obronności i strategii
w think tanku Cato Institute
w Waszyngtonie

te informacje w niedzielnych telewizyjnych talk-show. Oczywiście nie mógłby legalnie omawiać w telewizji utajnionych informacji wywiadowczych, ale skoro o sprawie napisał „New York Times”, nic nie stało na przeszkodzie, żeby wiceprezydent wykorzystywał te doniesienia do straszenia społeczeństwa. Bardzo to było błyskotliwe i zmyślne, prawda? Kiedy więc mówię o porażce Waszyngtonu i braku odpowiedzialności, to widzę tę odpowiedzialność bardzo szeroko.

**Cofnijmy się jeszcze o krok.
Dlaczego Irak?**

– Jedni mówią, że chodziło o ropę. Drudzy – że do wojny pchało administrację lobby izraelskie w Waszyngtonie. Jeszcze inni – że chodziło o dokończenie przez Busha juniora tego, co zaczął jego ojciec. Albo o obawy przed bronią masowego rażenia. Prawda jest taka, że nie było jednego powodu. Było ich aż nadto. Pomysł obalenia irackiego reżimu jest starszy niż wojna z 2003 r., już w 1998 r. obie partie w Kongresie zgodziły się, że odsunięcie Saddama od władzy powinno być oficjalnym celem polityki Waszyngtonu wobec Iraku. W latach 90. to jeszcze było często pustosłowie, ale już zamachy na WTC sprawiły, że rzeczy wcześniej niemożliwe czy mało prawdopodobne stały się całkiem realne.

**Afganistan sam w sobie był
za słaby, żeby zaspokoić potrzebę
odwetu za zamachy?**

– Henry Kissinger dosłownie w ten sposób przedstawił swoje argumenty za wojną z Irakiem. USA miały pokazać swoją siłę i uzyskać efekt odstraszenia. Niektórzy nie ukrywali, że w Afganistanie jest po prostu „za mało rzeczy, do których można strzelać”. Wtedy powstało modne przez pewien czas określenie „walić w piach”. Zwolennicy wojny z Irakiem nie chcieli, aby technicznie zaawansowana i potężna amerykańska armia wyłącznie „walała w piach”. Pokonanie tak zacofanego reżimu jak władza talibów w Kabulu nie dawało – zdaniem zwolenników tej teorii – wystarczającego efektu odstraszenia.

Poczucie, że Afganistan to za mało i nic nie można tam zrobić, nie zmusiło decydentów do logicznej konkluzji: skoro w Afganistanie nie

osiągnęliśmy niczego imponującego, nie warto robić drugi raz tego samego w Iraku. Oni wyciągnęli z tego lekcję przeciwną i to doprowadziło do kolejnej tragedii. Wojna nie przysłużyła się budowie pokojowego, demokratycznego i mniej lub bardziej liberalnego społeczeństwa w jednym kraju, więc postanowiono do tej porażki dolożyć jeszcze gorszą w drugim.

Po co Stanom Zjednoczonym było zmontowanie międzynarodowej koalicji z Polakami czy Hiszpanami w składzie? Ostatecznie i tak decyzja o wojnie zapadła bez zgody wspólnoty międzynarodowej i rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ.

– Nie wszyscy w Waszyngtonie aż tak bardzo chcieli międzynarodowej

ostrzegał Busha, że jednostronna decyzja o ataku doprowadzi do tego, że „stracimy Europę i stracimy Rosję”.

– Realistycznie patrząc na stosunki międzynarodowe, nie ma lepszej pozycji niż bycie superpotęgą w jednobiegunowym świecie. Czyli tak jak USA na początku XXI w. – byliśmy na najlepszej z możliwych pozycji. Wówczas opłaca się zachować to status quo, a nie uderzać w istniejący porządek. Jeśli więc spojrzymy na retorykę i działania USA w momencie podjęcia decyzji o inwazji na Irak, to z punktu widzenia realistycznej teorii stosunków międzynarodowych mamy państwo szalone. Jest rok 2003, Moskwa to widzi i może wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze,

i suwerenności Ukrainy Waszyngton zajmuje dziś jasne stanowisko i pryncypialnie twierdzi, że trzeba jej bronić. W tym samym czasie wytykane są Ameryce nie tylko grzechy sprzed 20 lat, ale i fakt, że pomagamy zrównywać z ziemią cele cywilne w wojnie Arabii Saudyjskiej w Jemenie. I nie robimy tego przez „zaniechanie” – jak byliby, gdyby USA po prostu odmówiły pomocy Ukrainie, ale poprzez czynny udział i pomoc.

**A kto był mądry „przed szkodą”?
Pytam o debatę medialną przed wojną.**

– Kiedy 20 lat temu przedstawiciele naszego instytutu zabierali głos przeciwko inwazji, redaktor naczelny „Washington Post” powiedział, że nie będzie z nami debatował, bo nie jesteśmy żadnym istotnym środowiskiem, ale „zbieraniną, którą dałoby się pomieścić w budce telefonicznej”. Ładny przytyk, nie powiem, trzeba mu oddać, że zgrabnie się odwinął. Rzeczywiście grono, które przestrzegało przed inwazją, było bardzo wąskie. Jessica Mathews z Carnegie Endowment pisała takie analizy, mój były wykładowca, prof. John J. Mearsheimer, również. Wybitni badacze stosunków międzynarodowych musieli wykupić płatne ogłoszenie w „New York Timesie”, żeby opublikować swój apel: „Wojna z Irakiem nie leży w interesie narodowym Stanów Zjednoczonych!”. A ci, którzy ich wówczas krytykowali i pisali eseje o tym, że krytycy polityki Busha

Ludzie, którzy wymyślili tę wojnę, wszczepli ją i kontynuowali, do dziś pracują w Waszyngtonie. Nikt nie poniósł odpowiedzialności.

koalicji. Niektórzy uważali ją od początku za pomysł niewart wysiłku, inni z kolei byli przekonani, że Niemcy i Francja i tak na to nie pójdą. Ale też było wiadomo, że trudniej będzie bronić tej decyzji na forum dyplomatycznym, jeśli USA pójdą na wojnę, kompletnie ignorując jakiejkolwiek międzynarodowe ustalenia. Donald Rumsfeld pewnie szczerze wierzył w podział na „nową” i „starą” Europę. A udział innych krajów, w tym Polski, mimo wszystko dawał jakąś dyplomatyczną podkładkę. Z kolei doskonale rozumiem, dlaczego Polska starała się wkupić w łaski George’a W. Busha. Warszawa miała przecież wysokie oczekiwania co do zaangażowania USA w Europie, więc w pewnym bardzo transakcyjnym sensie to zrozumiałe, a nawet rozsądne, co chciała ugrać w zakresie własnych interesów. Rządzący mogli uważać: „Pal licha Irak, ale popieranie USA może nam się opłacić”.

A co z Rosją? Są analizy, które mówią, że decyzja o inwazji na Irak wpłynęła na radykalizowanie stanowiska Putina wobec Zachodu. Premier Wielkiej Brytanii Tony Blair w tamtym czasie wielokrotnie

może to dobrze, że USA same sobie robią krzywdę. Ale po drugie, Rosjanie myślą sobie: „Śłodki Boże, oni są straszni, mamy do czynienia z niezrównoważonym, zideologizowanym supermocarstwem, elementem chaosu w relacjach międzynarodowych”. I mógł się pojawić niepokój związany z tym, co jeszcze USA mogą zrobić. Była taka słynna wypowiedź Putina, gdy zapytano go, czy Rosja mogłaby pomóc Stanom w Iraku. W charakterystyczny dla siebie sposób sarknął: „Tacy głupi to jeszcze nie jesteśmy”.

Media były usługowym dostawcą rządowej dezinformacji, którą produkowali administracja George’a W. Busha i jej sojusznicy.

A co do pytania, czy inwazja na Irak przyczyniła się do inwazji na Ukrainę...

Tak?

– Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, że gdyby nie inwazja USA na Irak, to Putin nie byłby brutalny wobec Ukrainy, państw bałtyckich czy Polski. Natomiast na pewno dała ona do ręki argument wszystkim wytykającym hipokryzję USA. W sprawie integralności terytorialnej

są „antypatriotyczni” i „życzą sobie amerykańskiej porażki”, do dziś robią karierę w Waszyngtonie. Atmosfera nagonki i zamykania ludziom ust była czymś jak z Europy lat 30. XX w.: wyrzucanie ludzi z pracy, odbieranie finansowania, ostracyzm...

A teraz pan chciałby się zemścić, ukarać ich i wyrzucać z pracy?

– Nie. Nie trzeba nikogo wysyłać na bezludną wyspę, żeby odbywał pokutę i myślał nad swoimi

grzechami. Ale trzeba zdać sobie sprawę, że żyjemy na jednej planecie i nie można bezmyślnie nawoływać do najgłupszych, najbardziej tragicznych w skutkach rzeczy i powtarzać w kółko te same błędy. Ameryka jest naprawdę wielką potęgą, ma zatem wielką odpowiedzialność. Musimy wykazać się jakąś etyką, umiarkowaniem i jakimś poczuciem troski o ten ład światowy,

polityki USA w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nie należę do tych, którzy panikują z powodu nieuchronnej wojny atomowej. Z drugiej strony widzimy, że ryzyko atomowej eskalacji wzrosło – nikt nie może powiedzieć, czy pięciokrotnie, czy o 5%. Ale, czy nam się to podoba, czy nie, zaangażowaliśmy się w konflikt, który coraz bardziej wygląda jak *proxy war* (wojna

i określić, jakie są nasze cele i granice zaangażowania. Żeby nie popełnić raz jeszcze błędów znanych z przeszłości. Bo znów, mam wrażenie, coś w naszej dyskusji gubimy.

I osłabianie Rosji czy rywalizacja z Chinami też nie są tego warte?

Większość ekspertów i administracja Bidena jest innego zdania – osłabienie potencjału Rosji i odstraszenie Chin to korzyść dla Ameryki sama w sobie.

– Nic podobnego. Moim zdaniem Chiny są bardzo zadowolone z tego, co się dzieje. USA zadeklarowały już 110 mld dol. na pomoc Ukrainie, a prezydent Zełenski latem zeszłego roku szacował koszt odbudowy Ukrainy na ponad 750 mld. Może być więcej, może być mniej. Nas również uderzy to po kieszeni. A z punktu widzenia Chin my tylko zużywamy amunicję. Co więcej, nasza uwaga i zasoby znowu związane są w Europie. Również 10 lat temu obiecywaliśmy sobie zwrot ku Azji,

Inwazja na Irak dała do ręki argument wszystkim wytykającym hipokryzję USA.

którego rzekomo bronimy. Pójście na wojnę z Irakiem było jak eksperyment społeczny na żywych ludziach. W tym na naszych własnych żołnierzach, młodych mężczyznach i kobietach, których tam posłaliśmy. Wielu wróciło do kraju, po latach służby, koszmarnie okaleczonych, bez ręki albo nogi. To jest hańba, że elity polityki zagranicznej USA traktowały świat jak swoją piaskownicę albo grę planszową.

A mogło być inaczej?

– Ja nie jestem obiektywny, moje poglądy predestynują mnie do tego, żeby wierzyć, że tak. Chciałbym myśleć, że lepsza debata i pluralizm uchroniłyby nas przed błędami myślenia stadnego. Ale może wcale tak nie jest. Może USA rzeczywiście były tak potężne i zamożne, u szczytu swojej dominacji, że naprawdę było nas stać na otwieranie nowych frontów. Mogliśmy jednocześnie walczyć o Bliski Wschód, dominację nad Rosją i Chinami, jednobiegunowy ład światowy właśnie dlatego, że stać nas było na wszystko i nikt nie mógł nam zagrozić. Myślę, że dopiero w tej chwili widzimy ograniczenia – gdy pojawia się kwestia zmian klimatycznych, reform ośton socjalnych i ubezpieczeń zdrowotnych, inwestycji w przemysł i infrastrukturę – i możemy podejmować decyzje albo-albo.

W tym sensie uważa pan, że USA zmarnowały swój „jednobiegunowy moment”?

– Tak. A mój sprzeciw wobec wojny w Iraku rozciąga się dzisiaj na krytyczną ocenę jednobiegunowej

przez pośredników) z państwem, które ma największy arsenał nuklearny na świecie. A jednocześnie uważamy, że delegowanie celów i środków prowadzenia tej wojny na Kijów to dobry pomysł – że to strona ukraińska ma podejmować decyzje o ewentualnym odbijaniu Krymu itd.

Mój sprzeciw wobec wojny w Iraku rozciąga się dziś na krytyczną ocenę jednobiegunowej polityki USA w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Stoi pan na stanowisku, że USA nie mają żadnych zobowiązań wobec Ukrainy?

– Tak, USA nie mają żadnych zobowiązań wobec Ukrainy. I proszę mnie źle nie zrozumieć: ja Ukraińcom niezwykle współczuję. Zostali zaatakowani przez 180-tysięczną armię, zaanektowano część ich terytorium, państwo ukraińskie jest obiektem agresji ze strony silniejszego sąsiada, niszczona jest infrastruktura cywilna, cywile są zabijani i gwałceni. Rozumiem, co muszą teraz myśleć decydenci w Kijowie! I nie powinniśmy przymuszać Ukrainy do przyjęcia jakiegos potwornego dealu z Putinem. Ale musimy bronić własnego interesu, który niekoniecznie jest tożsamy z ukraińskim. Jeśli więc uważamy, że to od naszego poparcia zależy być albo nie być Ukrainy i że to sprawa interesu narodowego USA, powinniśmy podać to pod głosowanie w Kongresie

zwalczałyśmy tzw. Państwo Islamskie, byliśmy obecni na Bliskim Wschodzie, a teraz znowu jesteśmy w Europie. Jeśli ugrzęźniemy w długotrwałej, kosztownej, krwawej wojnie z Rosją na kontynencie europejskim, Pekin będzie bardzo, ale to bardzo szczęśliwy.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl





Punktem wyjścia do przeprowadzenia zewnętrznego śledztwa było zabicie przez policjanta dwa lata temu 33-letniej Sarah Everard. Nz. manifestacja z 13 marca 2021 r.

Wstyd w mundurze

Londyńska Policja Metropolitalna od dekad jest przeżarta seksizmem, rasizmem i lenistwem

Mateusz Mazzini

Krzykliwych nagłówków w tej sprawie w ostatnich dniach pojawiło się tyle, że trudno uniknąć pod ich wpływem splotenia problemów stołecznej policji. Nawet jeśli wziąć pod uwagę tradycyjnie silną pozycję tabloidów w brytyjskim krajobrazie medialnym, o raporcie członkini Izby Lordów Louise Casey pisano w sposób sensacyjny. „Daily Mail”, konserwatywny dziennik znany z ogromnej objętości i zainteresowania najmniejszym nawet szczegółem życia publicznego na Wyspach, wywłócił na czołową stronę swoich serwisów internetowych hasła w rodzaju „Najbardziej obciążający raport w 200-letniej historii Metropolitan Police”, mieszając je z wypowiedziami przestuchanych przez Casey policjantek, które odradzały zgłaszanie służbom przestępstw seksualnych, bo i tak nic nie zostanie zrobione.

Nie inaczej zachował się „The Sun”, inny tabloid, kreślący scenariusze, w których przestępcy seksualni w Wielkiej Brytanii spokojnie przechadzają się po ulicach w wyniku zaniedbań policjantów. Można więc było odnieść wrażenie, że nagle w strukturach stołecznych służb porządkowych wylało się szambo.

Raport Casey

Osoba idąca tym tropem nie byłaby do końca w błędzie, co jak na tabloidy i tak jest niezłym wynikiem. Bulwarowe nagłówki sugerowały jednak, że problemy w służbach mundurowych są nagłe, jednostkowe, wynikają z serii szokujących, ale świeżych zdarzeń, tymczasem nawet pobieżna lektura raportu Casey od razu pokaże, że to wniosek połowiczny i trafny. Bo policja metropolitalna ma gigantyczne problemy strukturalne i nie narodziły się one w ciągu ostatnich kilku lat.

Baronowa Casey, polityczka od lat zajmująca się sprawami społecznymi i podejściem państwa do mniejszości na Wyspach, analizie strategii i zachowań oficerów Metropolitan Police poświęciła 363 strony. W efekcie powstał dokument gęsty, ale przejrzysty, który nie pozostawia wiele przestrzeni do interpretacji. Konkluzje są bardzo konkretne: stołeczną policję trawia instytucjonalny rasizm, seksizm i ksenofobia, podlane sosem zaniedbań proceduralnych, błędów w sztuce i zwykłego lenistwa.

Punktem wyjścia do przeprowadzenia zewnętrznego śledztwa były wydarzenia sprzed dwóch lat. W marcu 2021 r. zamordowana została 33-letnia mieszkanka Londynu, Sarah Everard. Wracając do domu po zmroku, została uprowadzona przez 48-letniego oficera policji Wayne’a Couzensa. Mężczyzna pokazał legitymację policyjną, wykorzystał służbowy ubiór do nawiązania

► rozmowy, dokonując potem fałszywego aresztowania kobiety. Porwał ją, zgwałcił, zamordował, a ciało porzucił w lesie w podlondyńskim hrabstwie Kent, gdzie znaleziono je tydzień później. Sprawa Everard wywołała sejsmiczny wręcz wstrząs w brytyjskim społeczeństwie. Tysiące ludzi wyszły na ulice w proteście

Guardian”, powiedziała nawet, że dziś żałuje złożenia dokumentów w sprawie regularnego molestowania przez przełożonego: „Pewnie byłoby lepiej cierpieć w ciszy, w samotności”, bo „jemu i tak nic nie zrobiono, a ja wyszłam na kłamczuchę i idiotkę”. Inna policjantka dodała, że nigdy nie zdecydowałaby się zgłosić gwałtu, gdyby

innych narzędzi niebędących bronią palną – Policja Metropolitalna, identycznie jak jej amerykańscy koledzy, produkowała kryminalistów, dokonując aresztowań z nadmiernym użyciem siły bez odpowiedniej podstawy dowodowej. Zakładano, że to działania prewencyjne, choć nic nie uzasadniało zatrzymania. Nieproporcjonalnie często stosowano tę taktykę właśnie wobec mniejszości etnicznych, tzw. BAME, czyli Brytyjczyków czarnoskórych, pochodzenia azjatyckiego lub wywodzących się z innych części świata, głównie Karaibów.

Do tego dochodzi seria wydarzeń wynikających, no właśnie, z niekompetencji? Celowych zaniedbań? Braku wyobraźni? A może braku odpowiednich zasobów? Jedna z lodówek używanych do przechowywania próbek nasienia i innych materiałów dowodowych w sprawach o gwałt w pewnym momencie się zepsuła, przez co próbki uległy rozkładowi i nie można było już ich użyć w postępowaniu sądowym. W innej lodówce próbki zostały zanieczyszczone, bo jeden z policjantów przechowywał w niej obiad. Wszystkie elementy systemu archiwizowania i magazynowania dowodów były w ten czy inny sposób uszkodzone, większość lodówek nie była wymieniana od lat. Z tego względu, szacuje raport Casey, przynajmniej

Aż 12% kobiet pracujących w Metropolitan Police doświadczyło przemocy seksualnej ze strony współpracowników.

przeciwko brutalności policji i przestępstwom na tle seksualnym, których ofiarą padają kobiety. To było publiczne wotum nieufności wobec służb mundurowych na Wyspach, choć krytyka skupiła się właśnie na Policji Metropolitalnej, bo to w jej szeregach służył sprawca.

Społeczeństwo domagało się natychmiastowych zmian, a przynajmniej reakcji władz na to, co stało się 33-latce. Również dlatego, że wkrótce po jej śmierci w mediach społecznościowych pojawiły się kolejne wyznania kobiet, które doświadczyły przemocy na tle seksualnym ze strony londyńskich mundurowych.

Lepiej cierpieć w ciszy

Raport Casey potwierdza to ponad wszelką wątpliwość – według ustaleń baronowej problem jest nie tylko powszechny, ale też głęboko zakorzeniony. Aż 12% kobiet pracujących w szeregach Metropolitan Police było molestowanych przez współpracowników. Dokument zawiera zarówno dane statystyczne, jak i dokładnie opisane oraz udokumentowane przykłady. Komentarze na temat ubioru, dotykanie w miejscach intymnych, otwarta przemoc fizyczna. Seksizm z kolei był doświadczeniem jednej trzeciej policjantek. Manifestował się we wszystkim, od złośliwych wypowiedzi po brak awansów, blokowanie rozwoju kariery. A przede wszystkim ignorowanie nawet oficjalnych skarg na przełożonych i współpracowników.

Jedna z policjantek, które współpracowały z Casey przy tworzeniu raportu, cytowana przez „The

padła jego ofiarą, odradzałaaby to też swojej rodzinie, ponieważ obserwowała zaniechania w pracy swoich kolegów. „Nie ma sensu, i tak nic się nie stanie”, powiedziała, dodając, że z powodu braku odpowiednich procedur przy przesłuchaniach i zbieraniu materiału dowodowego wiele ofiar przemocy seksualnej przechodzi wtórną traumę, bo okoliczności zmuszają je do opowiedzenia swojego przypadku, a przez to przeżycia go po raz kolejny, bez odpowiedniej opieki psychologicznej.

Jeszcze gorzej wypadła Policja Metropolitalna pod względem instytucjonalnego rasizmu. Sytuacje opisane w dokumencie Casey są szokujące. Wymieniony jest tam oficer muzułmanin, któremu wsunięto bekon do butów i innych elementów

Seksizm był doświadczeniem jednej trzeciej policjantek. Manifestował się we wszystkim, od złośliwych wypowiedzi po brak awansów i blokowanie rozwoju kariery.

munduru. Innemu – sikhowi – ogolono brodę. Zdarzały się również antysemickie komentarze i nieśmieszne żarty pod adresem czarnoskórych oficerów z wykorzystaniem zgniłych bananów. Do tego dochodzi podejście całej instytucji – brak jakiegokolwiek różnorodności etnicznej na stanowiskach kierowniczych, systematyczne profilowanie rasowe przy awansach oraz kierowanie się tymi kryteriami przy aresztowaniach.

W niektórych przypadkach, zwłaszcza odnoszących się do przestępstwa ulicznej – napaści, wymuszeń, ataków z użyciem noża lub

kilkanaście spraw o gwałt nie zostało w ogóle przeprowadzonych, co ma akurat bezpośrednie konsekwencje, bo potencjalni sprawcy nie zostali nawet postawieni w stan oskarżenia.

Taka „kultura” pracy

Listę zarzutów pod adresem Metropolitan Police można ciągnąć. Ważne jednak, by przebić się przez drastyczne, ale anegdotyczne historie i spojrzeć na całość właśnie tak, jak zrobiła to baronowa – systemowo i instytucjonalnie. Cytowane zachowania nie są bowiem, jak często

chce się to tłumaczyć, pojedynczymi, niereprezentatywnymi sytuacjami. Są wynikiem kultury pracy, która seksizmem i rasizmem jest w tej formacji przeżarta od lat. Tak swoje ustalenia opisywała Casey i takie właśnie postawienie sprawy wzbudziło najwięcej kontrowersji – a wśród samych policjantów nawet furję.

W mediach społecznościowych zawrzało, zwłaszcza starsi i wyżsi stopniem funkcjonariusze zarzucili baronowej niekompetencję i działanie na zlecenie bliżej nieokreślonych politycznych mocodawców. Szef Policji Metropolitanej Mark Rowley, choć uznał zasadność ustaleń i oskarżeń zawartych w raporcie, gwałtownie sprzeciwił się nazwaniu problemów w jego formacji systemowymi. Co ciekawe, również Sadiq Khan, lewicowy burmistrz Londynu, dotychczas nie chciał mówić o strukturalnych niedociągnięciach.

Teraz nie da się ich przemilczeć, chociażby dlatego, że coraz bardziej niechętni wobec policji są mieszkańcy stolicy. Według danych cytowanych przez BBC pozytywną opinię o formacji ma nieco ponad 50% ankietowanych, ale jeśli chodzi np. o zaufanie, że zgłaszana sprawa zostanie właściwie zbadana, bez uchybień proceduralnych – odsetek ten wynosi między 30% a 35%. Z kolei „The Guardian” zauważa, że spadek społecznego poparcia dla Metropolitan Police wynosi aż 17 pkt proc. w ciągu ostatnich pięciu lat. Zbiega się to z rosnącym poczuciem braku bezpieczeństwa publicznego.

Sondaż przeprowadzony na zlecenie brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych na początku ubiegłego roku, a więc jeszcze przed ujawnieniem wyników raportu Casey, pokazał, że zaledwie 35% Brytyjczyków wierzy w kompetencje rządu w zakresie radzenia sobie z przestępczością. Aż 61% miało poczucie, że przestępstw w kraju jest coraz więcej, 51% bało się, że padnie ofiarą takiego zdarzenia. Niemal wszystkie dane sondażowe wskazują też, że percepcja bezpieczeństwa publicznego to jeden z decydujących elementów przy podejmowaniu decyzji wyborczych przez elektorat. Kolejne wybory – kiedykolwiek by się odbyły

– mogą się rozstrzygnąć właśnie na tej płaszczyźnie.

A tutaj rządzący krajem konserwatyści nie mają specjalnie czym się chwalić. Odkąd objęli władzę w 2010 r., liczebność służb mundurowych na Wyspach została zredukowana aż o 20 tys. osób. Łącznie, jak wylicza baronowa Casey, polityka cięć w sektorze publicznym pozbawiła samą Policję Metropolitą, najliczniejszą jednostkę mundurową w kraju, środków o łącznej wartości 700 mln funtów. Najbardziej,

W londyńskiej policji nie ma różnorodności etnicznej na stanowiskach kierowniczych.

co niestety w tych przypadkach typowe, ucierpiały budżety na sprawy dotyczące przemocy wobec dzieci, napaści seksualnych i zbrodni, w których ofiarami były kobiety. Konserwatyści przez lata odbijali piłeczkę, argumentując, że problemem policji nie jest rasizm, tylko biurokracja, że odchudzanie niektórych departamentów przyspieszy zamykanie spraw, a o braku kadrowe nie ma co się martwić w obliczu digitalizacji coraz większej liczby działań. Liderem w takiej manipulacji był Boris Johnson, który, co wspominał mu „Financial Times”, potrafił kłamać na temat statystyk poparcia i zaufania wobec policji, zawyżając je nawet o kilkanaście punktów procentowych.

Czy zadanie, przed którym stoi Mark Rowley, jest więc wykonalne? Jego cel to naprawa wszystkich wymienionych w raporcie Casey wad instytucjonalnych w ciągu najbliższych pięciu lat, chce także poprawić społeczny odbiór policji. Nawet najwięksi optymiści nie wierzą, że uda mu się to w pełni. Zwłaszcza że dokument powstały po śmierci Sarah Everard nie pokazuje tak naprawdę pełnej skali problemu. Nie po raz pierwszy bowiem londyńską policję, liczącą niemal 35 tys. funkcjonariuszy, krytykują niezależni obserwatorzy. 22 kwietnia 1993 r. Brytyjczycy byli świadkami jednego z najbrutalniejszych morderstw w najnowszej historii kraju. 19-letni

Stephen Lawrence, czarnoskóry mieszkaniec południa Londynu, został pobity i śmiertelnie dźgnięty nożem przez grupę białych napastników, spośród których ostatecznie sześciu usłyszało zarzuty. Śledztwo i proces były jednak festiwalem niekompetencji policji i prokuratury, dwóch z sześciu podejrzanych uniewinniono w wyniku zaniechań przy zbieraniu dowodów. Wtedy było tak samo jak teraz: publiczny szok, presja na Jacka Strawa, ówczesnego szefa MSW, by zezwolił na śledztwo

w Metropolitan Police. Przeprowadził je William Macpherson, emerytowany sędzia sądu najwyższego, były wojskowy. 330 stron, konkluzje o instytucjonalnym rasizmie, 70 rekomendacji zmian, obietnica polityki „zero tolerancji” wobec ksenofobii czy dyskryminacji. Ale 30 lat później londyńska policja jest w tym samym miejscu i nic skuteczniej nie dowodzi, jak głębokich potrzeba zmian.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

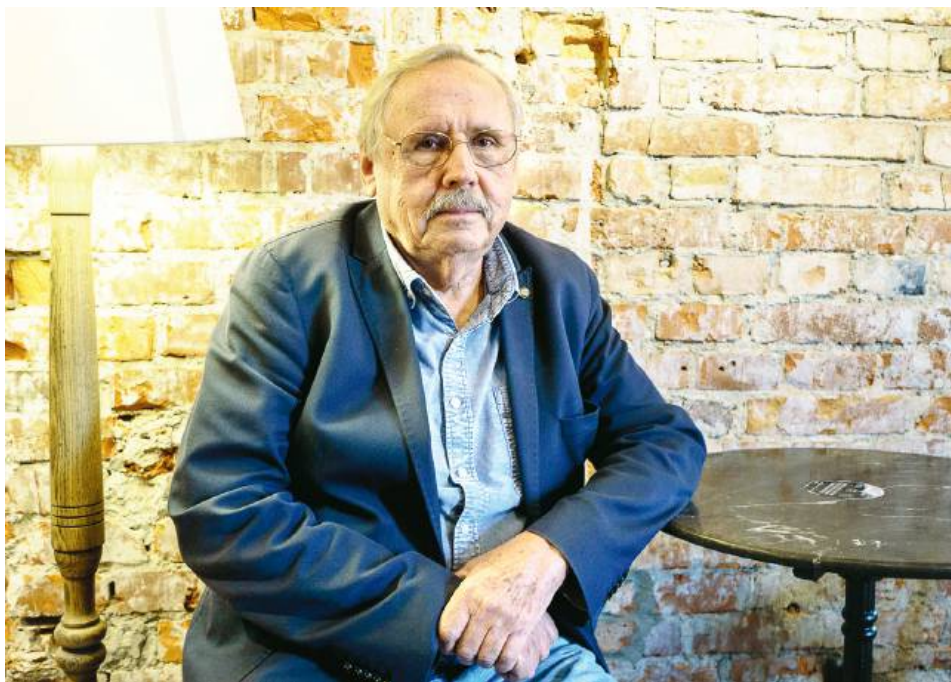


Brazylijska próba sił

Dekadę temu Lula pokazał, że umie walczyć o przegrane sprawy, dziś musi wrócić do gry i zakasać rękawy

Rozmawia
Wojciech Albert Łobodziński

Za poprzednich rządów Luli, trwających od 2003 do 2010 r., Brazylia odnotowała średni wzrost PKB 3,8%, z bezpiecznym poziomem bezrobocia – w okolicach 4%. Dziś jednak wszystko musi zacząć od początku. Po latach rządów prawicy przed ekipą jednego z najpopularniejszych polityków świata stoi podobne, jeśli nie trudniejsze zadanie. Jeszcze niedawno los wyborów wydawał się niepewny, 8 stycznia zwolennicy prawicy szturmem zajęli budynki władz federalnych w stolicy kraju. „W tej chwili w Brazylii trwa próba sił pomiędzy dwoma modelami – jednym znanym sprzed lat, redystrybucyjnym, starającym się zatriebić gigantyczne nierówności, a drugim nastawionym na eksport, lichwę i neokolonialny wyzysk”, mówi Ladislau Dowbor.



LADISLAU DOWBOR

– były doradca ekonomiczny Luíza Inácia da Silvy

8 stycznia wyborcy Jaira Bolsonaro, wierzący, że głosowanie zostało sfałszowane, zaatakowali Najwyższy Sąd Federalny, budynek Kongresu Narodowego i Pałac Prezydencki Planalto na placu Trzech Potęg w Brasílii, dążąc do obalenia demokratycznie wybranego prezydenta. Wydarzenia te poprzedzone były dwoma miesiącami demonstracji organizowanych przez prawicę, z blokadą kraju i nawoływaniem, by armia i służby przeszły na stronę bolsonarystów. Jak społeczeństwo i instytucje państwowe odreagowały tę próbę zamachu stanu?

– Najważniejsza w tym kontekście była reakcja Stanów Zjednoczonych, które zasygnalizowały, że stoją po stronie demokracji, nawet jeśli ta wskazała lewicowego kandydata. Biden przez swoich przedstawicieli postawił sprawę jasno. Inaczej było w czasach ostatniej progresywnej prezydent Dilmey Rousseff, kiedy do

jej obalenia wykorzystano wymiar sprawiedliwości, zinfiltrowany przez prawicę – co potem uwidoczniły nominacje konkretnych sędziów na stanowiska ministerialne. Ponadto, co działało na korzyść demokracji, cała sytuacja miała znamiona absurdu. Była to kopia akcji z USA sprzed kilku lat. Znow mieliśmy skrajną prawicę bajdurzącą o sfałszowanych wyborach. Ci ludzie nie wzięli się znikąd, Bolsonaro również. Takich ludzi zawsze jest pełno. Problemem było to, kto go poparł, a więc także ruch, na czele którego stanął. Finansjera i oligarchia surowcowa jawnie stały za poprzednim zamachem stanu, jak i za samą prawicą.

Czy widać było jej udział w tym, co się działo 8 stycznia? Wiele osób podkreślało, że gdyby ci prawicowi

napastnicy mieli jakieś poparcie, mogłoby to się skończyć znacznie gorzej.

– Biznes się podzielił, co było spowodowane tym, do jakiego stanu Bolsonaro doprowadził gospodarkę Brazylii. Zyski były, dochód z ograbiania ludności cały czas płynął, ale nie było wystarczającego wzrostu. Ekonomia zastygła. Jeśli tylko wyciągamy z niej pieniądze, nie reinwestując, przez jakiś czas może to funkcjonować, ale ma swoje granice. W dłuższej perspektywie potrzeba głębszej filozofii. Jak to się mówi, trzeba znać zasady skubania, żeby gąska nie padła. To była perspektywa krótkoterminowa. Stąd brak jednomyślnego poparcia prawicy przez biznes. Między innymi przedstawiciele sektora

finansowego, który – uwaga – dzięki prawicy ma możliwość oprocentowania kredytów indywidualnych na 50%!

Za ruszenie tej sprawy taki, a nie inny los spotkał Dilmę Rousseff, następczynię Luli, rządzącą Brazylią od 2011 r. do 31 sierpnia 2016 r.

– No właśnie, a nawet oni nie poparli rewolty! Dlaczego? Do jakiego stanu Bolsonaro doprowadził wizerunek Brazylii? Rąbanie Amazonii, skrajnie prawicowe, antyszczepionkowe brednie, homofobia... Takie skojarzenia dla biznesu nie są dobre, one też oddziałują na płynność finansową, szczególnie sektora bankowego. Co więcej, również dla części sektora surowcowego szczególnie kwestia Amazonii była kłopotliwa. Burza wokół jej wypalania zniechęciła znaczną część importerów soi czy drewna. Brak tego wsparcia zmniejszył szanse powodzenia próby zamachu stanu, ale najważniejsze było to, że USA stanęły po stronie Luli. Tutaj szalę przeważał fakt, że nie został wybrany kolejny raz Donald Trump. Wybór Joeego Bidena i bliźniacza historia z atakiem na Kapitol uniemożliwiły Bolsonarowi powrót do władzy poprzez *coup d'état*. Oprócz deklaracji USA wysłały swoich oficjeli wojskowych, aby ci porozmawiali z brazylijską armią. To sprawiło, że wojsko ucihło. A pamiętamy ludzi koczujących przed koszarami, wzywających armię do obalenia komunizmu.

W tamtych grudniowych dniach pewien brazylijski naukowiec odmówił rozmowy ze mną pod własnym nazwiskiem. Taki panował wtedy terror.

– Strach był. Kilku generałów, przedstawicieli regionów, ale też policja w niektórych przypadkach, stawali po stronie demonstrujących. Jednak reakcja świata dyplomacji, ale także zmęczenie ciągłą blokadą dróg, częstym szabrownictwem i po prostu sianiem chaosu sprowadziły wysiłki bolsonarystów do absurdu. Dwa miesiące po tych wydarzeniach można stwierdzić, że skrajna prawica została na jakiś czas zmarginalizowana.

Sam Bolsonaro założył sklepik internetowy, sprzedaje w nim kubki i kalendarze upamiętniające jego prezydenturę. Wszystko śladem Trumpa. Ale pozostaje na Florydzie. Jaka jest jego przyszłość?

– Boi się wrócić, bo za dużo tu narozrabiał. Jawnie popierał swoim zachowaniem próbę zamachu stanu. Co więcej, jego rodzina jest powiązana z policją z Rio de Janeiro, to bardzo skomplikowany system naczyń połączonych, karteli narkotykowych, nielegalnych „milicji” kontrolujących miasto.

Jest na ten temat niezwykle bogata literatura. Mówi się, że w pustkę po administracji państwowej lub tam, gdzie nigdy jej nie było, np. w fawelach, weszły kartele jako policja, wymiar sprawiedliwości i jedyna władza.

– Niestety tak. Trzeba zaznaczyć, że w zeszłym roku policja zabijała 17 osób dziennie! I maczali w tym

rozbudzić potencjał Brazylii. Teraz znów przychodzi Lula, jakie będą pierwsze kroki jego rządu?

– Ostatnio przedstawiono mi, po sześciu tygodniach funkcjonowania władzy, 30 różnych inicjatyw rządowych. Są wśród nich zmiana statusu Indian i wsparcie żywnościowe ludności mieszkającej w Amazonii. To małe, ale ważne rzeczy, o których z mediów ludzie się nie dowiedzą, a będą one wpływać na statystyki dopiero za jakiś czas. Jednak podstawą jest to, że Brazylia ma ropę, ma Petrobras, swój koncern paliwowy, jest więc na czym oprzeć gospodarkę. Ponadto mamy ogromne rezerwy budżetowe, które do tej pory nie zostały wykorzystane. Eksport i produkcja skierowana na zewnątrz ani zyski z dywidend nie były opodatkowane, co jest żywym drenażem ekonomii, z którego zyski czerpią BlackRock i inne globalne koncerny finansowe. Tutaj wejdzie bardzo

Brazylia należy do najbardziej rozwarstwionych krajów na świecie.

palce ludzie związani z rodziną Bolsonaro. My nazywamy nasz kraj demokracją, ale nie da się zrozumieć tego, co tutaj się dzieje, jeśli nie dostrzeże się, że Brazylia należy do najbardziej rozwarstwionych krajów na świecie. W tej niechlubnej klasyfikacji jesteśmy w czołówce.

Możemy to zobrazować danymi?

– Weźmy zbiory zbóż, które ostatnio wyniosły 314 mln ton. Jeśli podzielimy to na ludność Brazylii, wychodzi 4 kg na osobę dziennie. Dorosły człowiek je 180 g ryżu dziennie. A my mamy 33 mln głodujących i 125 mln osób w sytuacji tzw. niepewności żywieniowej. To katastrofa. Nie widać tego w PKB, bo wywóz produktów, takich jak wspomniane zboża czy surowce mineralne, ropa i gaz, przykrywa te niedostatki, pompując sztucznie PKB, podobnie jak bankowa lichwa. Ale to nie tworzy miejsc pracy, nie wzmacnia rynku wewnętrznego. Mamy inflację cen żywności, co jest absurdem.

Kiedyś były Bolsa Família i setki różnych programów socjalno-redystrybucyjnych, które miały

mocna interwencja podatkowa, zmieniająca kierunek systemu, który do tej pory był regresywny!

Tak jak nadal jest w Polsce.

– Niestety, trzeba to zmieniać i o tym mówić. W niedawnym wystąpieniu Lula mówił o powrocie programów socjalnych. Dojdzie do waloryzacji Bolsa Família, teraz będzie to 600 reali (nieco ponad 500 zł – przyp. red.), plus dodatki dla małych dzieci oraz starszych, dodam, że real ma wartość bardzo podobną do złotego. To weszło w życie na początku marca. Utworzono również mającą zwalczać głód Radę ds. Żywności, w której obecne są sektor prywatny i państwowy. Kolejną batalią będzie zmiana systemu kredytowego, czyli to, co przyczyniło się do obalenia Dilmę Rousseff. Kredyt rodzinny nie może być obciążony przeszło 50-procentowym zyskiem dla banku. To jest lichwa! Gospodarka nie może w takich warunkach się utrzymać. 79% rodzin jest tak zadłużonych, że nie daje rady spłacać swoich kredytów, to trzeba zmienić. Ludzie ▶

► o niskich dochodach nie będą płacić podatków.

Wielki biznes dojrzał do tego, żeby zmienić zasady gry?

– Nie, nie, nie. Tutaj będzie się toczyć walka polityczna o ustanowienie nowego modelu ekonomicznego. Czekają nas, a nawet już ma miejsce, próba sił, lewicy w parlamencie i prezydenta z oligarchią. Jedną z bitew będzie walka o bank centralny, który teraz jest w rękach prywatnych. Trzeba go przywrócić w ręce publiczne i dać ludziom możliwość brania kredytów o normalnym, niskim oprocentowaniu, tak jak zrobiła to Dilma Rousseff. Podkreślam jeszcze raz: to będzie kampania polityczna, potężne starcie sił, ale musi nam się udać. Cały nasz wysiłek pójdzie w kierunku stworzenia autonomicznego rynku wewnętrznego, takiego, jaki funkcjonuje w każdym normalnym kraju. Więcej dla biednych, mniej dla międzynarodowej finansjery.

Po tym, co zrobił Bolsonaro, i po uznaniu wyniku wyborów przez Bidena, może się wydawać, że Lula ma polityczny mandat, siłę ludu i wyborców za sobą, aby te zmiany przeprowadzić.

– Tak, ma mandat, lud go popiera, ale jest opozycja w ramach aparatu państwowego, i to niestety wśród mundurowych, szczególnie żandarmerii wojskowej – jest to coś na kształt włoskich karabinierów. W tych sektorach mogą się pojawiać jakieś problemy, wraca kwestia wspomnianych organizacji policyjno-mafijnych, te siły będą grać przeciwko Luli. Poza aparatem państwowym pozostają Kościoły protestanckie wspierające Bolsonara, mające własne media i organizacje pozarządowe. Do tego dochodzi biznes. Tak że jesteśmy my, związki zawodowe, partie lewicy i nasi wyborcy, kontra wspomniane siły. W kampanii wyborczej wszyscy mu kibicowali, teraz trzeba wziąć się do

pracy i postawić kraj oraz społeczeństwo na nogi. Lula ogłosił, że musi rządzić z tymi, którzy zostali wybrani, nie będzie żadnej rewolucji na szczeblach administracji państwowej. Są tam ludzie bardziej lewicowi, progresywni czy liberalni, ale zostali oni wybrani i będą pracować na rzecz nowej administracji.

Nasz prezydent ma skromne czteroletnie studia, ale w jednej rzeczy ma doktorat honoris causa. Jest nią walką o przegrane sprawy i negocjacje w środowisku, w którym, wydawałoby się, żadne negocjacje nie są możliwe. Tę swoją umiejętność będzie się starał wykorzystać i w kraju, i na arenie międzynarodowej. Proponując pokój na świecie i skupienie się na rozwoju krajów zacofanych, biednych i zmarginalizowanych. Już dekadę temu pokazał, że potrafi to robić, dziś musi tylko wrócić do gry i zakasać rękawy.

Wojciech Albert Łobodziński

Muzeum Niepodległości w Warszawie **poleca**



Ostatnie szanse

Powstanie listopadowe

Pokłosie Ogólnopolskiej Interdyscyplinarnej Konferencji Naukowej „Ostatnie szanse. Powstanie listopadowe”, która odbyła się 29 listopada 2021 r. w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Teksty naukowe, a także popularnonaukowe prelegentów są udokumentowaniem aktualnego stanu badań w dziedzinach historii, historii sztuki, archeologii i literaturoznawstwa. Ponadto publikacja umożliwia czytelnikom i czytelnicom poszerzenie wiedzy na temat powstania oraz zapoznanie się z najnowszymi badaniami w tej dziedzinie.

Powstanie styczniowe

Kraj i Litwa pograżyły się w żałobie narodowej

Praca zbiorowa, w której uwzględniono kilkanaście artykułów naukowych, wygłoszonych podczas konferencji poświęconej powstaniu styczniowemu – największemu i najdłużej trwającemu zrywowi narodowemu. Powstanie to miało charakter wojny partyzanckiej, w której stoczono ok. 1,2 tys. bitew i potyczek, a przez oddziały powstańcze przewinęło się ok. 200 tys. osób. Po upadku powstania kraj i Litwa pograżyły się w żałobie, znaczną część patriotów zwróciła się ku pracy organicznej, a sama idea zrywu stała się motywacją dla nowego pokolenia działaczy niepodległościowych.



Warszawa ma...

79. rocznica wybuchu w getcie warszawskim

W roku 2022 przypadła 79. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim, największego zbrojnego zrywu Żydów podczas II wojny światowej. Aby uczcić pamięć poległych, Muzeum Niepodległości 14 kwietnia 2022 zorganizowało konferencję adresowaną przede wszystkim do historyków zajmujących się upowszechnianiem wiedzy na temat dziedzictwa i obecności Żydów na ziemiach polskich, historyków sztuki, badaczy literatury czy malarstwa, archeologów i varsavianistów. W monografii będącej efektem tego wydarzenia zawarto kilkanaście artykułów.

Wszystkie tomy powstały pod redakcją Beaty Michalec i Tadeusza Skoczka

✉ Nie śpieszmy się z przekazaniem Ukrainie migów

Jak poinformował opinię publiczną prezydent Andrzej Duda, Polska przekaże niebawem Ukrainie nasze samoloty myśliwskie MiG-29. Obok F-16 są one trzonem Sił Powietrznych naszego kraju. Znając stan tych sił, jako osoba od 1989 r. konsekwentnie i systematycznie zajmująca się kwestiami bezpieczeństwa narodowego, w tym jako członek Krajowej Rady Lotnictwa ściśle współpracująca w latach 1996-2015 najpierw z Wojskami Lotniczymi i Obrony Powietrznej, a potem, po reorganizacji, z Siłami Powietrznymi, jestem bardzo zaniepokojony tą decyzją, która ze względu na wagę dla bezpieczeństwa Polski powinna być podjęta w uzgodnieniu zarówno z Sejmem, jak i Senatem RP.

Decyzję tę – twierdzą to z pełną odpowiedzialnością – uważam za nieprzemyślaną i krótkowzroczną. Niebezpieczną dla naszej ojczyzny! Mój niepokój uzasadniam poniższymi argumentami.

28 myśliwców ponaddwukrotnych MiG-29 będących na wyposażeniu polskich Sił Powietrznych, zmodernizowanych przez Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 2 w Bydgoszczy, to najlepiej manewrujące samoloty bojowe na świecie. Wraz z samolotami F-16 są one podstawą obrony powietrznej Polski, m.in. wykonują dyżury bojowe na wypadek naruszenia naszej przestrzeni powietrznej. Stacjonują w dwóch bazach lotniczych – w Królewie koło Malborka i pod Mińskiem Mazowieckim. Po przekazaniu Ukrainie samolotów MiG-29 na wyposażeniu naszego lotnictwa wojskowego pozostanie – jeśli chodzi o samoloty bojowe – tylko 48 samolotów F-16 oraz 18 przestarzałych (dostawa z 1984 r.) i stopniowo wycofywanych samolotów uderzeniowych Su-22. Z kręgów wojskowych ostatnio docierały informacje, że w pełni sprawna jest mniej więcej połowa samolotów, czyli będziemy dysponowali jedynie ok. 20 sprawnymi samolotami F-16 i ok. 10 sprawnymi samolotami Su-22.

Warto dodać, że w latach 70. Polska posiadała ponad 1 tys. samolotów bojowych – były to maszyny Lim-3, Lim-5 i Lim-6 (wyprodukowane na licencji radzieckiej w PZL Mielec), MiG-19 i MiG-21, a także niewielka liczba schodzących wówczas z uzbrojenia bombowców Il-28, eskadra nowych samolotów Su-20 o zmiennej geometrii skrzydeł, pułk maszyn MiG-23 (również o zmiennej geometrii skrzydeł) oraz pułk samolotów myśliwsko-bombowych Su-7 przygotowanych do przenoszenia bomb atomowych.

Najbardziej niepokojące jest to, że prawdopodobnie w pierwszej kolejności przekazane zostaną starsze wersje migów stacjonujące w Królewie koło Malborka. Oznacza to, że teren północno-wschodniej Polski na granicy z Kaliningradem i Przesmykiem Suwalskim będzie pozbawiony osłony powietrznej.

Przekazanie Polsce przez Koreę Południową samolotów FA-50 – w zamian za dostarczone Ukrainie migi – potrwać może kilka miesięcy, a ponadto wiele miesięcy potrwa przeszkolenie pilotów na samoloty koreańskie. Jeszcze dłużej – zainstalowanie nowej infrastruktury lotniskowej i eksploatacyjnej dla tych samolotów. Podobnie będzie, gdy zamiast maszyn koreańskich otrzymamy od USA samoloty F-16 starszego typu, zakonserwowane na pustyni.

Musimy też pamiętać, że wojna na Ukrainie będzie eskalować i może bezpośrednio zagrozić naszej ojczyźnie. Za jakiś miesiąc, dwa lub trzy prawdopodobnie nastąpi faza II tej wojny – dużo poważniejsza niż faza I. Nie można wykluczyć, że w pewnym momencie wojna ogarnie Polskę, ponieważ główne szlaki dostaw uzbrojenia dla Ukrainy przebiegają przez nasz kraj.

Prof. dr hab. Paweł Soroka

✉ „Król kłusowników” w komisji etyki

W związku z reportażem „Król kłusowników” („Superwizjer” TVN, 11 marca br.), dokumentującym udział prof. dr. hab. Pawła P. w pijackim polowaniu, oraz stanowiskiem Zarządu Głównego Polskiego Związku Łowieckiego członkowie Polskiego Towarzystwa Etycznego wystali list do rektora Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego ks. prof. Ryszarda Czekalskiego. Zwrócili się w nim o bezzwłoczne zawieszenie prof. Pawła P. w czynnościach nauczyciela akademickiego i członka Komisji Etyki Badań Naukowych do czasu pełnego wyjaśnienia jego zachowań i roli w tym oraz innych polowaniach, ponieważ dostępne materiały uzasadniają podejrzenie popełnienia przez niego przestępstwa znęcania się nad zwierzętami ze szczególnym okrucieństwem, za co grozi do pięciu lat pozbawienia wolności. „Uważamy – piszą członkowie PTE – że samo uczestnictwo w pijackim polowaniu jest czynem uchybiającym godności nauczyciela akademickiego i wymaga wszczęcia postępowania dyscyplinarnego. Wyrażamy też ubolewanie, że osoba uprawiająca potępiane przez większość polskiego społeczeństwa zabijanie dla przyjemności zostaje powołana na członka jakiegokolwiek komisji etyki, tym bardziej że sygnały sugerujące naganne zachowania prof. Pawła P. nadchodziły już poprzednio”.

Prof. dr hab. Andrzej Elżanowski
– przewodniczący Polskiego Towarzystwa Etycznego
Adw. Karolina Kuszlewicz
– rzeczniczka praw zwierząt

f Hipokryzja i obrona cywilizacji

Prof. Romanowski twierdzi, że Rosja jest zakładnikiem swojej historii, i ma rację, chociaż to półprawda. Polska też jest zakładnikiem swojej historii, bo dla zabicia nudy życia w pokoju co kilkadziesiąt lat upuszcza krwi swojej młodzieży. Polacy mentalnie żyją w rzeczywistości sprzed ponad 100 lat. Dla nas zagrożeniem dalej są Budionny, Stalin i wszystkie złe duchy po rewolucji 1917 r. Przez ponad 100 lat nie nauczyliśmy się żyć z sąsiadami, wszędzie szukamy wroga, chociaż nie ma ani PRL, ani państw z nią graniczących. Ale wrogowie pozostali. Dalej wolimy zdechnąć pod gruzami, niż ustąpić chociaż o krok, bo myślimy, że ktoś nas za to pochwali. Pośmiertnie! I przyjechał Biden, nagadał górnolotnych frazesów, a główny nurt medialny publicznie prezentował wiernopoddańczy orgazm (Kraśko!). Następnym na Ukrainę Biden wyśle Polaków... *Cóż, we, the people...*

Marek Głowinkowski



Wojna gejów z gejami

Hierarchowie kościołni pomstępujący na osoby homoseksualne nigdy nie dokonali rozrachunku ze swoim środowiskiem

Artur Nowak, Stanisław Obirek

Ważnym punktem odniesienia w debacie o klerykalnej homofobii jest św. Paweł z Tarsu. To bezsprzecznie jedna z najważniejszych postaci w historii chrześcijaństwa, która właściwie ustępuje jedynie Jezusowi. Co ciekawe, przypisuje mu się ponad połowę ksiąg Nowego Testamentu, z czego siedem uznanych jest za jego autentyczne dzieło. Nie ma przesady w twierdzeniu, że był on pionierem chrześcijańskiej homofobii.

Na nauczaniu Pawła z Tarsu ufundowany jest po dziś dzień fundament pogardy kościoła rzymskokatolickiego wobec mniejszości seksualnych. Co do nauczania zawartego w Starym Testamencie, postanowiliśmy

„porzuciwszy normalne współżycie z kobietą, zapalali nawzajem żądzą ku sobie, mężczyźni z mężczyznami uprawiając bezwstyd i na samych sobie ponosząc zapłatę należną za zboczenie” (Rz 1,27).

To dziedzictwo Pawła trzyma się mocno. Wielu gorliwym katolikom życie intymne homoseksualizmów i lesbijek wciąż wydaje się straszliwym, wręcz niewyobrażalnym zboczeniem. Skąd w nich tyle zapalczywości? Być może jedną z odpowiedzi na to pytanie jest postać samego Pawła.

W bestsellerze z 1991 r. „Ratując Biblię przed fundamentalizmem: biskup na nowo zastanawia się nad znaczeniem Pisma” John Shelby Spong, emerytowany biskup kościoła episkopalnego w Newark

młodszych mężczyzn. Zdarzało mu się dość często wyrażać negatywnie o kobietach. Dręczony wyrzutami trzy razy błagał Boga, by usunął nieokreślony „cierń z jego ciała”, który go niepokoił. Nazywa go ościeniem. Niektórzy uważają, że ów „oścień” przyciągał innych mężczyzn. Według Pawła Bóg go nie wysłuchał. Usłyszał od Stworzyciela: „Wystarczy ci mojej łaski, bo moc moja w słabości się doskonali”. Ta perspektywa wiele wyjaśnia. „Wojna, która toczy się w nim, jest dość klasycznym opisem tego, co zrozumiałem u represjonowanych gejów”, powiedział Spong w wywiadzie dla „Los Angeles Times”.

Wnioski, do jakich dochodzi Spong, to dla nas dogodny punkt wyjścia, by się zastanowić nad dzisiejszą sytuacją kleru katolickiego, zwłaszcza katolickiej hierarchii. Większość tych mężczyzn żyjących teoretycznie w dobrowolnie przyjętym celibacie wykazuje z jednej strony wyraźne homofobiczne tendencje, a z drugiej mocne skłonności homoseksualne. Ileż to razy słyszeliśmy od zaprzyjaźnionych duchownych o tym czy innym biskupie, że „on jest też”. Nie dla wszystkich jest to widoczne. Również dla nas nie jest – a przynajmniej nie było – to oczywiste. Jednak zbyt wiele na ten temat przeczytaliśmy, by nie zastanowić się nad tym, skąd ta sprzeczność między deklarowanymi poglądami a praktyką życiową.

Cóż, to niekoniecznie musi być prawda, ale wiele wyjaśniają liczby i przykłady eksponowanych hierarchów kościoła. Można oczywiście dyskutować z Frederikiem Martelem, autorem głośnej „Sodomy”, na ile prawdziwa jest jego teza, że 80% duchownych pracujących w Watykanie to geje. Ale przykłady swoistego rozdwojenia jaźni praktykujących

Jan Paweł II już w latach 80. doskonale musiał wiedzieć, kim jest Juliusz Paetz, i pomimo tej wiedzy zrobił go biskupem.

je przemilczeć. Zbyt wiele jest w jego księgach okropieństw, a przede wszystkim absurdów, by traktować je dziś poważnie. Nakaz zabijania innowierców, pochwała niewolnictwa i rada, by tak bić niewolników, aby nie zabić, to tylko przykłady z reguł starego prawa, więc najlepiej spuścić na nie kurtynę milczenia. Paweł to co innego. Wydawałoby się, że już sama zbitka: chrześcijanin oraz homofob, może budzić zdziwienie. A jednak za sprawą świętego z Tarsu nabrała istotnego znaczenia.

Znamy te groźne, wręcz obsesyjne tyrady kluczowego autora i bohatera Dziejów Apostolskich. W Liście do Rzymian pomstował na kobiety, które „przemieniły życie zgodne z naturą na przeciwne naturze” (Rz 1,26), oraz mężczyzn, którzy

w stanie New Jersey, twierdził, że niechęć św. Pawła wobec homoseksualistów może być związana z jego własną orientacją seksualną. W Polsce trudno znaleźć podobne analizy, ale w Europie Zachodniej i USA takie tezy stawiane są od dawna. Apostoł miał bowiem szukać w swoich pismach kontroli nad czymś, czego sam nie był w stanie zmienić. Spong twierdził, że owa Pawłowa homofobia to nic innego jak zapis wojny, która toczyła się między tym, czego święty pragnął umysłem, a tym, czego pragnęło jego ciało.

Zmarły w 2021 r. biskup nie jest gołosłowny. Podaje na rzecz swojej tezy szereg argumentów.

Otóż Paweł nigdy się nie ożenił, co było niezwykle jak na Żyda z I w. Jednocześnie żył w otoczeniu



Abp Marek Jędraszewski w 2019 r. nazwał mniejszości seksualne zarazą.

homoseksualizm hierarchów homofobów to fakt.

Przewodniczący Papieskiej Rady ds. Rodziny Alfonso Lopez Trujillo to typowy przykład prominentnej postaci z samego szczytu watykańskiego establishmentu, która dehumanizowała mniejszości. W przemówieniu podczas synodu biskupów 7 października 2005 r. nie pozostawiał złudzeń, że między małżeństwami tej samej płci a tymi „normalnymi” nigdy nie będzie można postawić znaku równości: „(...) Cała ta tendencja, która może objąć liczne kraje, jest wyraźnie sprzeczna z Bożym prawem, z Bożymi przykazaniami i zaprzecza prawu naturalnemu. Jest śmiertelną raną zadaną tkance społecznej. Czy można pozwalać na przystępowanie do

komunii eucharystycznej tym, którzy nie uznają zasad i wartości ludzkich i chrześcijańskich?”.

Jak mocno kard. Alfonso Lopez Trujillo musiał być wewnętrznie pogubiony, stawiając podobne pytania? Wszak on nie miał z przystępowaniem do komunii żadnych problemów. Żerował na młodych mężczyznach. Żył w luksusie, zepsuty do szpiku kości. Jego wybrańcy z kręgów duchownych, którzy sprawowali nad nim opiekę, gdy w mężczyznach miał umierać na AIDS, robili w kościele błyskotliwą karierę. Tak na marginesie, jeden z nich jest biskupem w pewnej mało znaczącej diecezji w Polsce. Wracając do Trujillo, według wielu rozmówców Martela jego nieoficjalne oblicze było porażające: w gejowskiej dzielnicy

Medellin, nieopodal katedry, miał intymny apartament, do którego sprowadzał seminarzystów, młodych mężczyzn i męskie prostytutki (homoseksualizm Alfonsa Lopeza Trujillo Martel potwierdził u dziesiątków świadków, w tym kilku kardynałów). Ofiary namierzał podczas wizytacji parafii, seminarium, wspólnot religijnych. Jego „specjalnością” byli chłopcy z nowicjatu. Najdelikatniejsi, najmłodsi, najlepiej jasnooccy i jasnowłosi. Zdarzało się, że temu, kto odmówił wejścia do jego łóżka, blokował wyświęcenie. Korzystał z systemu księży naganiaczy. Ofiary znieważał i poniżał. Bicie musieli też akceptować oddający mu się za pieniądze mężczyźni, bo korzystanie z prostytutki było kolejną pasją hierarchy. Ciosy zawsze wymierzał na końcu, nie w trakcie aktu seksualnego.

Kiedy w grudniu 2012 r. w opublikowanym przez Watykan orędziu na obchodzony przez kościół 1 stycznia Światowy Dzień Pokoju ówczesny papież Benedykt XVI zaatakował związki homoseksualne, włoska lewica nie pozostawiła na nim suchej nitki. Tak naprawdę jednak ten mizoginiczny, straumatyzowany rewolucją seksualną starzec nakreślił swoiste credo kościoła w sprawie mniejszości seksualnych. Twierdził, że „trzeba uznać i promować naturalną strukturę małżeństwa jako związku między mężczyzną a kobietą, wobec prób zrównania jej w obliczu prawa z radykalnie innymi formami związków, które w rzeczywistości szkodzą jej i przyczyniają się do jej destabilizacji, przestaniając jej szczególny charakter i niezastąpioną rolę społeczną”.

Według Benedykta te mądrości to nie tyle prawa wiary. „Są wpisane w samą naturę człowieka, możliwe do rozpoznania rozumem, a zatem wspólne dla całej ludzkości”. W dalszej części dodał, że działalność kościoła na rzecz ich promowania jest tym bardziej konieczna, im bardziej owe zasady są negowane lub błędnie rozumiane, ponieważ znieważa to prawdę o osobie ludzkiej, a do tego w poważny sposób uderza w sprawiedliwość i pokój. ►

► Nie tylko we Włoszech uznano, że trzeba mieć naprawdę nie po kolei w głowie, by w dokumencie afirmującym pokój jednocześnie dyskryminować gejów. No ale papież z Niemiec miał swoje priorytety.

– Które batalie w dziejach bardziej zagroziły pokojowi? Wojny religijne czy żądania homoseksualistów i lesbijek, którzy proszą tylko o to, by uznano miłość między osobami tej samej płci? – pytała działaczka centrolewicowej Partii Demokratycznej, lesbijka Paola Concia.

Z kolei działacz gejowski Aurelio Mancuso zauważył, że prawa łamane są nie przez związki ludzi, którzy się kochają, ale tam, gdzie homoseksualiści są zabijani, torturowani, więzieni, prześladowani przez dyktatorskie reżimy. Dla wszystkich było jasne, że następca papieża Polaka uzbraja homofobów ze wszystkich krajów, zachęcając ich do krucjaty przeciwko małżeństwom osób tej samej płci.

Dostłownie trzy miesiące później papież udał się na przedwczesną emeryturę. Oficjalnie – jak wyjaśnić – ustąpił powodowany względami zdrowotnymi.

To ciekawe, bo kilka lat wcześniej zdawał się podziwiać swojego poprzednika, który choć ciężko schorowany, wciąż formalnie kierował kościołem. Wbrew temu, że przecież odpowiedzialność za tę instytucję

demokratycznym organizmie podlegałby pewnie kontroli. Ale kościół katolicki z demokracją nigdy nie miał i nie chciał mieć nic wspólnego.

Wracając jednak do przyczyn abdykacji niemieckiego papieża, warto przypomnieć doniesienia medialne, które towarzyszyły tej decyzji. Jak pisała „La Repubblica”, 17 grudnia 2012 r. Benedyktowi przedłożono 300-stronnicowy tajny raport sporządzony w związku z tzw. aferą Vatileaks. W październiku jeden z autorów raportu, hiszpański kardynał Julian Herranz, miał wspomnieć w obecności Benedykta XVI o homoseksualizmie w kurii. (...)

wspomnianych kardynałów. Po tym spotkaniu postanowił, że ustalenia raportu, których treść jest znana tylko jemu, zostaną udostępnione wyłącznie nowemu papieżowi.

Gdzie leży prawda? Jakie faktyczne przyczyny skłoniły papieża z Niemiec do abdykacji? Przecież nie kto inny jak właśnie Benedykt XVI chciał postawić tamę gejom w kościele. Przez 2 tys. lat nie było w kościele katolickim formalnego zakazu kapłaństwa mężczyzn homoseksualnych. Zwrot nastąpił w 2005. Papież z Niemiec wydał w pierwszym roku swojego pontyfikatu instrukcję doty-

Alfonso Lopez Trujillo ofiary namierzał podczas wizytacji parafii, seminariów. Jego „specjalnością” byli chłopcy z nowicjatu.

Wspomniany dokument mający przelać czarę goryczy, którą nosił w sobie papież z Niemiec, sporządziło trzech kardynałów, którzy ukończyli 80. rok życia: Józef Tomko, Julian Herranz Casado i Salvatore De Giorgi. Miał on ukazywać niebywałe zepsucie Watykanu. W sumie to nic nowego: nepotyzm, intrygi, zawiść, wojna o wpływy – Watykan zna to od wieków. Jak pokazują co jakiś czas media, niewiele się zmieniło. Może poza tym, że nikt tu już raczej nikogo nie truje i nie morduje. Po lekturze

czącą kapłaństwa mężczyzn homoseksualnych. Za przeszkodę uznano nie tylko czyny homoseksualne, ale także samą skłonność czy tendencję homoseksualną oraz związek kandydatów do kapłaństwa z tzw. kulturą gejowską.

Za powstaniem tego dokumentu stał duchowny z Polski. To Zenon Grocholewski (1939-2020). Choć z Polski wyjechał już w 1966 r. (trzy lata po święceniach), jego kariera zakwitła tak naprawdę u boku papieża z Polski. W 1998 r. został prefektem Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, rok później Jan Paweł II mianował go prefektem Kongregacji Wychowania Katolickiego, a zarazem kardynałem. Kongregacja ta poza uniwersytetami katolickimi na całym świecie zajmowała się m.in. seminariami. W Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieje kilkadziesiąt uniwersytetów katolickich, jego rządy, a mówiąc ściślej, próba podporządkowania Watykanowi tych placówek, zakończyły się kompromitacją. Prawodawstwo uczelni amerykańskich zapewnia im daleko idącą autonomię i wszelkie próby ingerencji spęły na niczym. Jednak w Polsce do dzisiaj Grocholewski jest uznawany za największy autorytet z tego prostego powodu, że nie istnieje autonomia uniwersytetów katolickich. Są całkowicie podporządkowane biskupowi i bzdury,

Pytanie o to, czy kapłaństwo u progu XXI w. staje się zawodem gejowskim, nie jest żadną prowokacją.

nakazywałyaby, żeby oddał w niejstery komuś w pełni sił. Komentatorzy twierdzili, że przyczyny tej abdykacji były inne. Benedykt poddać się miał bowiem po przegranej walce z lobby gejowskim. Niezadowolony z tej decyzji kard. Stanisław Dziwisz skomentował ją skrzydlatą uwagą, że „z krzyża się nie schodzi”.

Dziwisz wiedział, co mówi. Kiedy jego pryncypał zaniemógł na zdrowiu, jak twierdzi wiele źródeł, w zasadzie przejął nad polskim papieżem kontrolę. Wystarczyło, że powiedział „papież chce”, i otrzymywał wszystko. W normalnym, szanującym się

raportu szala się przechyliła. Rozważający już wcześniej ustąpienie papież z Niemiec miał powiedzieć pas.

Co ciekawe, rzecznik Watykanu o. Federico Lombardi zapowiedział, że spekulacje związane z raportem nie będą „ani dementowane, ani komentowane, ani potwierdzane”. Według źródeł brytyjskiej prasy Benedykt XVI zrezygnował, gdy dowiedział się o sieci gejowskiej prałatów, którzy mieli być szantażowani przez osoby z zewnątrz kościoła. (...)

W lutym 2013 r. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej poinformowało, że Benedykt XVI przyjął na audyencji

które opowiadał Grocholewski, po dziś dzień są uznawane za jedyną objawioną mądrość.

Po tej dygresji wracamy do Benedykta XVI. W instrukcji, o której mowa, twierdzono, że udzielanie święceń homoseksualistom jest niedopuszczalne. A to dlatego, że „osoby takie (...) znajdując się w sytuacji, która zasadniczo uniemożliwia im poprawną relację do mężczyzn i kobiet”. To ciekawe, bo tak na marginesie prawo kościelne w żaden sposób nie czyni przeszkód, by osoba homoseksualna została biskupem, kardynałem, a nawet papieżem. Swoją drogą nikt jakoś nie postawił pytania: skąd ta niekonsekwencja?

W 2008 r. kongregacja wydała dokument dotyczący wykorzystania w formacji seminaryjnej narzędzi psychologicznych. W trakcie prezentacji Grocholewski miał powiedzieć, że według niego homoseksualizm, nawet niepraktykowany, to „dewiacja, nieregularność i rana”, która uniemożliwia pełnienie posługi, ponieważ „częścią natury kapłaństwa jest duchowe ojcostwo wobec wiernych. A nawet wstrzemięźliwi seksualnie homoseksualiści są do tego niezdolni”.

Trudno w to uwierzyć, ale ludzie z takimi poglądami jak Grocholewski robili w kościele w trakcie ostatnich dwóch pontyfikatów zawrotne kariery. To m.in. Grocholewski udzielił poparcia homofobicznemu arcybiskupowi z Krakowa Markowi Jędraszewskiemu po kompromitującej wypowiedzi z sierpnia 2019 r., w której następca Dziwisa nazwał mniejszości seksualne zarazą. W liście do arcybiskupa krakowskiego pisał: „z wielką przykrością odbieram bezzasadne ataki na Księdza Arcybiskupa”. W kazaniu wygłoszonym przez brunatnego arcybiskupa nie dostrzegł „nic niewłaściwego, lecz, przeciwnie, realistyczne odczytanie rzeczywistości oraz poczucie odpowiedzialności, którym się Ksiądz Arcybiskup kierował, broniąc prawdy i dobra oraz prawa Bożego wobec narzucającej się obecnie ideologii”.

To ten sam arcybiskup, któremu jakoś nie przeszkadza żyjący w Krakowie, nieopodal jego siedziby,

kardynał pozostający w przedziwnej relacji z pewnym Włochem.

James Martin, amerykański jezuita, przyjaciel mniejszości seksualnych, którego papież Franciszek w 2017 r. zrobił doradcą watykańskiego sekretariatu do spraw komunikacji, w rozmowie z nami nie pozostawił na ludziach pokroju Jędraszewskiego i Grocholewskiego suchej nitki. Zauważał, że nazywanie jakiegokolwiek osoby lub grupy ludzi „zarazą”, z jakiegokolwiek powodu, oznacza sprowadzenie ich do stanu choroby, infekcji, a tym samym dehumanizację. I choć przyznał, że nie widzi obecnie żadnej zmiany w nauczaniu na temat małżeństw osób tej samej płci, to zmieniło się podejście: papież Franciszek ma przyjaciół gejów, nawet żonatych przyjaciół gejów. Jest też pierwszym papieżem, który wypowiedział słowo „gej”.

Kościół ustami wielu hierarchów od lat traktował homoseksualistów jako „patologię” winną pedofilii w Kościele.

Kiedy James Martin usłyszał o polskich samorządach podejmujących uchwały deklarujące wrogość wobec mniejszości, obsypywanych przez rząd dotacjami przy zachwycie ludzi kościoła, zareagował w sposób jednoznaczny:

– Nie słyszałem o „strefach wolnych od LGBT”, ale brzmi to niebezpiecznie blisko „stref wolnych od Żydów” w Europie w latach 30. i 40. XX w. Kościół powinien pomagać prześladowanym mniejszościom, a nie zwiększać prześladowania. (...)

Wiele wody musiało upłynąć w Tybrze, by podejście do gejów się zmieniło. Nie tylko w Watykanie, za sprawą takich ludzi jak Martin, ale również nad Wisłą. Swoją drogą to ciekawe, że nikt nie odnotował zmiany, która zaszła w ostatnich miesiącach w retoryce arcybiskupa Marka Jędraszewskiego. Ten patron homofobii, znany z niewybrednych ataków wobec środowisk LGBT, którego język stał się obowiązującą normą na wielu polskich ambonach, nieoczekiwanie spuścić z tonu.

Wszystko wskazuje na to, że w trakcie wizyty polskich biskupów w Watykanie w listopadzie 2021 r. usłyszał dobrą radę, by poszukał innych tematów do swoich homilii. I że, choć pewnie bardzo by tego pragnął, nie zostanie już kardynałem. To pierwszy od wielu dekad przypadek, gdy metropolita krakowski kończy karierę w randze zaledwie arcybiskupa.

Ale jeszcze nie tak dawno tacy właśnie ludzie jak arcybiskup z Krakowa mieli wiele do powiedzenia w Watykanie. Jak wspomina w wywiadzie z Magdaleną Rigamonti etyk i filozof ks. prof. Andrzej Kobylński, sprawa nie jest dla kościoła taka prosta:

– Gdy chodzi o relację homoseksualizm – kapłaństwo, niezwykle ostry spór rozpoczął się około 50 lat temu. Od 27 czerwca do 18 lipca 1998 r. uczestniczyłem w Rzymie w kursie formacyjnym zorganizowanym przez Stolicę Apostolską dla wychowawców i wykładowców

pracujących w seminariach duchownych. Ze szkolenia wyniosłem swego rodzaju „polecenie służbowe” przedstawicieli Stolicy Apostolskiej, aby traktować orientację homoseksualną jako przeszkodę do święceń kapłańskich.

Ale jest coś jeszcze, o czym warto napisać. To perfidna katolicka spekulacja, która miała jeszcze w inny sposób uprzykrzyć życie gejom. Kościół ustami wielu wysoko postawionych hierarchów od lat homoseksualistów traktował jako „patologię” winną pedofilii w Kościele.

We wspomnianej rozmowie James Martin przypominał to, co wiedzą wszyscy. Mianowicie, że wszyscy szanowani psychiatry i psychologowie twierdzą, że bycie homoseksualistą nie oznacza, że jesteś pedofilem. To straszny stereotyp. Większość przypadków wykorzystywania dzieci ma miejsce w rodzinach i nikt nie mówi, że bycie osobą heteroseksualną lub w związku małżeńskim prowadzi do pedofilii.

► A przecież pytanie o to, czy kapłaństwo u progu XXI w. staje się zawodem gejowskim, nie jest żadną prowokacją. Postawiono je dość dawno, wiele lat przed Martelem. W 2000 r. ks. prof. Donald Cozzens, teolog i terapeuta, były rektor seminarium w Cleveland, w głośnej publikacji „Zmienianie się oblicze kapłaństwa” podał, że od 30% do 58% amerykańskich duchownych to osoby o orientacji homoseksualnej.

Franciszek jest pierwszym papieżem, który wypowiedział słowo „gej”.

Podobne wyliczenia przedstawił Richard Sipe, który zajmował się księżmi pedofilami. Według tego byłego benedyktyna 30-50% amerykańskich duchownych to osoby o orientacji homoseksualnej, a w przypadku biskupów może to być nawet 70%. Sipe, który w latach 70. pracował z księżmi pedofilami na Bahamach, mimo że zrzucił sutannę, do końca życia prowadził zaawansowane studia nad życiem seksualnym duchownych i ich zdrowiem psychicznym. Wnioski, które przedstawił, nigdy nie zostały podważone. Co ważne, Sipe twierdził, że nie ma dowodów, by uważać, iż księża o orientacji heteroseksualnej zachowywali wstrzemięźliwość seksualną w większej mierze niż osoby homoseksualne.

Ale kościół ma o wiele poważniejszy problem z preferencjami seksualnymi duchownych. Jakis czas temu Irlandia, która jeszcze nie tak dawno uważana była za enklawę tradycyjnego katolicyzmu w Europie, wstrząsnęła seria skandali. W murach seminariów dochodziło do wykorzystywania seksualnego młodych kleryków przez kadrę, a kandydaci na kapłanów z młodszych roczników często byli molestowani przez starszych od siebie studentów. Tych, którzy nie byli w stanie znieść podobnego traktowania, usuwano dyscyplinarnie, a następnie prawnie zmuszano do milczenia.

Po wyjściu prawdy na jaw w Irlandii zamknięto wszystkie diecezjalne seminaria. Przez pewien czas klerycy kształcili się w Seminarium

Narodowym św. Patryka w Maynooth. Do czasu. W 2016 r. i tam doszło do nadużyć na tle homoseksualnym. Abp Diarmuid Martin z Dublina wycofał z dalszego kształcenia w tej instytucji kilku swoich ostatnich kleryków. Od tego czasu irlandzcy kandydaci na kapłanów mieli kształcić się tylko w jednym diecezjalnym seminarium na terenie kraju lub w Kolegium Irlandzkim w Rzymie. Poczynając od 2016 r., zakończyło działalność katolickie Seminarium Duchowne św. Malachiasza w Belfaście, działające nieprzerwanie od 1833 r. To ósme seminarium zamknięte w Irlandii po 1993 r. Mówi się, że u podstaw tej decyzji legły kompromitujące kleryków i ich położonych skandale gejowskie. (...)

Dziś już śmiało można postawić tezę, że homofobia kleru to w pewnej mierze reakcja wyparciowa związana z nieumiejętnością zrozumienia własnej seksualności. Jest dość znamienne, że hierarchowie pomstujący na homoseksualistów nigdy nie dokonali rozrachunku ze swoim środowiskiem. Rysy w ich charakterze pokutują tymczasem do dziś za sprawą ich duchowych synów. Nie

Kościół katolicki z demokracją nigdy nie miał i nie chciał mieć nic wspólnego.

trzeba daleko szukać. Duchowymi synami kard. Henryka Gulbinowicza (1923-2020), uwikłanego we współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, która miała wiedzę o jego relacjach homoseksualnych, byli przecież bp Jan Tyrawa i bp Edward Janiak. To nazwiska, które są dziś znane z pijackich burd, stosowania mobbingu wobec podległego im duchowieństwa oraz tuszowania pedofilii. Jak ujawnił w „Gazecie Wyborczej” Jan Turnau, protekcja Gulbinowicza była na tyle znacząca, że pomimo skarg stanych do ówczesnego nuncjusza Józefa Kowalczyka, związanych z nadużyciami na tle seksualnym, których we

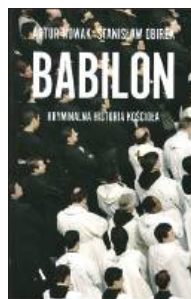
Wrocławiu dopuszczał się Edward Janiak, został on wyświęcony na biskupa. Powtórzył więc niejako losy swojego mentora. Nie było chętnych, by z tego typu historii wyciągać konsekwencje. Taka była wtedy mentalność. Wystarczy wspomnieć, że kiedy na początku lat 80. ubiegłego wieku w Watykanie rozpoznano homoseksualne zapędy Juliusza Paetza (1935-2019), wyekspedowano go do Łomży, dla niepoznaki nominując miejscowym biskupem, a potem metropolitą poznańskim. Szef Katolickiej Agencji Informacyjnej Marcin Przeciszewski publicznie poinformował, że abp Juliusz Paetz w 1983 r. „do Łomży pojechał na zesłanie, to był podstawowy błąd”. Dodał, że „jego skłonności zostały rozpoznane w Watykanie” i „Watykan chciał się go pozbyć”.

Słowa te padły podczas panelu „Kościół na krawędzi?”, który odbył się w ramach Ogólnopolskiego Forum Młodych we Wrocławiu pod koniec listopada 2019 r. Informacja podana przez Przeciszewskiego potwierdza spekulacje, że sprawa skłonności Paetza musiała być w Watykanie doskonale znana o wiele wcześniej, zanim na przełomie XX i XXI w. wybuchł skandal związany z molestowaniem kleryków w Poznaniu. Przypomnijmy, że oficjalnie obowiązuje wersja, zgodnie z którą o sprawie Paetza

polskiego papieża zawiadomiła dopiero w 2002 r. bohaterska profesor Wanda Półtawska, przyjaciółka Karola Wojtyły z czasów krakowskich, która miała się niemal przedrzeć przez kordon watykańskich popleczników arcybiskupa.

Dziś już chyba nikt nie ma wątpliwości, że to mit. Jan Paweł II już w latach 80. doskonale musiał wiedzieć, kim jest Juliusz Paetz, i pomimo tej wiedzy zrobił go biskupem. Zresztą nie tylko jego.

Fragmenty książki Artura Nowaka i Stanisława Obirka *Babilon. Kryminalna historia kościoła*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Śmierć Boga

Andrzej Bieńkowski z żoną Małgosią u nas. Andrzej – świetny malarz, wielki zbieracz i dokumentalista dawnej muzyki ludowej. Mam jego piękny obraz malowany na podkładzie piaskowym, krokodyl przy stole; przypomina płaskorzeźby egipskie. Andrzej w rozpaczy, bo dostrzegł, że ten obraz przez 40 lat swojego życia w moich mieszkaniach wyblakł. Zastanawia się, czy go nie odnowić, to jednak ryzykowna operacja. Andrzej za to nie wyblakł, jest nieco większy, a taki był kiedyś chudziak, to dlatego, że wszystko robi z wielką pasją i namiętnie. Dotyczy to też jedzenia, pracy, sztuki. Maluje teraz świetne rzeczy, ale moim zdaniem nie jest wystarczająco dostrzegany jako malarz. Żeby istnieć z powodzeniem w sztuce, trzeba mieć nie tylko talent i wytrwałość, ale także szczęście.

Jego zbiory i zasługi dla muzyki ludowej są ogromne. Przyniósł mi swoją nową książkę „Trzymałem węża w garści”. Opowieść o polskiej wsi, o jej muzyce, o jego przygodzie z nią. Świetnie się to czyta. Andrzej ma drewniany domek na mazowieckiej wsi, pamięta, jak nie było w niej światła, teraz to już zupełnie inna wieś. A świat, który badał i dokumentował, już nie istnieje. Nawet na początku jego badań, pod koniec lat 70., ten świat stał na progu zagłady, na wiejskich weselach nie byli już potrzebni grajkowie. W miejsce prawdziwej muzyki weszło niestety disco polo. Od początku więc te badania miały charakter archeologiczny, zdarzały się rekonstrukcje, Andrzej z martwych powstawał starszków, by po latach milczenia coś dla niego zagrali. Niemal mył ich, ubierał, brali w starcze dłonie już zakurzone instrumenty. I grali, jakby nie było tej przerwy, a on to rejestrował kamerą i opisywał. W tej muzyce Andrzej odnalazł wielką sztukę, skrzydków geniuszy, sztukę równoległą do klasycznej muzyki.

Książka Bieńkowskiego świetnie uzupełnia trzy książki o polskiej pańszczyźnie, o naszej wsi, które niedawno się ukazały, a o których pisałem w felietonach. Pełna anegdot, pulsuje serdeczną ironią, ale jest w niej również jakaś groza polskiego, wiejskiego buszu. Tamten świat zapadł się w przeszłość, ale dawne myślenie: wiara w duchy, magia, trudne relacje sąsiedzkie, stosunek do świata – to wszystko w przekształconej postaci nadal jest w ludziach. To jest ta druga Polska, którą słabo rozumiemy. Którą dobrze zaś czuje PiS.

Po spotkaniu Andrzej dzwoni do mnie. Nie spał w nocy, tak się przejął tym, że jego obraz wyblakł. Czy zgodzę się, że weźmie go ode mnie i spróbuje przywrócić mu światło? W zamian pożyczę mi jeden z nowych obrazów. Zachwycony jestem ostatnim okresem jego malarstwa, ono zresztą też nasycone wiejskim tematem. Wyczuwa moje pragnienie, by ten nowy obraz został u nas na stałe, więc mogę krokodyla wymienić na ten nowy. Jaka radość z tej propozycji. Krokodyla jednak teraz trochę żal. Inna sprawa, że gdy obraz długo wisi, to widzi się tylko ramy. Ciągłe jestem taki łakomy na malarstwo, a przecież już wiem, że wszystkie obrazy zostawię, a moi chłopcy nie chcą z nami chodzić do muzeum, chociaż obaj ładnie rysują i malują.

W 70-lecie śmierci Stalina w Moskwie znalazła się spora grupa wyznawców jednego z największych zbrodniarzy w historii naszej planety. Demonstrowali na placu Czerwonym z jego portretami i z czerwonymi sztandarami, jakaś babina całowała zdjęcie Stalina. A przecież najstarsi z nich mogli być małymi dziećmi, gdy umierał. Stalin i Hitler, dwaj zbrodniarze, którzy zdobyli serca, umysły i miłość milionów. Jak to możliwe? Stalin podobnie jak Hitler stał się figurą boską, zastępował Boga, którego znamy z religii.

W mojej książce „Dom pisarzy w czasach zarazy”, historii domu na warszawskim Czerniakowie, gdzie w czasach stalinowskich mieszkała grupa słynnych wtedy pisarzy, jeden rozdział poświęciłem dniowi śmierci Stalina. Gromadząc przed wieloma laty materiał do książki, rozmawiałem z ludźmi, zbierając okruciny ich pamięci z tego właśnie dnia. Ułożyło się to w niezwykle opowieść, równie komiczną, co straszną. To wszystko bardzo ciekawe z punktu widzenia psychologii wiary, wiary religijnej, ale też ideologicznej. Najwybitniejsi polscy artyści literaci, malarze, a także naukowcy przeżywali śmierć Stalina jak śmierć Boga. Dla niektórych był to groźny, nawet zły Bóg, ale Bóg. Dlatego nawet ci, którzy wiedzieli, że jest zbrodniarzem, czuli lęk, co będzie dalej.

Dla wierzących świat, w którym umarł Bóg, jest przerażający, trudny do wyobrażenia. Wierzący opierają się na Bogu lub ideologicznym przywódcy, stąd trwoga, gdy on odchodzi. To reakcja małego dziecka na śmierć ojca. I tak trochę teraz jest z dobrym Bogiem, z Janem Pawłem II. Nie damy go sobie zabrać, mówi lud. ■

Wojciech Czuchnowski

DWIE SKAŁY

– Tam są takie dwie skały, one zawsze dają cię – Agnieszka powiedziała to bardzo słabym głosem. Chciała powiedzieć coś więcej, ale lekarka z hospicjum domowego, którą poinformowaliśmy o naszym pomysle, pogłaskała ją tylko po ręce. Był początek maja 2022 r. Zaczynał się piąty rok choroby nowotworowej mojej żony. Wiedzieliśmy, że walkę przegrała. 28 kwietnia Agnieszka miała ostatnią wizytę w klinice. Nikt już niczego nie ukrywał. Jej stan – niemal całkowita bezwładność kończyn, potworne wychudzenie i osłabienie – to nie był wynik zastosowanej „terapii ostatniej szansy”. Rak zaatakował cały organizm. Koniec mógł nastąpić w każdej chwili.

Wtedy wpadłem na pomysł: wynajmiemy kampera i pojedziemy do nas na Sycylię. „Do nas”, bo w miasteczku Tusa na północy wyspy mieliśmy mały domek, kupiony z myślą o tym, że spędzimy tam starość. Kamper, bo lot samolotem

W styczniu Agnieszka poszła na mammografię.

Diagnoza: czterocentymetrowy guz w piersi z przerzutami do węzłów chłonnych.

był wykluczony ze względu na ciężki stan Agnieszki. Mogła jechać tylko w miarę wygodnie, leżąc na łóżku, ze swobodnym dostępem, tak by nie było problemu z podawaniem leków, głównie morfiny w coraz większych dawkach.

Ale wtedy, gdy mówiła o „dwóch skałach”, czyli plaży w Castel di Tusa, 4 km poniżej naszego domu, jeszcze nie brała morfiny. Pierwsze dawki zaczęły się dwa dni później. Pomysł wyjazdu był mój, ale to Agnieszka dopilnowała, żebyśmy pojechali. Na początku nie sądziłem, że będzie chciała. Wyjazd stał się jednak jedyną rzeczą, która ją interesowała. Chciała wyjechać zaraz, nawet wiedząc, że może nie dojechać i że na pewno jedzie tam, by umrzeć.

Pojechaliśmy. Podróż trwała od 13 do 17 maja. 25 maja po godzinie 18

Agnieszka nikomu nie mówiła o śmierci

Umarła, gdy ją karmiłem

Agnieszka zmarła. Zdążyła zobaczyć „swoją” plażę i dwie skały; umierała, patrząc na góry i morze widoczne z balkonu. Przed śmiercią powiedziała, że jest szczęśliwa.

Nie czuła, że umiera. Jestem tego pewien. Umarła, gdy ją karmiłem. Po prostu nie przełknęła ostatniej porcji zupy. Kilka dni później oglądałem „Tatarak”, jeden z ostatnich filmów Andrzeja Wajdy. Główna linia fabuły – ekranizacja noweli Iwaszkiewicza – przeplata się z opowieścią Krystyny Jandy, odtwórczyni głównej roli, o tym, jak w trakcie kręcenia tego filmu umierał na raka jej mąż, Edward

nie zdołałem nigdy wytrwać nawet miesiąca.

Teraz, gdy Agnieszka nie żyje, tym bardziej było mi żal. Ale przecież można uratować te wspomnienia. W telefonie mam ponad 3 tys. zdjęć, swoisty fotodziennik sięgający 2015 r. Pomyślałem: pójde śladem tych fotografii, znajdę te, które przypominają nasze chwile, nasze godziny, zmagania i wszystko to, co obok nich się działo. Znajdę i każde z tych zdjęć opiszę. Już w trakcie przeglądania myślałem, że jakoś ocalę pamięć o Agnieszce. Kim była, kim była dla mnie.

Nie wiedziałem jeszcze, że to pisanie pomoże mi przeżyć.

ŚWIETLIK

„Światło wytwarzane przez świetlika świętojańskiego powstaje w wyniku chemiluminescencji dzięki enzymowi lucyferazie. Świetliki mogą dowolnie światło »włączać i wyłączać«. Światłu, które wytwarzają, nie towarzyszy ciepło, a więc ciało chrząszcza nie ulega nagrzanemu”.

Tyle Wikipedia.

Dwa dni po śmierci Agnieszki, w środku nocy, zjechałem na plażę w Castel di Tusa, w to samo miejsce, w którym 17 maja staliśmy kamperem. Patrzyłem w górę, w gwiazdy, prosząc o znak.

Na niebie nic się nie działo. Gwiazdy nieruchome, żadnej spadającej, nawet żadnych świateł samolotu. Długo tak patrzyłem, w końcu spuściłem głowę i odwróciłem się plecami do brzegu.

Wtedy w trawie, kilka metrów przed sobą, zobaczyłem białe, bardzo intensywne światło. Podszedłem bardzo blisko. To był świetlik. Świecił

tak mocno, że wokół niego powstała aureolka. Ostrożnie wyjąłem go z trawy, włożyłem do pudełka z odrobiną wody i zerwanymi roślinami. Świecił jeszcze jakiś czas. Rano zniknął. Wierzyłem, że to znak, o który prosiłem.

Potem znalazłem go nieżywego w samochodzie, tam, gdzie zostawiłem pudełko.

ZDJĘCIA, ÉTRETAT, 29 GRUDNIA 2017

Po raz pierwszy byliśmy tutaj w 1988 r., też zimą, jeszcze na studiach. Jedno z najbardziej znanych turystycznych miasteczek Normandii. Bywa poza sezonem – czyli zimą – niemal wyludnione. Wtedy dotarliśmy tam pociągami z Paryża, teraz samochodem z Polski, już po raz kolejny, bo ta pora roku potrafi być nad oceanem fascynująca. Do Francji Agnieszka wyjechała jako studentka romanistyki, zapisała się na Sorbonę, tak jak wiele jej koleżanek pracowała jako *fille au pair*. Ja do niej dojechałem, mieszkaliśmy w *chambre de bonne* na bulwarze Malesherbes, myśleliśmy o emigracji.

W 2017 Étretat było jedną z pierwszych naszych wycieczek. Mimo że to Francja, czujesz się trochę jak na szkockich wrzosowiskach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Agnieszka już...

Guz pod lewą piersią był mocno wyczuwalny. Nic nie mówiła, chciała, żeby ten wyjazd przebiegał bez takich problemów.

Na zdjęciu przykucnęła przy kolczastych krzakach z czerwonymi owocami. Zrobiłem jej tam fotografię 29 lat wcześniej. Porównywałem potem oba zdjęcia, śmiejąc się, że nic a nic się nie zmieniła. Z tego wyjazdu zapamiętałem długie spacery i pensjonat w domu miejscowego strażaka. Powrót przez Niemcy. Nocleg u dawnych przyjaciół z liceum. Nic więcej. To były ostatnie dni spokoju.

W styczniu Agnieszka poszła na mammografię. Z pracowni zadzwonili do niej jeszcze przed terminem. Lekarka – jak się potem okazało, była ordynatorka onkologii – prosiła, żeby natychmiast do niej przyszła. Diagnoza: czterocentymetrowy guz w piersi z przerzutami do węzłów chłonnych.

Zalecenie: natychmiastowa operacja i rozpoczęcie leczenia, na które jest i tak zdecydowanie za późno.

Zapisujemy się na wizytę w krakowskim Centrum Onkologii przy ul. Garncarskiej. Poznam tu potem każdy zakamarek. Na razie jest to przerażające miejsce, w którym setki chorych ludzi tłoczy się na korytarzach przed gabinetami, a złe wrażenie pogłębia trwający wszędzie remont, a więc chorzy mają jeszcze mniej przestrzeni. Z tego czasu pamiętam otwierające się na zewnątrz drzwi jedynej czynnej toalety dla pacjentów, które nieustannie potracają stojących pod ścianami ludzi.

Jedziemy na szybkie konsultacje do Warszawy. Tam małżeństwo onkologów W. z rezerwą przyjmuje diagnozę lekarki, która robiła mammografię. Podobnie zresztą jest przy pierwszej wizycie na Garncarskiej. Tam też początkowo mówią, że do operacji jeszcze daleko, że najpierw może chemia, może radioterapia.

Po paru tygodniach okazuje się, że pierwsza diagnoza była najbardziej

„bezbronność”. Była całkiem bezbronna wobec tego, co ją niszczy, i wobec świata.

32 dni po śmierci Agnieszki udało mi się wreszcie zmienić pościel, zacząłem jakoś przytomniej rozglądać się po mieszkaniu. To nie był jeszcze początek wyjścia z abnegacji, ale jakaś decyzja, by coś ze sobą zrobić.

Znowu mi się nie śniła. Miałem za to głupi sen – jakaś kobieta zwracała mi uwagę, że muszę wreszcie obciąć włosy. Zwłaszcza z tyłu, bo wiszą mi jak u niemieckiego piłkarza z lat 80. Po co są takie sny? (...)

ZDJĘCIA, MARZEC 2018

Ukrywamy chorobę Agnieszki przed jej rodzicami. Siostra jej mamy zmarła kilka lat temu na raka piersi i mama potwornie boi się tej choroby. Zresztą, na co im ta wiedza? Oboje są po osiemdziesiątce, w dobrej kondycji, choć schorowani. W niczym nie pomogą, za to będą się martwić.

Jeszcze nie wiemy, że uda nam się ciągnąć tę konspirację aż do wiosny 2022 r.

Ukrywamy chorobę Agnieszki przed jej rodzicami. Uda nam się ciągnąć tę konspirację aż do wiosny 2022 r.

trafna. Zaczynamy od operacji: lewa pierś i kilkanaście węzłów chłonnych. Jeszcze nie wiem, co to dokładnie znaczy.

BEZBRONNOŚĆ

Agnieszka nie umierała lekko. Musiała cierpieć, choć o tym nie mówiła. Przy podnoszeniu jej czy przewracaniu na bok szeptała, że boli, ale że jest „do wytrzymania”.

Przez ostatnie dni prześladowały mnie na jawie powracające obrazy jej coraz bardziej bezwładnego i wymęczonego ciała, najpierw nogi, aż do stanu kompletnego paraliżu, potem ręce – coraz słabsze, wreszcie zanik mowy, coraz mniej wyraźne wypowiedziane słowa. I ta przerażająca chudość. 42 kg, gdy ostatni raz ją ważyłem. Weszliśmy na wagę razem, kiedy niosłem ją z łazienki. To było gdzieś w połowie kwietnia.

Gdybym miał jednym słowem określić jej stan w tych ostatnich tygodniach, powiedziałbym:

Dzieciom mówimy więcej, właściwie wszystko. Tyle że boją się słuchać. Jakby to wypierały.

W połowie marca Berlin. Miała być Jerozolima, nawet kupiliśmy bilety, ale doszły dodatkowe badania i wizyty lekarskie. Trzeba było zrezygnować. Szkoda, Agnieszka zawsze marzyła o Jerozolimie.

A więc Berlin, na pożegnanie przed operacją Agnieszka chce zobaczyć Gemäldegalerie i Muzeum Pergamońskie. I wspominać stare czasy, gdy w Berlinie Zachodnim spotykało się przyjaciół, którzy wyemigrowali. Spacerować wzdłuż muru, piwo na Kreuzbergu...

Byliśmy tu jesienią '89, dwa dni po upadku muru, wracaliśmy z Francji, z krótkiej emigracji. Pamiętam ludzi siedzących na murze, przechodzących tam i z powrotem, puste przejścia graniczne. Nawet polscy cwaniacy, którzy „wynajmowali” za jedną markę młotek i przecinak do odłupania kawałka muru ▶

na pamiątkę, wydawali się fajni. Mieliśmy woreczek z takimi kawałkami. Te betonowe okruszki (wielkości 2-3 cm) po 10 latach rozsypały się na piasek i trzeba było je wyrzucić.

Zdjęcia z Berlina mają daty 17, 18, 19 i 20 marca. Było bardzo zimno i bardzo słonecznie. Hotel w łofcie koło Wypsy Muzeów. Gemäldegalerie wspaniała i wyczerpująca. Ale z całej wizyty zostało tylko jedno zdjęcie. Detal z obrazu Bruegla, chyba z „Przystów niderlandzkich”. Od jakiegoś czasu – jeśli tylko ochrona sali pozwala – fotografujemy detale z obrazów. Mam tego masę w telefonie. Muzeum Historii Medycyny

Gdybym miał jednym słowem określić jej stan w tych ostatnich tygodniach, powiedziałbym: „bezbronność”.

Charite z potwornymi preparatami w stojach. Muzeum Pergamońskie w remoncie. Przed wejściem ogromna kolejka. Rezygnujemy.

Na zdjęciach Agnieszka w futrzanej czapce uszance i w kremowym płaszczu z wielbłądziej wełny kupionym u handlarza starszyzną koło naszego hotelu. Bardzo była z tego płaszcza dumna. Prawie nie rozmawiamy o chorobie i operacji.

ZDJĘCIA, 28 MARCA 2018

Przebieralnia na parterze Instytutu Onkologii. Tutaj przed przyjęciem na oddział zdejmuję się „cywilne” ubranie i wkłada piżamę. Przez następne lata będziemy tu i w innych takich przebieralniach jeszcze kilka razy. Agnieszka ma na sobie granatową piżamę w białe kropki. Jedną z wielu kupowanych specjalnie na pobyty w szpitalu.

Ubranie można zostawić w szatni albo oddać osobie towarzyszącej. To nasz przypadek. Potem windą na oddział chirurgii. Jest jeszcze przed COVID-em, więc wszędzie mogę wchodzić. Już na górze robię Agnieszce zdjęcie, siedzi w szlafroku za stołem. Twarz poważna, piękne, gęste włosy. Jedno z ostatnich zdjęć z włosami. Wiadomo, że się boi, ale skupia się na tym, by ukryć przed rodzicami, że jest w szpitalu, tym bardziej że właśnie zbliża się Wielkanoc. Przyjmujemy wersję, że ma ostre

przeziębienie i może zarazić swoją mamę. Rodzice to kupują.

Operacja jest następnego dnia: „Amputacja piersi lewej sposobem Maddena. ICD9 85432 – zmodyfikowana radykalna mastektomia”. Epikryza: „Chora przyjęta do Kliniki Chirurgii Onkologicznej z rozpoznaniem raka piersi lewej. Zakwalifikowana do leczenia operacyjnego. Dnia 29.03.2018 r. wykonano amputację piersi lewej sposobem Maddena. Zabieg i znieczulenie chora zniosła dobrze. Przebieg pooperacyjny niepowikłany. Chora wypisana do domu w stanie ogólnym dobrym z raną gojącą się prawidłowo, bez odleżyn.

Z zaleceniem kontroli w Poradni Kliniki Chirurgii i Onkologii. Pouczona o dalszym postępowaniu”.

„Dalsze postępowanie” to chemioterapia, a potem radioterapia, czyli odwrócony cykl leczenia. W międzyczasie dieta i zdrowa żywność. Tak jak chyba wszyscy w takiej sytuacji zaraz po postawieniu diagnozy zaczynamy konsultacje i lektury. Niektórych wpisów na forach internetowych lepiej nie czytać. Pełne są spiskowych teorii i najgorszych przepowiedni popartych przykładami „z życia” i „z zaświatów”. Ale jest też Zwrotnik Raka, profesjonalna modyfikowana strona, która naprawdę pomaga, daje dobre rady.

Skupiamy się na żywności. Warzywa, owoce, mięso, jajka, wszystko z ekosklepów. Przechodzimy przez etap kurkumy, której „cudowne działanie” bardzo jest reklamowane. Z Warszawy przywożę specjalne soki. Są kiszane buraki, kapusta. Zero słodczy. Bo „rak lubi słodkie”.

„Zabieg i znieczulenie chora zniosła dobrze”. Rzeczywiście, obudziła się bardzo szybko, szczęśliwa, że już po wszystkim. Mogę wejść na salę pooperacyjną, gdzie Agnieszka zachwyca się łóżkiem, które „wszystko robi” i monituruje pacjenta. Fajnie, że ta część kliniki jest świeżo po remoncie.

CIĘCIE

Agnieszka wychodzi do domu. Nie chce pokazywać rany, a ja nie mam odwagi o to prosić. Nie może spać na lewym boku, musi też oszczędzać lewą rękę. W końcu zbieram się na odwagę, by obejrzeć ranę. Wycięto z Agnieszki duży kawał ciała. Pierś i kilkanaście węzłów chłonnych. (...) Cięcie zaczyna się poniżej żeber i sięga pod ramię. Ma dawać gwarancję usunięcia potencjalnych ognisk przerzutów. Agnieszka jest zmasakrowana, ale dzielna i pełna nadziei. Mówi o powrocie do pracy. Do rodziców chodzimy, jakby nic się nie stało. Operację ukrywa, wypychając stanik i przerzucając przez ramię chustki. Niczego nie zauważają.

DZISIAJ

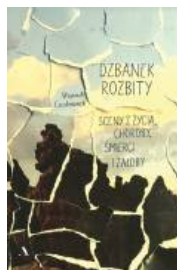
Uświadamiam sobie, że Agnieszka do końca nie mówiła o śmierci, nie mówiła, że umiera. Chociaż musiała to wiedzieć. Żartowaliśmy tylko o trumnach, urnach, karawanach. To raczej ja mówiłem, żebyśmy razem umarli. Powtarzałem to wiele razy mniej lub bardziej poważnie. Ona się wtedy strasznie denerwowała. Kazała mi przysięgać, że wybije sobie ten pomysł z głowy, więc już o tym nie przypominałem. Na głos.

O śmierci nie rozmawiała ani ze mną, ani z żadną ze swoich przyjaciółek. Sprawdzam to dokładnie, pytam kogo tylko się da, szukam zapisów, które czasem robiła w notesach, gdzie prowadziła kalendarium zabiegów. Naszemu synowi Tymkowi na ostatnim nagraniu, które zrobił, obiecywała, że wróci. Teraz mówi, że nie lubi tego nagrania.

Parę dni przed wyjazdem miała bardzo długą rozmowę ze swoim ojcem. Może jemu coś powiedziała? Pytam, ale nie, ojciec mówi, że wspominali jej wyjazd do Francji w 1988, jak odwoził ją na lotnisko i jak przyjechał po nią, gdy wracała.

Nikommu nie mówiła o śmierci.

Fragmenty książki Wojciecha Czuchnowskiego *Dzbanek rozbity. Sceny z życia, choroby, śmierci, żałoby*. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2023



Jacek Woźniak

Łuny nad Czerniakowem

Na Czerniakowie zginęło więcej polskich żołnierzy niż podczas szturmu na Monte Cassino

Istnieje w polskiej historii wiele momentów i postaci zapomnianych, okrytych cieniem. Do takich wydarzeń należy desant na przyczółek czerniakowski we wrześniu 1944 r., w czasie powstania warszawskiego. Jest niesłusznie zapomniany. Co powoduje, że ma znaczenie?

Był on, jakkolwiek byśmy patrzyli, zwiastunem nadchodzącej ofensywy i wyparcia armii hitlerowskiej z polskich ziem, aż po Odrę i Nysę, miał miejsce w samym sercu skrwawionej polskiej stolicy.

Na początku sierpnia 1944 r. teren ten, rozciągający się od wiaduktu mostu Poniatowskiego na północy po ulicę Łazienkowską na południu oraz od skarpy wiślanej na zachodzie do brzegu Wisły na wschodzie, opinały oddziały powstańcze. Fakt ten miał doniosłe znaczenie, bo na tym obszarze siły Armii Krajowej kontrolowały brzeg Wisły, tym samym przygotowując go do desantu sił polskich i sowieckich (1. Armia Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga, tzw. berlingowcy). W drugim miesiącu powstania Komenda Główna AK skierowała na Czerniaków elitarnie Zgrupowanie „Radosław”. Odpierało ono ataki Niemców, co umożliwiło rozpoczęcie desantu na początku drugiej



do historii II wojny jako najkrwawsza i najstraszniejsza bitwa.

Na Czerniakowie zginęło więcej polskich żołnierzy niż podczas szturmu na wzgórze Monte Cassino przez 2. Korpus Polski gen. Andersa.

Trzeba w tym miejscu odrzucić często nieprecyzyjne matryce historyczne i polityczne. A zwłaszcza te drugie. Spójrzmy na wszystkich tych

Z praskiego brzegu na Czerniaków przeprawiła się 3. Dywizja Piechoty w sile ok. 1200-1250 żołnierzy.

robili bez przerwy strzelając karabinami maszynowymi z rejonu mostu Poniatowskiego, których błyski oraz gwizd kul paraliżował dosłownie nas wszystkich. Długo płynęliśmy, tódź kręciła się na głównym prądzie. Przy brzegu zaczęliśmy wskakiwać po pas do wody, ażeby tylko prędzej gdzieś się skryć. Dużą pomoc udzielili nam chłopcy z powstania”.

I następne: „Krew polskiego żołnierza poległego za Ojczyznę – na wszystkich pobojuwiskach świata – jest tego samego koloru, a rany zadane przez wroga jednakowo bołą”.

Podobne wspomnienia są udziałem Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, żołnierza AK ze Zgrupowania „Radosław”: „Nie było między nami żadnych różnic, czy to byli z AK, czy z Armii Ludowej, czy z innych formacji, czy to z Wojska Polskiego. Wszyscy walczyliśmy o jedną sprawę, żeby tylko zwyciężyć, żeby jak najwięcej móc ocalić jeszcze konającej Warszawy”.

Gdy dziś spacerujemy bulwarami wiślanymi, wspomnijmy choć przez chwilę ludzi, którzy wówczas tam walczyli. Wspominajmy ich wszystkich. Bo dzięki nim żyjemy. ■

Nie było między nami różnic, czy to byli z AK, czy z Armii Ludowej, czy z innych formacji, czy to z Wojska Polskiego. Wszyscy walczyliśmy o jedną sprawę.

połowy września. Z praskiego brzegu przeprawiła się 3. Dywizja Piechoty 1. Armii WP w sile ok. 1200–1250 żołnierzy, wspierana przez sowiecką artylerię.

Czerniaków pomimo bohaterkiej, bezprzykładnej obrony upadł jednak 23 września 1944 r. Niemcy podczas tłumienia polskiego oporu dopuścili się niewyobrażalnych zbrodni i masakrowania ludności cywilnej.

Wspomnienia niemieckich dowódców i żołnierzy porównują zmagania na Czerniakowie do walk na ulicach Stalingradu, a to Stalingrad przeszedł

Polaków, prostych żołnierzy AK, berlingowców, żołnierzy powstania, czyli również takich formacji jak Narodowe Siły Zbrojne, Armia Ludowa bądź pomniejszych, np. Polska Armia Ludowa, jak na ludzi, którzy szli wyzwolić swoją stolicę i ojczyznę od morderczego najeźdźcy, by mieszkać w Polsce, odbudować ją, pracować, wychowywać dzieci, po prostu szczęśliwie żyć. I byli w ogromnej większości jak najdalsi od politycznych targów.

Pochylmy się nad wspomnieniami z owego tragicznego czasu. Tadeusz Targoński, żołnierz 3. batalionu 9. pułku piechoty: „Straszne wrażenie

Kariera na własnych warunkach

Georgia O'Keeffe i Alfred Stieglitz (1918–1946)

Kate Bryan

Alfred Stieglitz, fotograf, pisarz i właściciel galerii, tak skutecznie pomógł swojej młodej żonie, Georgii O'Keeffe stać się największą amerykańską malarką współczesną, że nie sposób jest widzieć jej osiągnięcia tylko i wyłącznie jako wynik jego działań. W końcu Stieglitz utrzymywał ją finansowo, zorganizował dla niej pracownię, regularnie wystawiał jej prace, promował ją do granic przyzwoitości, a w swoich zainspirowanych Freudem tekstach dostarczał intelektualnych analiz jej obrazów. Interpretował jej twórczość jako wysoce zseksualizowaną i kobiecą. Uczynił z niej także swoją najstojniejszą mużę, utrwalając ją na ponad 300 fotografiach, także w formie zmysłowych aktów. Patrząc na jego zdjęcia i na wszystko, co dla niej zrobił, łatwo uwierzyć, że to on stworzył i kultywował jej talent, osobiście odkrywając go przed światem. Czy zatem O'Keeffe była tylko niemym świadkiem swojej kariery, którą w istocie kierował jej wpływowy partner?

Na pewno wiele zyskała na jego wsparciu – bez jego starań O'Keeffe nigdy nie osiągnęłaby tak wiele w tak młodym wieku, jednak artystce daleko było do uległości i bierności. Swoją długą karierę podtrzymywała i pielęgnowała na własnych warunkach. Odrzuciła psychoseksualną interpretację swoich prac dokonaną przez Stieglitza, mówiąc: „Kiedy ludzie widzą w moich obrazach symbole erotyczne, widzą po prostu swoje własne doświadczenia”. Gdy jej mąż otwarcie zaczął spotykać się z inną kobietą, opuściła Nowy Jork i wyjechała do Nowego Meksyku, gdzie odnalazła swą duchową ojczyznę. Tam też stała się w pełni niezależną artystką. Po śmierci Stieglitza, który fotografował ją wręcz



Georgia O'Keeffe ok. 1918, National Gallery of Art, Waszyngton, Alfred Stieglitz Collection.

obsesyjnie, sama zadbała o swój wizerunek. Do końca życia była regularnie portretowana, zawsze jako potężne ucieleśnienie wspaniałego amerykańskiego Zachodu.

Chociaż O'Keeffe zachowywała, także fizyczny, dystans pomiędzy sobą a mężem i odrzuciła jego interpre-

matęństwie. Jego związek z O'Keeffe rozwijał się powoli i na odległość. W ciągu dwóch lat wypełnionych regularną korespondencją malarce udało się na nowo wzniecić ogień w Stieglitzu, który widział sam siebie jako „przeznaczonego na złom starego grata, pozbawionego jakiegokolwiek

Do końca życia była regularnie portretowana, zawsze jako potężne ucieleśnienie wspaniałego amerykańskiego Zachodu.

tację swoich prac, to jednak kochała go miłością głęboką i trwałą. Poznali się w 1915 r., kiedy ona była 27-letnią nauczycielką, niepewną jakości swojej sztuki. Stieglitz był już znaczącym głosem w środowisku fotografów, broniącym pozycji fotografii jako sztuki pięknej i mającym spory wkład w żywą amerykańską scenę artystyczną jako pisarz i właściciel ważnej galerii. Miał 51 lat, był więc prawie ćwierć wieku starszy niż młoda malarka, ponadto żył w nieszczęśliwym

energii”. W przeciwieństwie do niego O'Keeffe była pełna życia, a w swoich listach zarażała entuzjazmem do tekstańskiego krajobrazu, malarstwa i możliwości, jakie daje jej sztuka.

Zauroczony swoją „wielką małą dziewczynką”, Stieglitz wyrwał się z zastoju 30-letniego małżeństwa, zostawiając żonę. W 1918 r. ufundował O'Keeffe studio w Nowym Jorku i rozpoczął działania, które miały zapewnić jej miejsce jako pionierce amerykańskiego modernizmu.

Dawał jej oparcie i niezłomną wiarę w jej sztukę. Było w tym coś ojcowskiego, przez co listy, w których wspomina noc, gdy pierwszy raz się kochali i kiedy O'Keeffe straciła dziewictwo, mogą wydać się dość krępujące. Mimo tego O'Keeffe też była dla niego ważnym wsparciem, szczególnie że jego okazywana publicznie charyzma w prywatnym życiu ustępowała brakowi pewności siebie i neurotycznemu zachowaniu. Pobrali się w 1924 r. i pomimo późniejszych okresów nieśczęścia i separacji, nigdy się nie rozwiedli.

Dzięki niemu O'Keeffe szybko odniosła sukces na polu artystycznym. Stieglitz był szanowanym kuratorem i wystawiał jej prace obok dzieł bardziej doświadczonych artystów. Stali się znaną parą już w 1917 r., od kiedy Stieglitz uczynił ją nieustannym obiektem własnej twórczości. Jako muza zrewitalizowała jego fotografie: była katalizatorem pionierskiego cyklu zdjęć, który w niemal abstrakcyjny sposób ujmował jej ręce, stopy i szyję. Niestety, uwaga, jaką poświęcał żonie w fotografii, nie była jednoznaczna z wiernością. W późnych latach 20. O'Keeffe odkryła jego romans z młodą asystentką, po czym natychmiast wyjechała, by spędzić czas w Nowym Meksyku w towarzystwie zaprzyjaźnionych artystów. Była zmęczona miastem i swoim małżeństwem, co więcej, Stieglitz nie chciał dzieci, a O'Keeffe czuła się stłamszona przez jego otoczenie i wieczne obowiązki wobec teściów. Na dalekim Zachodzie w pełni odnalazła się jako artystka. To tutaj pielęgnowała duchowe połączenie z naturą, malując niekończące się zbliżenia kwiatów, niemal abstrakcyjne krajobrazy i zwierzęce czaszki, które nabrały rytualnych i sakralnych znaczeń. Tutejsza ziemia wyrażała jej pędzlem, a obrazy stały się ucieleśnieniem życia spędzonego w bliskim kontakcie z przyrodą. Tak jak jej mąż wielokrotnie przemierzał jej ciało swoim aparatem, ona malowała w kółko tę samą górę, poetycko



mówiąc: „Bóg powiedział mi, że jeśli będę ją wystarczająco dużo malować, stanie się moja”.

Początkowo została tam pięć miesięcy. Stieglitz wiedział, że w pewnym sensie ją stracił: „Jestem załamany”, napisał. Jednak O'Keeffe często podróżowała, malując przez około pół roku, a później wracając do Nowego Jorku, by wystawiać swoje prace. W 1940 r. kupiła w Nowym Meksyku własną nieruchomość i miejsce to stało się jej głównym domem na ostatnie 37 lat życia. Choć żyli daleko od siebie, Stieglitz pozostał jej propagatorem i oddanym mężem, a swoją miłość pielęgnowali, wymieniając się listami. Kiedy umierał w 1946 r., był zadowolony, że osiągnął to, co zamierzał, jeśli chodzi o obrazy O'Keeffe. Rok wcześniej stała się pierwszą kobietą, która została uhonorowana indywidualną retrospektywą twórczości w nowojorskim Museum of Modern Art. Noc przed pogrzebem męża, O'Keeffe z miłością wyłożyła jego trumnę

Georgia O'Keeffe i Alfred Stieglitz nad jeziorem George, 1929 r.

białą tkaniną, by jego ciało spoczęło na tle jakby wyjętym z jej płócien. Miała wówczas zaledwie 59 lat i aż do śmierci w wieku 98 lat kontynuowała samotne życie, zaślubiona z własną ziemią, nazywaną „krajem O'Keeffe”. W latach 60. XX w. jej pozycja jako największej i najbardziej uznanej malarki amerykańskiej była już niezachwiana, co potwierdziła okładka magazynu „Life” z 1968 r. Osiągnęła to, czego nie udało się osiągnąć żadnej innej amerykańskiej artystce przed nią, i to w dużej mierze już w czasie, kiedy Stieglitz był nieobecny w jej życiu.

Oboje byli niezwykle płodnymi i znanymi artystami. Oboje zostawili po sobie wielką spuściznę. Umierali ze świadomością, że nadal będą obiektem zainteresowania. Choć pod koniec życia

O'Keeffe stała się samotniczką stroniącą od gości, którzy nieustannie wpadali ujrzyć „wielką amerykańską malarzkę”, podjęła ważną decyzję, by nie zniszczyć 5 tys. listów, które wymieniła ze swoim mężem. Podarowała je bibliotece Beinecke Rare Book & Manuscript Library przy Uniwersytecie w Yale, pod warunkiem że zostaną otwarte nie wcześniej niż 20 lat po jej śmierci. Zdawała sobie sprawę, jak kuszące będzie dla przyszłych pokoleń przyjrzeć się z bliska ich małżeństwu. Może wiedziała też, że będzie zadowolona z obrazu jej samej, jaki wyłania się z tej korespondencji oraz że gdyby pamięć o jej życiu i niesamowitej, samodzielnej twórczości została wypaczona, wówczas listy te mogłoby wyrównać rachunki, a także udowodnić światu, że nigdy nie była Galateą Pigmaliona.

Fragment książki Kate Bryan
Sztuka w afekcie. Romantyczne i burzliwe historie najśłynniejszych par, tłum. Dagmara Budzbon-Szymańska, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2022





Odchodzić, czyli żyć

„Oskar i pani Róża”, powieść Érica-Emmanuela Schmitta, wydana w 2002 r., już w 2004 ukazała się na polskim rynku (Znak) i wkrótce zyskała ogromne powodzenie. Podbiła też teatr. Po tekst Schmitta pierwsza sięgnęła Anna Augustynowicz w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, od razu po jego polskim debiucie (2004). Jak pisała Marzenna Wiśniewska, „było to jedno z pierwszych przedstawień podejmujących z młodym widzem otwartą teatralną rozmowę o umieraniu dziecka”.

Przedstawienie przyjęto z aplauzem. Teraz, po niemal 20 latach, Augustynowicz z tą samą ekipą wraca do tego tekstu w Teatrze Kamienica. Mimo że wszystkim – także aktorom, Annie Januszewskiej i Wojciechowi Brzezińskiemu – przybyło lat (i doświadczenia), spektakl nie stracił wigoru, nie czuje się negatywnie korekty czasu. Przeciwnie, tekst jeszcze bardziej

dojrzał. Ułożył się w ich interpretacji, przecież nie dosłownej, bo i dwie dekady temu Brzeziński nie był 10-letnim chłopcem, a Januszewska jako ciocia Róża musiała się starać, aby zobaczyć w niej leciwą damę.

Konwencja teatralna nie zmieniła się – dwoje aktorów tworzy iluzję ostatnich 12 dni chłopca. Opowiadają o tym, krążąc w szczególnym korowodzie tam i z powrotem wokół trzech szpitalnych łóżek, tak ułożonych na tonącej w półmroku scenie, aby tworzyć wrażenie szpitalnych jedynek. W scenografii Marka Brauna (jak zawsze u Augustynowicz) króluje czerń i biel, ale ta skromna kolorystyka wpisuje się idealnie w temat spektaklu o zmierzchaniu życia. Chory na białaczkę Oskar odchodzi na zawsze, osierocając rodziców i zostawiając bezradnych lekarzy. Ale do ostatniej chwili chłonie piękno życia i jego sens, a wspiera go w tym pani Róża, pełna cudownej energii i pomysłów wolontariuszka, w przeszłości domniemana zapaśniczka, która sama rozkwiła w relacjach z umierającym chłopcem, przeżywającym pierwszą miłość, poszukiwanie Boga i odkrycie więzi z rodzicami.

Piękna, niesentymtalna opowieść o umieraniu, która tak naprawdę jest pieśnią na chwałę życia. Schmitt to subtelnie wycieniował literacko, Augustynowicz wraz ze współpracownikami i wrażliwymi aktorami nadali temu odejściu formę metafory, która, nie oszukując prawdy, zaciera jej bolesne kontury i pobudza do refleksji.

Tomasz Miłkowski

Éric-Emmanuel Schmitt, „Oskar i pani Róża”, reżyseria Anna Augustynowicz, Teatr Kamienica w Warszawie, premiera 26 lutego 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA POWAŻNIE



Viola Ardone

Oliva Denaro

tłum. Mateusz Kłodecki

Sonia Draga, Katowice 2023

Kobieta – rzeczownik, liczba pojedyncza... Ale tu zaraz protestuje Oliva, ujmująca, bystra, chociaż dziecina nastolatka. Kobieta w sycylijskiej mieścinie w latach 60. nie istnieje w liczbie pojedynczej. Jak nie ma innych kobiet, które by jej pilnowały, musi jej towarzyszyć mężczyzna. I nie może za dużo wiedzieć – najlepszą edukacją są matczyne porzekadła, w tym o rozbitej misie, która należy do tego, kto ją stłukł. Córkę, gdy tylko zaczynają miesiączkować, są obsesyjnie strzeżone, by wątpliwości, czy towar rzeczywiście jest nietknięty, nie zniechęciły nabywców – przysłego męża i jego rodziny. Lecz takie stawianie warty przy dziewczynie, zarazem ubieranej wreszcie „po kobiecemu”, jest jak ogłoszenie otwarcia sezonu łowieckiego. Autorka, która bliską jej duchowo bohaterkę nazwała anagramem własnego imienia i nazwiska, pokazuje, jak kosztowny jest bój z tradycjami, społecznym osądem i prawem, które też za kobietą w liczbie pojedynczej się nie ujmują. A jednak walka – o siebie i dla innych – ma sens.

Aleksandra Pańko

Mit o Galatei po angielsku

Opera Haendla o mitycznej nereidzie, pięknej Galatei, inaczej niż większość dzieł tego kompozytora jest śpiewana w języku angielskim. W wyreżyserowanej przez Natalię Kozłowską inscenizacji, którą można oglądać w Teatrze Stanislavowskim w Łazienkach, mamy śpiew, taniec, amory, grę w kręgle, a także potężnego cyklopa Polifema, który posługuje się współczesnym telefonem komórkowym. Gra orkiestra dawnych instrumentów, ale telefon z pewnością do nich nie należy. Tym ciekawsza staje się opera.

Bronisław Tumiłowicz



Georg Friedrich Haendel,
„Acis and Galatea”,
kierownictwo muzyczne
Krzysztof Garstka,
reżyseria
Natalia Kozłowska,
Polska Opera Królewska,
premiera 16 marca 2023

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Ciąg modlitewny

Wyobraźmy sobie, że jakaś partia idzie do wyborów z programem wprowadzenia prohibicji, pod hasłami: „Koniec z hipokryzją koncernów monopolowych! Wódka to zło! Tysiące pijanych ludzi krzywdzi swoje dzieci. Ludzie, obudźcie się i żyjcie w trzeźwości!”. Taka ze wszech miar szlachetna kampania gwarantowałaby wynik wyborczy w rejonie statystycznego zera. Tymczasem „wiara jest w dużej mierze uzależnieniem. Jej odstawienie nie dzieje się bezboleśnie”, mówi Robert Samborski, autor książek o mocnych tytułach („Sakrament obłudy” i „Kościoła nie ma”), wywlekających brudy z seminariów i plebanii. Samborski stracił wiarę zupełnie, choć początkowo wierzył, że odnajdzie Boga poza Kościołem katolickim, z czasem zaś poza każdym Kościołem instytucjonalnym. Jeśli zatem Polacy są w olbrzymiej części narodem uzależnieniowców, którzy potrafią walczyć z jednym nałogiem tylko za pomocą drugiego (powierając trzeźwość Sile Wyższej, Najświętszej Panience, jak zwał, tak zwał), są tym bardziej podatni na tani populizm.

Pisałem już o tym w dwóch ostatnich felietonach, ale nigdy dość, gdy waży się losy kraju – jeśli ugrupowania opozycyjne pozwolą PiS obsadzić się w roli szkalowników papieża, możemy już gratulować kaczystom trzeciej kadencji. To pułapka prymitywna, ale i skuteczna niczym paść samotówka, dlatego na razie politycy Koalicji Obywatelskiej nie zapuszczają się na ten teren. Ale daleko na przemilczaniu ujechać się nie da – w końcu Tusk będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, czy szanuje JP2, a wtedy zacznie wielomiesięczne udowadnianie, że nie jest wielbłądem. Na tym polega strategia PiS – zapędzić rywali do defensywy bez względu na środki. Prawica chyżo zmierza do zawłaszczenia papieskiego wizerunku i trzeba dużego sprytu, by przeprowadzić kontratak. Samo wyszarpywanie sobie relikwii skazane jest na zwycięstwo partii wspieranej przez episkopat. Nie ma co liczyć w takiej scenarii na odpolitycznienie Kościoła, w ogóle nie ma co liczyć na jakąkolwiek reformę Kościoła katolickiego, o czym ostatecznie wiemy co najmniej od czasów Lutra.

Kościół nie był złym pomysłem, lecz pomysłem Złego. „Mówiłem innym księżom, co myślę. Ze żrą, leniuchują i bawią się w barokowe rytuały, wzbudzają w wiernych poczucie winy i jeszcze każą sobie za to płacić” – to znowu Samborski. Wszyscy o tym wiedzą od tysiącleci, podobnie jak o zgubnym wpływie alkoholu na zdrowie i życie społeczne, a mimo to wciąż dają na tacę i chleją ile wlezie. Samborski ostatecznie przeszedł na coś w rodzaju

spinozańskiego panteizmu, dostrzegając aspekt boski w przyrodzie. Kiedy Rafał Trzaskowski coś napomknął o Spinozie, media próbowały z tego zrobić drugiego „dziadka z Wehrmachtu”, skarżąc się, że prezydent Warszawy wyznaje pokrętną filozofię jakiegoś obcego Żyda. Nie bardzo zażarto, bo lud pisowski do filozofowania nieskory, a gdy się okazało, że ów Żyd dawno nie żyje, nie było się czym przejmować. Teraz jest prościej – świętokradcze ojcostwo, nowy zamach, Tusk jako inkarnacja Mehmeta Alego Ağcy finansowana przez enerdownskiego babsztyla – to się sprzedaje jak pańska skórka na straganach. Panteizm neguje ideę Boga osobowego i uderza w fundamenty instytucji kościelnych, dlatego jest tak niebezpieczną ideą. Świat jest Bogiem; słońce o nim świeci, wiatr o nim wieje, rzeka o nim płynie, drzewa o nim rosną. Kiedyś ludzie modlili się nogami, oczami, poprzez zapalenie i wędrowanie, jak coś im w duszy zagrało, to sobie

W tym nieszczęsnym kraju wyborów nie wygrywa się ani w mieście, ani na wsi. Wygrywa się je w kościele.

wymalowali na ścianach. A potem religia wprowadziła język dla tego, co niewystawialne, i zaczęły się kłopoty. Na końcu było słowo. Grupa cwaniaków tysiące lat temu postanowiła usankcjonować zachwyt, napisać regulamin, stworzyć rytuały i nade wszystko kanały finansowania.

Fundamentalści nie znoszą Lennona: jego pacyfistyczny manifest „Imagine” jest dla Watykanu tym, czym „Szatańskie wersety” dla islamu. No bo jeśli się śpiewa „Wyobraź sobie świat bez religii”, ktoś gotów zakumać bazę, że wcale nie byłby to świat bez Boga, ale nikt by sobie już nie mógł uzurpować statusu bożego pomazańca, mistrza ceremonii i pośrednika w modlitwie. Ludzie chcą mieć wodza o nadprzyrodzonych mocach – stąd popularność komiksowych blockbustów; rywalizacje superbohaterów ze stajni DC i Marvel niczym właściwie się nie różnią od starotestamentowych historii. Autorzy Biblii dzisiaj zarabialiby krocie w hollywoodzkich scriptroomach – dość spojrzeć na poczwierowego disneyowskiego „Księcia Egiptu”, gdzie Mojżesz pojedynkuje się z Ramzesem na swoje czary i supermoce. Lud pisowski ma swojego superświętego i pójdzie tłumnie głosować w obronie jego czci. Miliony uzależnionych w ciągu modlitewnym przeprowadzą szturm modlitewny na urny. Albowiem w tym nieszczęsnym kraju wyborów nie wygrywa się ani w mieście, ani na wsi. Wygrywa się je w kościele. ■

Zła sława glutenu

Produkty, które zawierają gluten,
dostarczają nam błonnika i mikroelementów

Rozmawia Dominika Tworek

Czym jest gluten?

– Naturalnym składnikiem wielu zbóż: pszenicy, żyta, jęczmienia i – w niewielkiej ilości – owsa. To białko, dzięki któremu wyroby przygotowywane z mąki stają się giętkie. Jeśli zalejemy mąkę wodą i zostawimy na jakiś czas, gluten, który pęcznieje, zapewni takiemu ciastu elastyczność. Za to właśnie cenimy go w wypiekach. **Gluten cieszy się dziś raczej złą sławą.**

– Rzeczywiście, choć powiedziałbym, że niezasłużenie. Wiele zależy od tego, w jakiej ilości będziemy ten gluten spożywać. Oczywiście jego nadmiar może nam szkodzić, a dostępne na rynku od ostatnich kilkudziesięciu lat odmiany pszenicy mają glutenu więcej niż starsze odmiany, takie jak orkisz, samopsza czy płaskurka. Jeżeli więc będziemy jeść głównie produkty z mąki pszennej, to one w nadmiarze mogą być dla nas szkodliwe. Odkąd pojawiła się moda na dietę bezglutenową, pacjenci nieraz mówili mi w gabinecie: „Gluten bardzo mi szkodzi, od kiedy jem żytnie pieczywo, czuję się świetnie”. Tylko że w życiu również znajduje się gluten, po prostu jest go mniej. **Najwyżej 1% polskiego społeczeństwa cierpi na celiakię, czyli chorobę autoimmunologiczną, która wymusza stosowanie diety bezglutenowej.**

– Jeżeli dodamy do tego niecelialną nietolerancję glutenu, to 3-5% osób nie powinno go jeść, nawet w najmniejszych ilościach. Dlatego zaleca się im spożywanie produktów certyfikowanych, oznaczonych na opakowaniu symbolem



KATARZYNA BŁAŻEJEWSKA-STUHR

– dietetyczka kliniczna i psychodietetyczka,
autorka bloga „Mama w wielkim mieście”,
założycielka fundacji Kobiety bez diety

przekreślonego kłosa. To o tyle ważne, że np. gryka, która naturalnie nie ma w sobie glutenu, mogła ulec zanieczyszczeniu jego niewielką ilością w miejscu, gdzie była wytwarzana. A dla osób z celiakią nawet najmniejsza dawka glutenu jest niebezpieczna.

Jakie są objawy nietolerancji glutenu?

– Przede wszystkim są to różne dolegliwości układu pokarmowego: biegunki, zaparcia, wzdęcia. Może to być również osłabienie, bo jeśli

rzeczywiście nie tolerujemy glutenu, jego spożywanie prowadzi do uszkodzenia komórek w naszych jelitach, przez co gorzej wchłaniamy inne składniki odżywcze. Częstym objawem nietolerancji glutenu jest anemia, która prawdopodobnie bierze się z niezdolności wchłaniania kwasu foliowego i żelaza przez jelita. Czerwoną lampką, która powinna nam się zaświecić, sugerując, że nasze jelita nie funkcjonują prawidłowo, jest także nieustające poczucie zmęczenia, ciągle bycie ospałym. **Co w praktyce oznacza „nadmiar glutenu” w diecie osoby zdrowej?**

– Warto obserwować, jaka ilość jest dla nas niewskazana. Jeżeli mamy wzdęcia czy zaparcia bądź pojawiają się u nas różne problemy skórne, być może warto ograniczyć spożycie glutenu. Ale jeśli generalnie dobrze się czujemy, to możemy stwierdzić, że nas ten problem nie dotyczy. Chociaż ja zawsze zachęcam do tego, żebyśmy stosowali urozmaiconą dietę, opartą nie tylko na mące pszennej. Nawet jeżeli nie mamy jakiegokolwiek nietolerancji, stare odmiany pszenicy będą dla nas zdrowsze, bo mają więcej wartości odżywczych, witamin i mikroelementów.

Czy wymienienie pojedynczego produktu, np. zamiana chleba na bezglutenowy, będzie dla nas korzystniejsze?

– Myślę, że nie. Dieta bezglutenowa wcale nie jest taka dobra, ponieważ produkty, które zawierają gluten, dostarczają nam też błonnika i różnych mikroelementów. Natomiast warto wybierać pieczywo żytnie zamiast pszenne – znajduje się w nim znacznie mniej glutenu, a jest pełnowartościowe.

Co powiedziałyby pani osobom, które na własną rękę chcą wyeliminować gluten z diety?

– To bardzo zły pomysł. Osoby będące na diecie bezglutenowej są narażone na różne niedobory i uszkodzenie jelit, dlatego ich dieta powinna być skomponowana przez specjalistę, a pacjent powinien regularnie się badać. Wyeliminowanie glutenu na kilka miesięcy może spowodować jego wtórną nietolerancję. Może się okazać, że funkcjonowanie jelit zmieniło się nam na tyle, że istotnie zaczniemy odczuwać bardzo silny dyskomfort, gdy później wrócimy do jedzenia glutenu. A to może upewniać niektórych w przekonaniu, że ten gluten im nie służy. Rzecz jednak w tym, że na samym początku zupełnie bezpodstawnie go odstawili.

Skąd w ogóle moda na dietę bezglutenową?

– Zaczęła się w 2011 r. od artykułu australijskiego naukowca Petera Gibsona. Gibson stwierdził w nim, że gluten wywołuje niekorzystne objawy także u ludzi niecierpiących na celiakię, np. bóle głowy, zmęczenie, bezsenność. Sam autor bardzo szybko przysnął, że pomylił się w wyliczeniach, publicznie to sprostował i przeprosił, ale pierwsza informacja już poszła w świat.

Dieta bezglutenowa cieszy się popularnością od ponad dekadę mimo ogólnodostępnej wiedzy naukowej na ten temat. Dlaczego?

– W temacie zdrowia bardziej ufamy mediom społecznościowym niż profesjonalistom i danym naukowym. Co po części jest winą nas, specjalistów, bo publikujemy w trudnym do zrozumienia dla większości osób języku. Dodatkowo specjalista zawsze rozważy różne strony danego zjawiska, zastanowi się, jakie to może nieść konsekwencje. Im ktoś ma szerszą wiedzę, tym większe ma wątpliwości, co z kolei powoduje, że może mówić mniej zdecydowanie.

Czyli nie lubimy zniuansowania – potrzebujemy wiedzieć, że coś jest białe albo czarne, dobre czy złe, zdrowe czy niezdrowe.

– Tak, łatwiej nam popatrzeć na zgrabną panią, która krzyczy do nas z Instagrama: „Gluten jest zły!”, niż słuchać specjalisty, który mówi: „To

jest generalnie dobre, ale z paroma wyjątkami”.

Jakie mechanizmy sprawiają, że zdrowi ludzie sięgają po tę dietę?

– Wielu z nas wciąż szuka jakiegoś sposobu na nowszą i ciekawszą dietę, czeka na najnowsze zalecenia, bo dotychczasowe głosy dietetyków, żeby zrezygnować ze słodczy, pić dużo wody, jeść pełnoziarniste produkty zbożowe oraz dużo warzyw i owoców, są dla nas za nudne. Poza tym w gruncie rzeczy to trudne do zrealizowania, dlatego cały czas poszukujemy czegoś innego. Gluten idealnie się w to wpisuje.

Wśród osób, które przechodzą na tę dietę, pojawiają się argumenty: „Rzeczywiście działa, czuję się lepiej”.

– Z całą pewnością jest tak, że kiedy zaczynamy się przyglądać temu, co ląduje na naszym talerzu, robi nam to dobrze. Historia pokazała, że były mody na różne diety, których działanie nie miało żadnego uzasadnienia naukowego, ale w związku z tym, że stosujący je zastanawiali się nad tym, co jedzą, odżywiali się uważniej i zdrowiej, a to wystarczyło do poprawy samopoczucia.

W przypadku diety najważniejsza jest konsekwencja, a z tym u nas trudno.

Po opcję bezglutenową sięgają głównie osoby, które chętnie ulegają różnym modnym dietom?

– Przyczyn są różne, ale bardzo często obserwuję uzależnienie od stosowania diet, przechodzenie od jednej do drugiej. Najczęściej one nic nie dają. Albo w ogóle nie pomagają, albo pomagają na krótki czas. To – z mojego punktu widzenia – jest dla pacjentów bardzo niekorzystne, bo nieustająco igrają oni ze swoim metabolizmem i zdrowiem. Mimo to cały czas wierzą, że ta nowa dieta akurat zadziała, że „tym razem się uda”. Takie myślenie jest łatwiejsze niż wprowadzenie zdrowych nawyków żywieniowych. Ale, parafrazując Alberta Einsteina – jeżeli powtarzasz coś pięć razy i to nie zadziałało, dlaczego myślisz, że za szóstym razem zadziała?

Zadziwiające, że wolimy sięgnąć po rygorystyczną dietę, niż dorzucić na talerz marchewkę, zamienić białe pieczywo na żytnie i pić wodę!

– Zawsze łatwiej skorzystać z czegoś „magicznego”, specjalnie opakowanego. Wydaje się nam, że coś, co jest oczywiste i łatwo dostępne, nie przyniesie oczekiwanego rezultatu. W przypadku diety najważniejsza jest przecież konsekwencja, a z tym u nas trudno.

Dieta bezglutenowa pomaga schudnąć?

– Teoretycznie nie, ona nie jest niżej kaloryczna. Chociaż często tak się dzieje, bo najpopularniejsze źródła glutenu – białe pieczywo i białe makaron – są pozbawione wielu wartości odżywczych. Jeżeli z nich zrezygnujemy, z pewnością dostrzeżemy korzyści zdrowotne. Tylko nie rezygnowałabym zupełnie z glutenu, lecz z białej maki.

Czy są dowody naukowe, które wskazywałyby, że popularyzacja tej i innych diet odbiła się pozytywnie na naszym zdrowiu, bo zwiększyła świadomość społeczną na temat odżywiania?

– Badania, które znam, są przeciwnie. Diety odchudzające w 90-95% przypadków właściwie nie działają i pacjenci po szybkim schudnięciu w ciągu pięciu lat wracają do wyjściowej masy ciała albo przybierają na wadze. Pacjentki, z którymi rozmawiam, często opowiadają, że na początku ważyły np. 65 kg. Zaczęły stosować różne diety, trochę schudły, ale po roku przytyły. Jak zrobimy z tego wykres, ukazuje się nam wznosząca się góra. Te kobiety mówią dziś, że gdyby tylko wiedziały, że tak popsują sobie metabolizm, to cieszyłyby się z tych 65 kg i w tym momencie dałyby wszystko, żeby do nich wrócić.

Wszystkie badania pokazują za to, że aby zdrowo i trwale schudnąć, trzeba zmienić styl życia: regularnie jeść, dbać o to, co ląduje na talerzu, uprawiać aktywność fizyczną. Tutaj właściwie nie ma czarów i jakichś tajemnic.

A może osoby sięgające po dietę bezglutenową chcą się poczuć wyjątkowo?

► – Może tak być. Współcześnie panuje przekonanie, że jak nie jestem na diecie, to właściwie o siebie nie dbam. Co oczywiście nie jest prawdą, dlatego z koleżankami dietetyczkami i terapeutkami prowadzimy fundację Kobiety bez diety – pokazujemy, że wcale nie trzeba być na diecie, że jedzenie ma dawać nam moc,

zachęcałabym do tego, żeby wrócić do jedzenia glutenu i zrobić sobie badania na jego nietolerancję. Być może przekonałby panią aspekt finansowy – bo produkty bezglutenowe są dość drogie – a jeśli wywoła pani u siebie wtórną nietolerancję glutenu, będzie pani musiała stosować tę dietę przez całe życie.

Już samo dołożenie do diety warzyw i owoców bardzo korzystnie wpływa na nasze zdrowie i utratę masy ciała.

ma nas odżywić, a nie tylko spowodować, że schudniemy czy odniesiemy inne krótkoterminowe efekty. To, jak się odżywiamy, wpływa na budowę naszego ciała, a ono jest z nami przez całe życie, warto więc zawsze o nie dbać.

Co powiedziała by mi pani, gdybym przyszła do pani gabinetu z ugruntowanym przekonaniem, że dieta bezglutenowa mi pomaga i chcę ją kontynuować?

– Przede wszystkim zapytałabym, jakie dolegliwości sprawiły, że przeszła pani na taką dietę, oraz

Producenci żywności, którzy pochylili się nad 3% osób z nietolerancją glutenu, nakręcają konsumpcję swoich produktów wśród osób zdrowych?

– W ciągu ostatniej dekady asortyment produktów bezglutenowych i ich dostępność niesamowicie się zwiększyły. Wartość światowego rynku gluten free wzrosła z 5 mld dol. w 2012 r. do 14 mld w 2017. Przemysł odchudzająco-dietetyczno-fitnessowy jest jednym z największych biznesów na świecie. To gigantyczne źródło zarobku. Z jednej strony, co chwilę

prezentuje się nam przeróżne diety, z drugiej – cały czas pokazuje inne sylwetki, do których powinniśmy dążyć. Kiedy uświadomimy sobie, że każdy z nas jest inny – i tak jak różnimy się kolorem oczu, rozmiarem stopy czy budową ciała, tak nie ma możliwości, żebyśmy wszyscy wyglądali jak modelki – akceptacja tego pozwala się wycofać z uczestnictwa w obsesji piękna i bycia na jakiejś diecie. Gdy przyjrzymy się temu, ile pieniędzy wymaga się od nas, żeby spełniać te wszystkie oczekiwania dietetyczne, to świadome wyjście z tej manipulacji może być dla nas uwalniające.

Co zatem powinniśmy – nie wyeliminować – ale dodać do naszej diety, żeby była bardziej wartościowa?

– Powiem bardzo prosto: pijmy więcej wody i naparów ziołowych, jedzmy więcej warzyw i zadbajmy o to, żeby codziennie zjeść dwa owoce. One mają bardzo dużo witamin oraz przeciwutleniaczy. Już samo dołożenie do diety warzyw i owoców bardzo korzystnie wpływa na nasze zdrowie i utratę masy ciała.

Dominika Tworek



Polska Misja Medyczna

By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

przeznacz 1,5% wpisując **KRS 0000162022**

www.pmm.org.pl

Mapa pokazuje kraje: Litwa, Łotwa, Rosja, Białoruś, Ukraina, Słowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Turcja.

Łukasz Skop

Wiosna w ogrodzie

Ani się obejrzyysz, a marzec namiejsza w twoim ogródku jak w przystoiowym garncu. Ziemia zacznie powoli rozmarzać, a na wierzch wyklują się pierwsze kielki i nieśmiałe pączki. Początkowo wszystko to będzie bardziej przypominać bezkształtną, budyniową szarą masę niż wykwiśtne danie, ale pod koniec miesiąca ogród będzie już nie do poznania.

W tym czasie zmiany widać gołym okiem. Z godziny na godzinę przybywa nowych smaczków i apetycznych kąsków, które najpierw bulgoczą leniwie w małym marcowym rondelku, ale nim miesiąc dobiegnie końca, każdy wypad do ogrodu będzie oznaczał skok na główkę wprost do wielkiego kotła. Pora zakończyć zimową ogrodniczą głodówkę. Wiosna podaje do stołu!

Kiedy ciepło i wilgoć wypełniają powietrze, rośliny zaczynają budzić się do życia. Przez krótką chwilę, trwającą nie dłużej niż tydzień (co w skali całego roku jest tylko mgieniem, a w natłoku wrażeń zapewnianych przez widowiskowe letnie kwiaty łatwo o tym zapomnieć), nowe pąki zaczynają się otwierać, a gałązki zielenić. Pąki te są już nabrzmiałe i gotowe do rozwoju, więc w ciągu kilku dni przekształcają się w młode pędy i liście. Przez ten krótki czas tworzą w powietrzu zieloną mgiełkę, doskonale widoczną, kiedy patrzymy na nią pod słońce. Wcześniej pąki były zbyt małe, aby dostrzec oblewającą gałązki zieleń, a później – wydają liście, które zmieniają krajobraz i nie przepuszczają tak łatwo promieni słońca. W tym magicznym momencie wiosnę można nie tylko poczuć, lecz także wyraźnie zauważyć, i już nie ma od niej odwrotu.

Po pierwszym przyptywie kwiatów i zieleni każdy ogrodnik czeka do połowy maja na najważniejszy koncert sezonu i do tego czasu tańczy tak, jak pogoda zagra. Majowy tercet antyegzotyczny w składzie: Pankracy, Serwacy i Bonifacy, czyli trzech zimni dranie obchodzący imieniny odpowiednio 12, 13 i 14 maja, co



Maleńki, omączony i wyniosły

Pierwiosnki mają niezwykłą wolę walki i chęć kwitnienia

roku straszą przymrozkami. Jeszcze 15 maja na scenie rzępoli zimna Zośka, a później to już hulaj dusza, zimny nie ma. Całe tabuny ogrodników sięją i sadzą na potęgę, a ja razem z nimi. Wszystkie warzywne i kwiatowe zmarzaki mogą w końcu bezpiecznie trafić pod chmurkę. Połowę maja uznaje się za bezpieczną granicę, po której przekroczeniu można już bezpiecznie uprawiać w gruncie nawet najbardziej wrażliwe na mróz gatunki.

Zatem wiosną to głównie pogoda zaczyna pobudzać rośliny do życia, jak mocna kawa w poniedziałkowy poranek. Powietrze jest bardziej przejrzyste i słońca jakby więcej, i niebo bardziej niebieskie... A może po prostu najadłem się za dużo wiosennego optymizmu? A niech tam nawet! Bo kiedy, jeśli nie u progu nowego sezonu, będzie ku temu lepsza okazja? Kwiaty, drzewa i zmęczony po zimie trawnik ochoczo otrząsają się z letargu, a ja razem z nimi. Staram się utrwalić w pamięci każdy dzień, bo

wiem, że jutro ten sam ogród będzie już zupełnie innym miejscem.

Gdybym miał inaczej nazwać wiosnę, nazwałbym ją Szansą. Porażki z ubiegłego roku ulegają przeterminowaniu, licznik znów pokazuje zero i wszystkiego można spróbować od nowa. To wiosną sięje się najwięcej nasion. To wiosną najlepiej ćwiczyć przycinanie. To wiosną najlepiej widać, co gdzie posadzić, i to wiosną można rozmnażać najwięcej roślin. Z tego wszystkiego jasno wynika, że to także wiosną jest na wszystko najmniej czasu, a jeśli teraz z czymś nie zdążysz, to kolejna szansa przyjdzie dopiero, albo na szczęście, za rok.

Pierwiosnek

Są na świecie rzeczy tak piękne, że trudno uwierzyć w ich prawdziwość: nowo narodzone kocięta, dźwięk rożka angielskiego w dolnym rejestrze, happeningi darmowego przytulania na ulicy i radosne prymule na przedwiośniu. Te ostatnie ▶

► wywołują natychmiastowy uśmiech już od pierwszego spojrzenia, bo trudno o bardziej kolorowe, tanie i różnorodne kwiaty w czasie, kiedy sól drogowa pleśnieje w przydrożnych pojemnikach, ponieważ zima i wiosna pokłóciły się na dobre. Najwyraźniej tyle nam się dostanie z prawdziwego przedwiośnia, ile sami sobie zmajstrujemy. A pierwiosniki do tego majstrowania nadają się wyśmienicie.

Większość marcowych, handlowych pierwiosnków, zwanych też prymulkami, pochodzi od pierwiosnika bezłodygowego (*Primula vulgaris*), który oryginalnie kwitnie na żółto i ma bardzo ciekawy sposób rozsiewania. Wykorzystuje do tego mrówki, które ochoczo zjadają bogate w tłuszcze i cukry wyrostki znajdujące się na nasionach, elajosomy (ten sam sposób wykorzystują kwitnące wcześniej przebiśniegi). Mrówki zabierają nasiona do swoich podziemnych korytarzy

o olbrzymim potencjale. Ogrodnicy potrafią wyłowić z niej rośliny o nie spotykanych dotychczas cechach. I tak wśród samych żółtych prymulek pojawiają się też czerwone, purpurowe, a nawet niebieskie. Każdy może samodzielnie spróbować uzyskać prymulkę w nowym kolorze. W domowych warunkach nie potrzeba do tego mrówek, ale warto zapamiętać, że aby uszyć nową odmianę, pinezka powinna spotkać się z kordonkiem.

Olbrzymia popularność marcowych prymulek nie idzie niestety w parze z ich popularnością w naturze. Polska Czerwona Księga Roślin uznaje pierwiosniki bezłodygowe za wymarłe w warunkach naturalnych. Jednak nawet w obłędnie kolorowych prymulkach z hodowli jest coś, co natychmiast zdradza ich naturalne upodobania: mimo marcowej niepogody dłużej będą kwitły wystawione na zewnątrz niż zostawione w domowym cieple. I po tym właśnie można poznać wiosenne kwiaty prima sort.

wąskiej grupy kwiatów według ściśle określonych reguł i standardów. (...) Należały do nich tyszczaiki, ale też zawilce, goździki, jaskry, malwy oraz tulipany, (zwane współcześnie tulipanami Rembrandta – Ł.S.), które obecnie przeżywają odrodzenie. (...) pokazy osiągnięć florystów były reklamowane w prasie i odbywały się w lokalnych karczmach. Przy wejściu zawieszano zaś miedziany czajnik będący nagrodą dla zwycięzcy i pożądanym elementem skromnego wówczas wyposażenia kuchni”.

Współczesne metody wchodzenia w posiadanie czajników są znacznie prostsze niż wyhodowanie nowych odmian tyszczaków i zaprezentowanie ich na specjalnych scenach, a pierwiosniki bezłodygowe są tak tanie, że można nimi zmajstrować wiosnę już za kilka złotych.

Zejdź na ziemię

Istnieje ok. 550 gatunków pierwiosnków, z których większość rośnie na półkuli północnej, a w Polsce dziko występuje pięć: pierwiosnek lekarski (*Primula veris*), tyszczak (*P. auricula*), maleńki (*P. minima*), omączony (*P. farinosa*) i wyniosły (*P. elatior*). W ogrodach uprawia się także wiele odmian ozdobnych pierwiosnków i gatunków obcego pochodzenia, z których szczególnie interesującą budowę kwiatostanów mają pierwiosnek ząbkowany (*P. denticulata*) o kulistych kwiatostanach niemal 30-centymetrowych łodygach i pierwiosnek wianuszkowaty (zwany też pierwiosnikiem Bulleya lub kandelabrowym, *P. bulleyana*) o kwiatostanach dochodzących do 60 centymetrów wysokości, z okółkami kwiatów ułożonymi piętrowo na łodydze. Jednym z najwcześniej kwitnących pierwiosnków jest z kolei niziutki pierwiosnek gruziński (*P. juliae*) o purpurowych kwiatostanach z żółtym oczkiem, który doskonale sprawdza się na skalniakach.

Niektóre z pierwiosnków obcego pochodzenia nie są odporne na mróz i można je traktować tylko jako rośliny pokojowe, np. pierwiosnek kubkowaty (*P. obconica*) czy ślimakowaty (*P. malacoides*). Nasze rodzime pierwiosniki bardzo dobrze znoszą jednak spadek temperatury i często

Istnieje ok. 550 gatunków pierwiosnków, z których większość rośnie na półkuli północnej.

i porzucają je tam, kiedy elajosomy zostaną już zjedzone. Zanim jednak w ogóle powstaną nasiona, kwiaty muszą zostać zapylone. Pierwiosniki wykorzystują do tego pierwsze nieporadne pszczoły, trzmiele i motyle, a najczęściej zapylają je małe czarne chrząszcze – słodyszki.

Same kwiaty pierwiosnków też mają interesującą budowę: wystarczy zajrzeć do wąskiej rurki u zbiegu płatków, czyli do samego żółtego jak żółtko jajka środka. U połowy kwiatów ze środka wystaje znamie słupka (pręciki są schowane w rurce), a u połowy pręciki (w rurce schowane jest znamie). Anglicy zwyczajowo mówią na pierwsze pierwiosniki *pin* – „pinezki”, a na drugie *thrum* – „kordonki”, botanicy zaś nazywają to zjawisko heterostylią. Heterostylia zapobiega samozapylaniu kwiatów, co zwiększa różnorodność genetyczną pierwiosnków. W świecie roślin każda strategia umożliwiająca jak największe wymieszanie się genów prowadzi do wydania na świat populacji

Pierwiosniki, nie tylko te bezłodygowe, są cenione przez ogrodników od stuleci. Do tych cieszących się szczególnym zainteresowaniem należał niegdyś pierwiosnek tyszczak (*Primula auricula*), który potrafi stworzyć niewiarygodnie piękne kwiaty o zaskakujących kombinacjach barw (w tym popielate, czarno-białe lub zielone kwiaty, pełne lub pojedyncze). Jednymi z pierwszych, którzy je uprawiali, byli mnisi z Tournai w Belgii. Nowe odmiany wymagały odpowiedniej oprawy i miejsca do ich zaprezentowania, mnisi wpadli więc na pomysł budowania specjalnych wystaw, zwanych pierwiosnkowymi teatrami, tzw. *auricula theatres*. W epoce regencji w Wielkiej Brytanii w podobny sposób prezentowali swoje najlepsze pierwiosniki właściciele posiadłości. Pod koniec XVIII i na początku XIX stulecia w Wielkiej Brytanii zawiązywały się związki florystów. „Florystami nazywano wówczas ogrodników, którzy zajmowali się uprawą

są sadzone w ogrodach – szczególnie pierwiosnki lewarskie i wyniosłe. Dobrze radzą też sobie w trawie i można nimi naturalizować trawniki (naturalizacja to w tym przypadku obsadzanie trawnika kwitnącymi roślinami w sposób naśladujący naturalny układ).

Obecnie prymulki można tanio kupić w każdym markecie nawet w środku zimy. Źle reagują jednak na pobyt w ciepłym mieszkaniu i żyją w nim krótko, zwykle już po tygodniu zaczynają żółknąć. Takie zmęczone pierwiosnki możesz posadzić od razu w ogrodzie, pod warunkiem że ziemia jest już rozmrożona. Należy dać im zaciszne miejsce, a na wypadek nocnych przymrozków osłonić kilkoma świerkowymi lub jodłowymi gałązkami, ponieważ nie są jeszcze odpowiednio zahartowane do pobytu na zewnątrz. Ziemia, w której rosną w doniczkach, zawiera przeważnie dużą domieszkę lekkiego torfu, który nie powinien zupełnie wyschnąć, jeśli pierwiosnek ma nie tylko przeżyć przeprowadzkę, ale też przetrwać i zakwitnąć w kolejnych latach.

Prymulki dobrze odradzają się i kwitną po posadzeniu na ogrodowej rabacie. Powierzchnię wokół nich konieczne wyściółkuj drobną korą, ponieważ kwiaty na krótkich łodygach znajdują się blisko ziemi, od której w czasie deszczu będą się brudzić i niszczyć.

Prymulki mają niezwykłą wolę walki i chęć kwitnienia. Można je podglądać przez cały rok, ponieważ nieraz i w środku lata, i późną jesienią wydają pojedyncze kwiaty, jakby sprawdzając, czy już nadeszła tak bardzo wyczekiwana przez nie wiosna.

Razem raźniej

Wytwarzające przyziemne rozety liści pierwiosnki dobrze prezentują się na przedzie rabat, gdzie nie są zasłanianie przez wyższe byliny. Dobrze czują się i wyglądają razem z szafirkami, niskimi narcyzami, bratkami oraz konwaliami. Wspaniale prezentują się w niskich doniczkach, w których można zgromadzić całą kolekcję pierwiosnków, niekoniernie budując dla nich

pierwiosnkowy teatr, chociaż kolekcja jednakowych doniczek z różnymi pierwiosnkami ustawionych na półkach lub zewnętrznych drabinkach będzie interesującym i dobrym sposobem, aby podkreślić ich bogactwo.

Mów łaciń

Pierwiosnki często nazywa się prymulkami, co jest dość zaskakujące, bo rzadko łacińska nazwa kwiatów jest równie popularna co polska lub zwyczajowa. W tym wypadku jednak obie nazwy, zarówno „pierwiosnek”, jak i „prymula”, wyraźnie stwierdzają, że są to pierwsze wiosenne kwiaty: łacińskie *primus* oznacza „pierwszy”. Można polemizować, czy aby na pewno pierwiosnki są pierwsze co do kolejności zakwitania, ale pod względem siły rażenia – z pewnością.

Fragmety książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023



Pomóżmy sobie wzajemnie

1,5%

**PIT
PODARUJ
SENIOROM**

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”

ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa

tel.: (22) 620 40 44

www.fundacja-emeryt.org; e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org



Nie taki zombie straszny

Kinowy wizerunek żywego trupa z reguły budzi grozę. Zwykle też w filmowych apokalipsach to nie zombiaki okazują się najgorsze...

Marcin Ogdowski

Odpowiedź na pytanie, kim (czym) jest zombie, wydaje się oczywista. Nie wszyscy jednak wiedzą, że ta dobrze zakorzeniona w kulturze postać jest z nami niespełna 100 lat. Zachód zawdzięcza zombiaka niejakiemu Williamowi Seabrookowi i jego wydanej w 1929 r. książce „Magiczna wyspa”. Seabrook – dziennikarz, literat i podróżnik z awanturczym zacięciem – był również alkoholikiem, zmarł przedwcześnie po przedawkowaniu proszków nasennych. Fascynowały go śmierć i praktyki wiodące człowieka ku granicy życia. I pewnie dlatego wziął na warsztat kult wudu, wyznawany na tytułowej wyspie – Haiti. Z lektury dowiadujemy się, że dla czcicieli wudu zombie to osoba bez świadomości. Wcześniej uśmiercona przez kapłanów na kilka godzin bądź dni przy użyciu odpowiedniej trucizny (np. atropiny i hioscyjaminy). Po co? Bezwolnego żywego trupa można wykorzystać do najcięższych prac, mówimy więc o niewolniczej sile roboczej. Wedle wciąż popularnych wierzeń sposobem na to, by zmarła osoba uniknęła losu zombie, jest przebicie ciała kołkiem lub odrąbanie jej rąk i nóg. Dla pewności dobrze też, jeśli rodzina nieboszczyka przez kilka dni po pogrzebie przypilnuje grobu.

Apokalipsa zombie

W 1968 r. na ekrany kin wszedł film George’a Romera „Noc żywych trupów”, który dał początek innym wyobrażeniom o zombie. Zgodnie z nimi umarli wstają z grobu (bądź miejsca, gdzie dopadła go śmierć), by zaspokoić żądzę krwi – najlepiej

poprzez konsumpcję świeżego ludzkiego mięsa lub mózgu. W takich okolicznościach tworzy się następny żywy trup i kolejne – głód jest w tej wizji siłą sprawczą i narzędziem ekspansji. Innymi słowy, potulnych niewolników zastąpiły oszalałe bestie – i to one, całe ich hordy, rozpalają dziś emocje wielbicieli filmów grozy. Horrorów, pastiszów, no i oczywistych komedii, wszak zombiaki nadają się nie tylko do straszenia. Jednak „The Last of Us”, głośny ostatnio serial HBO, nie ma w sobie nic z groteski – fabuła jest poważna, a gagi służą wyłącznie redukcji napięcia. Niezbędnej, bo oglądamy świat po apokalipsie, odtworzony z niezwykłą, przynębiającą dbałością o szczegóły.

Przerabianie strachu w rozrywkę jest zabiegiem starym jak ludzkość.

Chodzi rzecz jasna o apokalipsę zombie – motyw częsty w popkulturze. W „The Last of Us” jest ona efektem epidemii grzyba *Cordyceps*. Zainfekowani ludzie zmieniają się w wiecznie głodne stwory, których głowy przypominają imponujące grzybnie. Transformacji towarzyszy utrata części indywidualnych cech – mutanci stają się ciałem zbiorowym, wyczulonym na dźwięki potencjalnych ofiar. W grze komputerowej o tym samym tytule, na której oparty został serial, akcja toczy się w USA w nieodległej przyszłości (na przełomie 2033 i 2034 r.), w adaptacji mamy rok 2023. W obu przypadkach od wybuchu epidemii dzieli wydarzenia 20 lat. Te dwie dekady stanowią przestrzeń powtarzających się retrospekcji, dzięki którym poznajemy

okoliczności katastrofy i historie bohaterów. Zarówno w grze, jak i w filmie jedną z głównych postaci jest Joel Miller, przemytnik, który podjął się eskorty nastoletniej Ellie Williams. W ciele odpornej na zarażenie dziewczynki tkwi źródło nadziei na zapobieżenie dalszej zagładzie. Tak przynajmniej sądzą przedstawiciele organizacji Świetlików, do których Joel wiezie Ellie. Po drodze para wielokrotnie mierzy się z zarażonymi grzybo-humanoidami, ale i z ludźmi, którzy w realiach postapokalipsy zatracili człowieczeństwo.

Mechanizmy zombifikacji

Wydana przed 10 laty gra bardzo szybko zyskała status kultowej.

Serial, którego pierwszy sezon został właśnie w całości wyemitowany, również cieszył się dużą popularnością. W Stanach każdy odcinek oglądało 6-8 mln osób, światowa widownia przekraczała zwykle 20 mln. Film, niezależnie od intensywnych zabiegów promocyjnych, stał się tematem artykułów prasowych, rezonował w rozmaitych dyskusjach, także tych prowadzonych na poważnie.

Czy pasożytnicze grzyby w ogóle istnieją? – to pytanie pojawiało się w wielu dysputach. Znany mykolog Paul Stamets – przy okazji wzięty biznesmen handlujący grzybami leczniczymi – poczuł się wezwany do tablicy. „Jestem fanem science fiction, uwielbiam, gdy wplata się wątki dotyczące grzybów do fabuły. Ale bądźmy realistami. Maczuznikowate (do których należy *Cordyceps* – przyp. aut.) nie mogą zarażać ludzi”, napisał na jednym ze swoich profili społecznościowych. Dodał



przy tym, że grzyby pasożyty wcale nie są wymysłem scenarzystów. „One są wśród nas, żyjemy z nimi 24 godziny na dobę”, zapewnił. Grzyby podobne do maczuznikowatych wykorzystuje się np. w insektobójczych chemikaliach.

Przyjrzyjmy się takim gagatkom. Grzyb *Ophiocordyceps unilateralis* pasożytujący na mrówce *Camponotus leonardi* przejmując ją i sterując jej zachowaniami tak, by móc się dalej rozmnażać. W Polsce występuje gatunek pokrewny *Ophiocordyceps ditmarii*, który za cel obiera skrzydlate błonkówki. Schemat przejścia jest ten sam – zainfekowany owad skupia się na rozsianiu zarodników pasożyta na jak największym obszarze. Dodajmy do tego przywrę *Leucochloridium macrostomum*, która umiejscawia się w czułkach ślimaka z rodzaju bursztynka. Jej ubarwienie i ruchy wabią ptaki, które nieatrakcyjnego dotąd mięczaka uznają za smakowity kąsek. W przewodzie pokarmowym ptaka przywra dojrzewa i może się rozmnażać, zamykając cykl. Natura zatem ma przetestowane mechanizmy zombifikacji żywych istot, co daje nieograniczone pole wyobraźni, ale i jest źródłem lęku. Jak zauważa wspomniany Stamets, takie produkcje jak „The Last of Us” wykorzystują mykofobię – strach przed grzybami. Patrząc zaś szerzej – zombie eksploatują także inne trwogi związane ze śmiercią

i umieraniem, choćby strach przed pogrzebaniem żywcem czy egzystencjalną niepewność, co się dzieje po fizycznym zgonie.

Prawdziwy żart

Przerabianie strachu w rozrywkę jest zabiegiem starym jak ludzkość. Poza osławianiem lęków może mieć też inne pozytywne cechy. Za przykład niech posłuży wydany w 2015 r. przez Simona Monka poradnik „Apokalipsa zombie nadchodzi!”. „Przygotuj się na moment, gdy świat opanują mordercze umarlaki, a dostęp do zasobów zostanie ograniczony”, zachęca czytelników autor. I przekonuje, że aby przeżyć, trzeba mieć odpowiednie kompetencje. „Dzięki przewodnikowi dowiesz się, jak podłączyć przewód do zacisku śrubowego, posługiwać się lutownicą, piłą, wiertarką i dłutem. Nauczysz się podstaw elektroniki w najlepszy ze sposobów: poprzez własnoręczne wykonywanie urządzeń i systemów do generowania prądu, do monitorowania otoczenia i ostrzegania przed intruzami, a także do komunikowania się z przyjaciółmi. Znajdziesz tu szereg projektów, które mają umożliwić przetrwanie czasu apokalipsy, ale okażą się przydatne również w czasie pokoju”, zdradza intencje stojące za napisaniem książki. Tym samym tropem idzie amerykańskie Centrum Kontroli

W filmie „The Last of Us” zainfekowani ludzie zmieniają się w wiecznie głodne stwory, których głowy przypominają imponujące grzybnie.

i Zapobiegania Chorobom. „Przygotuj zestaw ratunkowy”, radzą pracownicy tej poważnej instytucji i wyliczają, z czego powinien się składać. Jest w nim m.in. apteczka, która niekoniecznie przyda się, „gdy dopadnie cię zombie, ale możesz wykorzystać ją do leczenia mniejszych ran i skaleczeń, będących skutkiem tornada czy huraganu”.

12 lat temu Dowództwo Strategiczne USA stworzyło CONPLAN 8888, który po ujawnieniu przez „Foreign Policy Magazine” okrzyknięty został „planem na okoliczność inwazji zombie”. Dokument – dostępny dziś na stronie US Strategic Command – szczegółowo analizuje różne rodzaje nieumarłaków (wyodrębnia osiem ich rodzajów), zagrożen, jakie niosą, i sposobów na obronę przed nimi. Ale jego sensacyjny status okazał się humbkiem. Plan powstał podczas ćwiczeń w przygotowywaniu tego typu dokumentów. Oparto go na takiej samej metodologii jak w przypadku innych rządowych opracowań, nie jest więc żartem, ale sposobem na uniknięcie międzynarodowego skandalu. „Nie chcieliśmy, by w razie wycieku opinia publiczna wzięła CONPLAN 8888 za prawdziwy plan wojny z innymi krajami. Zamiast konkretnego narodu wybraliśmy zombie, bo są neutralnym, powszechnie akceptowalnym wrogiem ludzkości”, tłumaczyli przedstawiciele USSC. „Nie ich boję się najbardziej...”, przyznaje tymczasem Joel Miller w jednej ze scen. Szybko odgadujemy, o co chodzi bohaterowi „The Last of Us”. To element wielu produkcji poświęconych zombiakom – otóż najgorsze okazują się nie hordy zmarłaków, ale żywi ludzie, bez skrupułów walczący o przetrwanie. To zombiak w każdym z nas przeraża nas najbardziej.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



Zachód czy Turcja? Kto wymyślił snowboard

Chrystian Ślusarczyk

Snowboarding to znana i lubiana dyscyplina sportów zimowych od Stanów Zjednoczonych i Kanady, przez Europę, aż po Japonię. Także w Polsce z roku na rok snowboard ma coraz więcej zwolenników.

Większość źródeł jako twórcę deski snowboardowej podaje Amerykanina Shermana Poppena. Co ciekawe, ta stosunkowo nowa zimowa dyscyplina, która po raz pierwszy pojawiła się na igrzyskach olimpijskich dopiero w roku 1998, miała zostać wymyślona przez przypadek. W 1963 r. Poppen, chcąc urozmaicić zimowe zabawy swoich dzieci, związał dwie narty i dał im je do zjeżdżania z niewielkiej góry. Pomysł się spodobał, pociech nie można było spędzić z „nartodecki” produkcji tatusia. Poppen szybko zgłosił wynalazek do urzędu patentowego. Prawa do produkcji sprzedał firmie wytwarzającej... kule do kregli.

Sprzęt, który w latach 60. pojawił się za oceanem, w mediach europejskich i amerykańskich nazwano snurferem. Po kilku latach była to już tylko i wyłącznie deska snowboardowa.

Innego zdania na temat narodzin snurfera, potem snowboardu,

są Turcy, a mieszkańcy górzystego interioru tego olbrzymiego kraju w szczególności. Zupełnie nie przemawia do nich narracja, jakoby pionierami byli Amerykanie. I że deska snowboardowa „przyszła na świat” w latach 60. ubiegłego stulecia.

Deski z Petranu

Turcja, kojarzona jako cel letnich wojaży, znana z plaż, to jednak przede wszystkim bezkresne góry i wysokie płaskowyże interioru. W wielu miejscach śnieg (i to spora jego pokrywa) zalega tam znacznie dłużej niż w naszych górach. Od wieków mieszkańcy obszarów położonych w centrum i na północy mieli od listopada do kwietnia ogromne problemy z przemieszczaniem się, a raczej brnięciem w potężnych zaspach. Jak to często bywa, powiedzenie „potrzeba matką wynalazków” okazało się w tym przypadku kluczowe.

Turcy z położonej na wysokości 2200 m n.p.m. wioski Petran w dzikich górach Kaçkar, znanej też pod nazwą Meşeköy, głowili się, jak wygrać z nieprzyjazną, zimową aurą. Mieszkańcy Petranu i wiosek usytuowanych na pobliskim płaskowyżu już w XVIII w. zaczęli tworzyć konstrukcje bardzo przypominające

współczesne deski snowboardowe. Jediną różnicą były stosowane wtedy linki sterowe oraz posługiwanie się kijem z twardego drewna orzechowego, którego nie brakowało w okolicy. Od wieku XVIII aż do połowy XX deski z Petranu służyły zarówno do przemieszczania się po w miarę równej powierzchni (stąd kij do odpychania), jak i do zjeżdżania.

Używając „presnowboardu”, Turcy zjeżdżali do miasteczka, m.in. do meczetu czy na bazar, jeździli na polowanie bądź po opał. Snowboardziści sprzed wieków zaopatrzeni byli w worki przypominające dzisiejsze plecaki. Pełne ważyły sporo. Bywało, że i 30 kg.

Deski w Petranie robione były z drewna sosnowego. Sosnę przez kilka godzin mocowano we wrzącej wodzie, aż osiągała żądaną elastyczność. Przód deski był nieznacznie wyginany, aby nie zapadał się podczas przesuwania i zjeżdżania po głębokim śniegu. Następnie deskę szlifowano. Używano także całkiem skutecznych smarów w postaci toju wołowego. Tak przygotowane deski mogły się poruszać z prędkością nawet 80 km/godz., czyli niemal równie szybko jak współczesny snowboard.

Co roku na przełomie stycznia i lutego w mieście Rize nad Morzem Czarnym (tu śnieg pada rzadko) i wyżej, w Petranie (tu śniegu jest aż za dużo), odbywa się Petranboard, festiwal nawiązujący – zdaniem każdego Turka – do czasu i miejsca narodzin snowboardu. Wymienne impreza nazywana bywa Lazboard, od nazwy kaukaskiego ludu Laz zamieszkującego okolice Petranu i pogranicze z Gruzją. Turystom pokazywane są stare deski, sposób ich produkcji i sztuka zjeżdżania na takich samych deskach, jakich używano 300 lat temu. Za każdym razem organizowane są zawody na historycznych deskach. Przypominają nieco dzisiejszy slalom równoległy na nartach czy snowboardzie. Raz po raz dochodzi do spektakularnych upadków, ale w głębokim śniegu, nietkniętym ratrakami, nikomu nigdy nic się nie stało. Co ciekawe, z historycznych desek, takich samych, na jakich zjeżdżali ich pradziadkowie, chętnie korzystają dzieci. Miejscowi spece chwalą się wyprodukowanymi we własnych pracowniach (niekiedy w garażach czy wręcz w mieszkaniach) deskami snowboardowymi, które technologicznie niczym się nie różnią od tych sprzed 300 lat.

Festiwalowi towarzyszą ludowe tańce i pieśni. Barwnie prezentuje się miejscowa młodzież wykonująca lokalny, typowy dla ludów pogranicza kaukaskiego taniec o nazwie halay. Miejscowi grają na drewnianych instrumentach, które – podobnie jak deski snowboardowe – powstają w Petranie i okolicy. Po zabawie na śniegu wypijane są hektolitry gorącej, mocnej herbaty. Tej samej, która rośnie całkiem niedaleko, bo na wzgórzach okalających tureckie wybrzeże Morza Czarnego.

Festiwal odbywa się od 2008 r. Niestety, w 2020 i 2021 z powodu pandemii nie udało się go zorganizować, powrócił za to w roku ubiegłym.

Seans w szklance herbaty

Rize nad Morzem Czarnym to 80-tysięczne miasto, z łagodnym klimatem, znane jako turecka stolica herbaty. Herbatę uprawia się tam nawet w przydomowych

ogródkach i na działkach, w sąsiedztwie pomidorów czy ogórków. Najróżniejszych odmian jest już tak dużo, że w jej zbiorach w ostatnich latach brali udział nie tylko mieszkańcy Azerbejdżanu czy Armenii, ale także Afrykanie – Senegalczycy i Zambijczycy.

Miasto znajduje się blisko otwartej dla turystów w 1990 r. granicy z Gruzją. W miejscowych biurach turystycznych liczą, że przyciągnie to do Rize i całej prowincji więcej gości. Już samo położenie miasta u stóp ostro opadających do morza Gór Pontyjskich stanowi sporą atrakcję. Jest też górująca nad nim bizantyjska twierdza z czasów Justyniana I (VI w.) i rzecz jasna kilka meczetów.

W Rize liczą, że okoliczne góry zapełnią się turystami nie tylko zimą. Dlatego z roku na rok powstaje coraz więcej atrakcyjnych szlaków trekkingowych. Mają przyciągać preferujących tę formę rekreacji gości zagranicznych, również z Polski.

Już 300 lat temu od listopada do kwietnia anatolijscy górale jeździli na deskach przypominających dzisiejsze snowboardy.

Z kolei fanom obserwacji ptaków i dzieł przyrody z pewnością przypadnie do gustu 17-kilometrowy szlak w pobliżu Çamlıhemşin.

Od niedawna niezwykle oryginalną atrakcją turystyczną Rize jest... największa na świecie szklanka (o klasycznych, tureckich kształtach) do herbaty. To tzw. Tea Mall, supernowoczesny budynek, siedziba centrum promocji tureckiej herbaty. Ta 30-metrowa budowla z wygiętego szkła mieści m.in. muzeum herbaty, restauracje i kawiarnie oraz kilka sal kinowych. – Paryż ma swoją wieżę Eiffla, my w Rize – Tea Mall – nie kryje dumy przedstawiciel lokalnych władz Mehmet Erdoğan.

To znane każdemu nazwisko nie jest zapewne przypadkowe. Z Rize pochodzi rodzina prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan. Już sam ten fakt powoduje, że miasto i prowincja otoczone są szczególną, wręcz ojcowską troską władz.

Polscy mistrzowie

W 1981 r. w Kolorado w USA odbyły się pierwsze na świecie zawody snowboardowe. Zwyciężył, co nikogo nie zaskoczyło, Tom Sims. Ten Amerykanin na Zachodzie jest uznawany za człowieka, który jako pierwszy, w latach 70., skonstruował snowboard we współczesnej wersji.

Pierwsze zawody pucharu świata oraz pierwsze mistrzostwa świata odbyły się w roku 1987.

W Polsce początki snowboardu sięgają 1988 r., a za pionierów tego sportu uważani są Dariusz Król, Dariusz Rosiak, Andrzej Pająk i Andrzej Stec. Król we współpracy z Piotrem Starowiczem w 1992 r. zorganizował w Szczyrku pierwsze, nieoficjalne mistrzostwa Polski w snowboardzie. Dość szybko – w odróżnieniu od nart alpejskich – dorobiliśmy się zawodników przywożących medale ze światowych imprez. Dzięki wysiłkom pionierów snowboardingu w 1992 r. powstało Polskie

Stowarzyszenie Snowboardu, które już rok później zorganizowało mistrzostwa Polski.

Do najbardziej znanych przedstawicieli polskiego snowboardingu należą bez wątpienia Jagna Marczałajtis, dwukrotna zwyciężczyni zawodów w pucharze świata i trzykrotna uczestniczka zimowych igrzysk olimpijskich, obecnie postanka Platformy Obywatelskiej, oraz Paulina Ligocka, która dwukrotnie zdobyła na mistrzostwach świata brązowy medal w konkurencji half-pipe. Nie można też zapomnieć o Mateuszu Ligockim czy Blance Isielonis, którzy wielokrotnie zajmowali wysokie miejsca w różnych zawodach.

Ten rok dla polskiego snowboardu jest bardzo udany. Oskar Kwiatkowski wywalczył złoty medal, a Aleksandra Król brązowy na snowboardowych mistrzostwach świata w gruzińskim Bakuriani.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- sprzymierzeniec, sojusznik
- podniecenie furiata
- góry we Włoszech
- płat papieru, folii, blachy
- ofensywna formacja zawodników
- bardzo tania zupa
- zrobi antałek lub skopek

- zrzeczenie rzemieślników
- niewojakowski
- w kurorcie pełen spacerowiczów
- uniesienie, najwyższy zachwyt
- tajny wysłannik polityczny
- arkusz sprostowań w książce

- zbity materiał z wełny, sierści
- można milczeć jak on, być zimnym jak on
- targowa, montażowa lub sportowa
- złudzenie, fałszywe przekonanie
- przyszłokwowy uprzedni lub współczesny
- ozdobna początkowa litera
- „...i wilcy” Krasickiego
- polski autobus lub ciężarówka
- pani, co w pracy używa tacy
- mundurowa zieleń
- sfalszowany ton
- radziecki PGR
- Benia... z „Opowiadań odeskich”
- wieczysta lub Hioba

- ...lotosu (też w jodze)
- i czytanie, i to, co się czyta
- porządkowa, pierwsza lub pi
- służący w bogatym domu
- przywódca zbuntowanych aniołów
- jak ono gładka bywa tafla wody
- linia z odcinków
- w Saksonii, znana z porcelany
- zobaczyć... i umrzeć
- brutto minus tara
- oznaczona zielenią na mapie
- pójść w nią to zostać odsuniętym
- omasta
- metalowe wzmocnienie kufra
- kształt twarzy
- podarek
- „...życia” – obraz Matisse’a

- włoszek na brzegu powieki
- zniżka za szybszą płatność gotówką
- „Co... widziało” Konopnickiej
- Wawelski lub Smaug
- kto go dzierży, ten rządzi
- ...bez butów chodzi
- inwigilowanie
- tam wystawiane sztuki
- zabierana na zakupy
- drobny defekt, niedoróbka
- przydatność, praktyczność
- ramiaćzko w szafie
- barwne szkła w ołowianych ramach
- połączenie na pióro i...
- istota z Himalajów
- wąska, często ślepa uliczka
- najwyższy punkt na niebie
- dzieli się na grosze

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1110”. Do rozlosowania książki „Z życia cyganerii” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 kwietnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1107” z nr. 10: Kto wiele obiecuje, mało daje.

Nagrody otrzymują: Irena Koczot-Markiewicz z Dobrzana, Teresa Leśniewska z Kaliszan, Danuta Spychała z Elku.

Wyrzuca, nie wyrzuca...

Jeśli chodzi o MSZ, to nikt nie ma wątpliwości – ambasador RP we Francji Jan Emeryk Rościszewski powinien czym prędzej zakończyć swoją misję. Nie trwała ona długo, niespełna rok, ale być może i tak za długo.

Powód odwołania jest prosty – Rościszewski opowiadał we francuskiej telewizji, że Polska włączy się do wojny z Rosją, gdy Ukraina zacznie przegrywać. Ewidentnie więc przekroczył granicę tego, co ambasador może mówić. Pytanie, czy w ogóle rozumiał to, co mówi, i swoją rolę – bo to jego pierwsza praca w dyplomacji.

No dobrze, ale czy zostanie odwołany? MSZ w czasach PiS jest specyficznym resortem, tu odwołuje się ludzi łatwo. Przykładem niech będzie historia z lata 2020 r., kiedy odwołany został konsul w Reykjavíku Jakub Pilch. Zresztą tamten czas był dla polskiej ambasady w Islandii niezbyt fortunny. Ambasador Gerard Pokruszyński oskarżany był o mobbing i homofobię. I to przez miejscową pracownicę, obywatelkę Islandii. Pojawił się też zarzut nepotyzmu – bo akurat na stanowisko zastępczyni ambasadora przyjechała nowa pracownica – Maria Krasnodębska, córka europosła PiS. To była jej pierwsza praca w MSZ, wcześniej pracowała w Biurze Spraw Zagranicznych w kancelarii prezydenta Dudy, więc tylko pozazdrościć kariery.

Ale wróćmy do Pilcha. Otóż odwołany został za lajk na Facebooku pod relacją z parady równości organizowanej w Reykjavíku. A postąpiono z nim w sposób

brutalny – na opuszczenie Islandii wraz z żoną i dwójką małych dzieci dostał zaledwie trzy dni, dowiedział się zaś o tym na dobę przed planowanym urlopem. Trzy dni, a nie trzy miesiące, jak określa to ustawa.

Nie trzeba chyba dodawać, że autorem tej sadystycznej decyzji kadrowej był dyrektor generalny MSZ, wspomniany często na tych łamach Andrzej Papierz. Ciekawe, czy był z tego dumny i uważał, że wykonuje, jak to mówił w Sejmie, rozwiązanie ostateczne.

Z kolei ambasador RP w Czechach Mirosław Jasiński został odwołany za wywiad, którego udzielił. Był to, dodajmy, jego pierwszy wywiad w roli ambasadora. Jasiński objął funkcję w Pradze w apogeum sporów o kopalnię Turów. I powiedział o konflikcie, że „to był brak empatii, brak zrozumienia i brak chęci podjęcia dialogu – i to w pierwszym rządzie z polskiej strony”. Powiedział i musiał wracać do kraju. Człowiek PiS! Przyjechał do Pragi w grudniu 2021 r., a w styczniu 2022 r. kończył misję.

Te dwa tylko przykłady, a historii o odwoływaniu ludzi z placówek nagle, przez telefon, złośliwie, jest naprawdę zadziwiająco dużo, świadczą, że PiS ma do wyrzucania ludzi szybką rękę. Jednocześnie jest w MSZ grupa ludzi nietykalnych. Im nic się nie dzieje, nawet jeżeli szkodzą. W ciągu najbliższych dni przekonamy się, do której grupy należy Jan Emeryk Rościszewski.

Attaché



Statek badawczy Petrel przechylił się pod kątem 45 st. w suchym doku w Leith, dzielnicy Edynburga. 15 osób zostało przewiezionych do szpitala, a 10 udzielono pomocy na miejscu.



PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Dziennikarz odpowiada za to, co powiedział lub napisał, a nie za to, co z tego zrozumieli odbiorcy. Traktowanie ich jak głupców, którym trzeba przetłumaczyć pewne prawdy, bo mogą się skaleczyć filmem na YouTube, jest wyższościowym patrzeniem na ludzi. Nie mam tak złego zdania ani o naszych odbiorcach, ani o sobie. Odpowiedzialność w naszym fachu polega na ujawnianiu tego, co ukryte, formułowaniu wniosków i proponowaniu ich czytelnikom. Wybieram pisanie tego, co myślę, a nie tego, czego oczekują ode mnie odbiorcy. Oni nie są wcale tacy głupi, jak się niektórym dziennikarzom wydaje.

KRAKÓW **GEN. MIECZYŚLAW BIENIEK**

Dzisiaj polskie siły zbrojne wyglądają jak wielki plac budowy, gdzie uwaga kierownika jest zwrócona w kilku kierunkach. I gdzie ciągle się zmieniają koncepcje. Tworzymy nowe dywizje, np. 18., ale tworząc ją, wcale nie zyskujemy wiele więcej żołnierzy! Po prostu zabieramy żołnierzy z innych jednostek, a formowanie nowych postępuje bardzo wolno. Dotychczasowy przebieg procesu dostosowawczego w siłach zbrojnych RP jest zbyt ograniczony właściwie we wszystkich jego ważniejszych wymiarach. Trzeba zrobić porządek z liczebnością wojsk. Musimy określić docelową strukturę sił zbrojnych. I nie mówić o 300 tys. żołnierzy, tylko uzupełnić to, co mamy, zarówno zasoby sprzętowe, amunicyjne, jak i składy osobowe.

MONDE
diplomatie **JAN WASIEWICZ,**
FILOZOF I PAMIĘCIOLOG

Pańszczyźniani chłopci stali się dzięki pruskim reformom wolnymi ludźmi, ale pozostali Słowianami, czyli w Prusach przede wszystkim Polakami. Jak wnikliwie zauważył Marian Pilot: „Prześladujący wrzesińskie (ostrzeszowskie także) dzieci, szykanujący Michała Drzymałę toporni Prusacy zrobili dla polskości stokroć więcej niż poczciwi krzewiciele polskiego słowa: zahamowali naturalny potok ludzkich żywiołów, przepływ Deutschów i Poloków, wymianę, która w sposób oczywisty od całych wieków wzmacniała niemieckość, nadwątlała polskość”.

zwierciadło **MAGDA LINETTE,**
TENISISTKA

Nie mieliśmy dużo funduszy, więc pojawiała się presja na jakość gry, każdy turniej rodził pytania, czy idę w dobrym kierunku, czy warto wydawać kolejne pieniądze. To oczywiście wpływało na nasze relacje, chwilami było trudno. Specjalizacja tenisowa zaczyna się bardzo szybko, a tenisowa rodzina nie jest typową, taką, która wyjeżdża na wakacje i jest szczęśliwa. Przegrany turniej odbija się na wszystkich, więc było dużo kłótni, nerwów, sporo niefajnych momentów. Uważam jednak, że moi rodzice i tak sobie nieźle poradzili, widziałam dużo gorsze przypadki, ale na pewno był duży nacisk na wyniki.

UWAGA, BYKI!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



_____ F _____

* wyciąga szyję do akcji

_____ K _____

* wyłapuje ruble

_____ N _____

* gafa artysty

ROZWIĄZANIA: ŻYRAFA, BRAKARZ, HONORARIUM



Aby język giętki...

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O RZETELNOŚCI

My, Polacy, jesteśmy ślepi i głusi na rzetelność. Bo rzetelność i uczciwość zaczyna się od tego, czy są równe szanse.

WOJCIECH CIEŚLA O SAMUELU PEREIRZE

To szef najbardziej politruckiego i służącego portalu informacyjnego w historii polskiej telewizji.

JAN PESZEK O ŻYCIU

Nie wolno przeoczyć ani chwili. Potem zawsze jest za późno. Człowiek żyje dla jednego życia.

JÓZEF HEN O FILMIE

Dla mnie „Śmierć prezydenta” Kawale- rowicza to najlepszy polski film.

JOANNA TRZEPIECIŃSKA O AUTORYTETACH

To są osoby, które trzymają zawo- dowy poziom, klasę. Udowadniają, że między aktorem a komediantem istnieje głęboka różnica.

DANUTA STENKA O MĘŻU

Na początku tylko przeczuwałam, że jest moją drugą połową. Gdy córki wy- frunęły z domu, okazało się, że jest nam całkiem dobrze.

TATIANA SOSNA-SARNO O SESJI W „PLAYBOYU”

Była propozycja, abym się pokazała za duże pieniądze. Powiedziałam jednak nie, ponieważ miałam już 30 lat i uznałam, że niech rozbierają się młodsze.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiwicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław

Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wójtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Intrygujące spojrzenie

Barbara Soborak-Szydłowska, której 25 prac oglądać można w katowickiej galerii Art Nova 2, w charakterystycznym stylu przedstawia całą gamę relacji pomiędzy ludzkimi emocjami a otaczającą nas rzeczywistością. To nie tylko duże obrazy na płótnie, lecz także mniejsze, malowane na papierze. W większości powstały w latach 2022-2023; są efektem obserwacji i artystycznych poszukiwań autorki.

Oranżeria



Galeria Art Nova 2
Katowice, ul. Dworcowa 13
do 6 kwietnia

Króliczek



Nad wodą



♦ TEATR CAPITOL ♦

PRZEBOJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Kiedy kota nie ma...

W KWIETNIU
POLECAMY

O co biega?



Potężna dawka energii i znakomita zabawa gwarantowane!

Kiedy kota nie ma...
1, 16, 23, 27 kwietnia

O co biega?
20, 25 i 30 kwietnia

♦ KUP



♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 3bcf7ade50

KATIE MELUA
LOVE & MONEY TOUR 2023

**GDYNIA I POLSAT PLUS ARENA GDYNIA
12 KWIETNIA 2023**

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

f @KLUB.STODOLA @KLUB.STODOLA